

Wyzysk w kulturze ■ Wszystkie długi Ukrainy ■ Kard. Ryś: jak wybrałem papieża
Żyj sto lat: poradnik ■ Najlepsze Gwiazdne Wojny ■ Poeci rock'n'rolla

Kraków 21 – 27 maja 2025 nr 21 (3959)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne

cena 15 zł (w tym 8% VAT)
TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Kto zdecyduje w drugiej turze

- TO OSTATNIA BITWA PO-PiS
- WYBORCY MENTZENA ZASKOCZĄ
- JESTEŚMY ZADOWOLENI Z POLSKI,
ALE ROZCZAROWANI POLITYKAMI

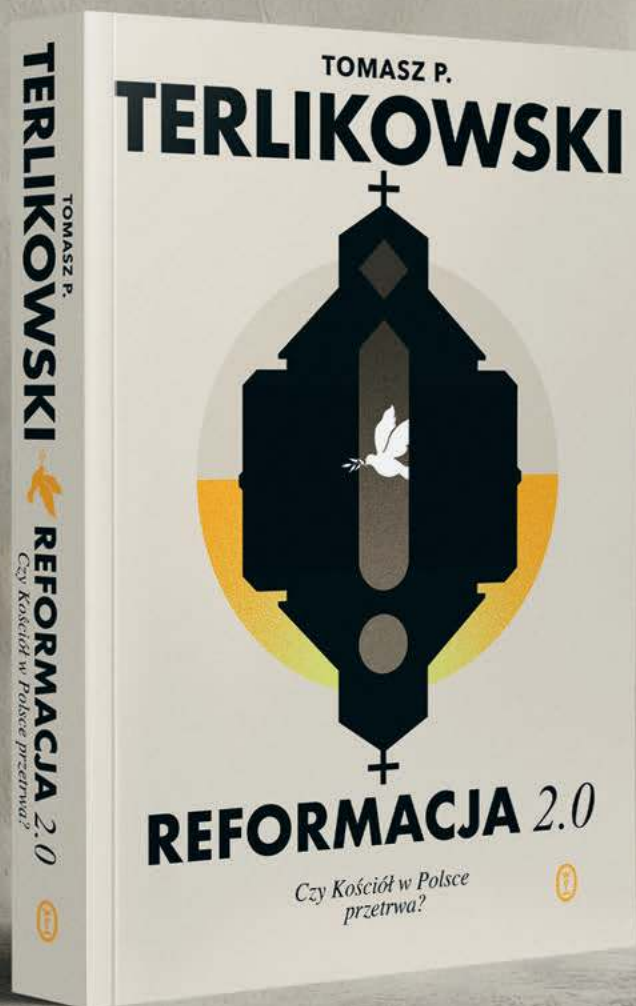
EKSTRA STRONY

- Z KRÓLEWSKIM ROZMACHEM.
POZNAŃ 2025
- POZNAŃSKA
NAGRODA LITERACKA 2025

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505



CZY CZEKA NAS NOWA SCHIZMA?

W swojej nowej książce **Tomasz Terlikowski** wnikliwie diagnozuje kondycję Kościoła katolickiego w Polsce. Dzieli się przemyśleniami na temat episkopatu oraz obecnych w Kościele ruchów oddolnych zarówno niosących nadzieję, jak i budzących uzasadnione obawy. Przede wszystkim zaś – robi to z nowej dla siebie perspektywy. „Uczę się życia na peryferiach. Lata bycia w centrum Kościoła, odwiedzania parafii, uczestnictwa w kościelnych wydarzeniach się skończyły” – pisze. Z dala od dymu kadzideł, z wielkim zaangażowaniem stawia ważne pytania:

- Czy czeka nas nowa schizma?
- Czy kryterium tak zwanego dobra Kościoła nie jest bałwochwalstwem?
- Kto próbuje być bardziej papieski od papieża?
- Czy współczesny człowiek potrzebuje jeszcze w ogóle duchowości?
- Jakie zmiany na lepsze już w Kościele następują?

W podtytule *Wygasanie*, książki sprzed dwóch lat, Tomasz Terlikowski umieścił słowo „zmiernik”. Na kartach **Reformacji 2.0** próbuje wyobrazić sobie, jak może wyglądać nowy świt polskiego Kościoła... i czy nadejdzie.



WYDAWNICTWO
LITERACKIE

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
youtube.com/WLchannel



KS. ADAM

Boniecki: Matka na maj

JEST WYBORCZY GORĄCY MAJ, MIMO POGODOWEGO ZIMNA. W ogólnym gwarze nawet najmądrzejsze myśli się gubią. Ale maj to maj, co by się w nim nie działo, najbardziej majowym tematem jest dla mnie Matka Boża.

Na mszy św. dla kardynałów po konklawe papież Leon XIV mówił też o Niej. Podobnie na mszy św. inaugurującej pontyfikat. Mówił zwięźle, zresztą zawsze mówi tak, że trudno to puszczać mimo uszu. Nie mówił o Maryi rzeczy nowych, dotąd niesłyszanych. Ale Leon XIV należy do kaznodziejów, którzy wydobywają ze skarbcza rzeczy na nowo, nawet jeśli są stare. Bo tak to jest ze sprawami wiary. Zawsze są nowe.

Historia Jej kultu to także historia oczyszczania go z naleciałości, by nie powiedzieć: zapożyczeń z kultów pogańskich. Oczywiście wizerunki Matki Jezusa były obrazami z wyobraźni. Nikt nie portretował Matki. W ogóle Żydzi nie portretowali nikogo, zabraniały tego przepisy religijne. To zaś, że znalazła się Ona w pismach z drugiego wieku, może świadczyć o tym, że była jakoś obecna już wcześniej, choćby w ustnej tradycji.

Matka Jezusa jest obecna w niezliczonych objawieniach prywatnych. Choć objawienia prywatne nie wchodzą w skład zasad wiary, choć można być człowiekiem wierzącym i ich nie przyjmować, to trudno załatwić te wszystkie objawienia jednym wzruszeniem ramion. Matka Boża z niejaką natarczywością komunikuje się z ludźmi. To temat odrębny, tu nas interesuje Ona jako matka Jezusa. Jezusa – niezwykłego człowieka, niezwykłego Boga.

Niewątpliwie kochała Syna. Z nielicznych informacji zawartych w Ewangelii można wnosić, że nie była to miłość zaborcza. Kiedy się zawieruszył w Jerozolimie, wyrzuca mu, że Ona i Józef się o niego martwili, ale jest to wyrzut pełen miłości. Kiedy wyszedł z domu, był już człowiekiem dorosłym. Z daleka Mu towarzyszy, zjawia się raz, w każdym razie

przynajmniej to jedno spotkanie jest odnotowane, spotkanie i dziwna odpowiedź Jezusa, w której pozornie (tak, pozornie) ją umniejsza. I drugi raz, kiedy Syn jest ukrzyżowany i umiera. Przed śmiercią, kiedy jest tak trudno mówić, On mówi do niej i do umiłowanego ucznia. Innych opisów nie mamy. O jej spotkaniu ze Zmartwychwstałym snujemy tylko przypuszczenia.

Ale nawet tych ledwie kilka zdań wystarczy, by się dowiedzieć, kim Ona jest. Oczywiście, w oparciu o te zapisane słowa snujemy nasze rozmyślenia o Niej, domyślamy brakujące rozmowy i wydarzenia. Nie mówię, że fałszywie. Snujemy rozważania, że było inaczej lub że coś, o czym nie ma wzmianki w Ewangelii, się zdarzyło. Ja wolę sceptyczne stwierdzenie, że nie wiemy. Bo to, co wiemy, już jest wystarczające, by wiedzieć, co to znaczy „Matka Jezusa”.

Jest maj i śpiewamy litanie do Matki Bożej. Ciekawe, jak słowa tej litanii brzmiałyby w Jej uszach. Być może dla Niej, znającej Biblię, brzmiałyby normalnie, choć niektóre wezwania z pewnością byłyby nieco dziwne, jak nieco dziwne są różne przejawy naszej pobożności. Muszą pewnie być takie, bo ludzkim językiem próbujemy wyrazić to, co jest niewyrażalne. Jest – tak albo inaczej – obecna w naszej religijności, w naszej wierze. Wiedza zawarta w kilkuset wierszach Ewangelii wystarcza.

Poprzednia niedziela była niedzielą wyborów prezydenta. Ważnym dniem dla nas. Takich ważnych i jeszcze ważniejszych dni wiele już przeżyliśmy. Piękne i straszne – wszystkie odeszły do przeszłości. Trwamy i Ona trwa w naszej wierze, w naszej religijności. Ozdabiamy wizerunki i teksty, dorabiamy legendy, malujemy rozmaite twarze, ale najważniejsze się nie zmienia. Matka Jezusa, matka nasza przez Jezusa, trwa. I w maju warto o tym przypomnieć. ©®

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.



GRAZYNA MAKARA

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

MARCIN TUSIŃSKI

o tym, co w życiu najważniejsze: rozmowy z dziećmi różnych religii, wyznań i kultur.

KRZYSZTOF STRACHOTA

Kurdowie z partyzantki PKK kończą swoją zbrojną walkę. Co dalej z kurdyjską „historią bez końca”?

MARIUSZ GOGÓL

o mistrzach kamuflażu wśród zwierząt, czyli kto najlepiej potrafi się schować.

W tym wydaniu „Tygodnika” dwóch naszych autorów, niezależnie od siebie, stawia tezę, która może się wydać aż nazbyt ekstrawagancka, zważywszy na temperaturę ostatnich dni kampanii prezydenckiej i zaskoczenie, z jakim wielu z nas przyjęło wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich. I **MARCIN KĘDZIEŃSKI** w eseju zamykającym dział Kraj, i **JACEK SOKOŁOWSKI**, autor książki „Transnaród”, z którym rozmawia Michał Okoński, dowodzą, że politycy stracili w Polsce na znaczeniu. Owszem, nadal pociągają za rozmaite sznurki. Wciąż decydują, co pchnąć do przodu, a co pozostawić w sferze planów, przestali jednak odgrywać kluczową rolę w procesie przebudowy Polski.

Miarą transformacyjnego sukcesu ostatnich dekad jest jednak „głębokie państwo”, czyli struktury, instytucje, procedury, które działają sprawnie bez względu na barwy partyjnych sztandarów powiewających na Wiejskiej oraz na Krakowskim Przedmieściu, a do pewnego stopnia potrafią nawet amortyzować napięcia wywołane niekompetencją kolejnych rządzących. Od siebie dodałbym w tym miejscu, że być może tym również można wyjaśnić wysoką frekwencję młodych w niedzielnych wyborach. Polska roku 2025, która dla choćby mojego pokolenia jest wprawdzie niedokończonym, ale jednak mocno już zaawansowanym etapem projektu modernizacyjnego rozpoczętego w 1989 roku, dla młodych rodaków stanowi po prostu rzeczywistość zastaną oraz ledwie punkt odniesienia dla marzeń, żądań, a nierzadko i uzasadnionych pretensji. Polska, jak mówi Okońskiemu Sokołowski, jest dziś stosunkowo zamożnym i nieźle urządzonym państwem, z którego obywatele mogą być wręcz dumni, a z pewnością zadowoleni – co jednak nie przeszkadza większości z nas bardzo nisko oceniać klasę rządzącą.

A skoro już przy niezadowoleniu i pretensjach jesteśmy, to nie mogę nie wspomnieć o raporcie **MARCINA TUSIŃSKIEGO** otwierającym w tym wydaniu dział Kraj. To samo państwo, które – jak zauważa autor – w konstytucji gwarantuje obywatelom dostęp do kultury, nie poczuwa się do odpowiedzialności za zapewnienie artystom podstawowej ochrony na rynku pracy.

© ③

MAREK RABIJ,
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



18 Nomadland MARCIN TUSIŃSKI

W konstytucji państwo polskie gwarantuje obywatelom dostęp do kultury. Zawodowym twórcom to samo państwo nie zapewnia jednak minimalnej ochrony.



68 Tajemnica długowieczności BARTOSZ KABAŁA

Geny, styl życia, warunki społeczne – co najbardziej determinuje długość naszego życia.



84 Moc władzy JAKUB MAJMUREK

W serialu „Andor”, najnowszej ekranizacji opartej na sadze Gwiezdnych Wojen, zło nie ma już twarzy Vadera. Jest imperialnym biurokratą.

■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kraj w szoku

MAREK KĘSKRAWIEC

8-11 Komentarze i informacje

■ KRAJ

18 Nomadland

MARCIN TUSIŃSKI

22 Centralna Kolektura

Egzaminacyjna

PAWEŁ ŁECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W polskim systemie edukacji zbyt wiele zależy dziś od egzaminu ósmoklasisty i od matury

25 Polityczni zbawiciele

MARCIN KĘDZIEŃSKI:

Jaką rolę naprawdę mają dziś do odegrania politycy?

■ ŚWIAT

30 Foka sygnalistka

AGNIESZKA PIKULICKA-

WILCZEWSKA: Do końca tego wieku poziom wody w Morzu Kaspijskim obniży się o jedną dziesiątą

34 Tatuaz cyrylicą

ZBIGNIEW ROKITA:

Gwiazdą kobiecej piłki nożnej w Rosji jest Polka, Gabriela Grzywińska

37 Długi Ukrainy

M. KONRAD BOROWICZ:

Daleko od frontu Kijów toczy jeszcze jedną wojnę – o pieniądze i wypłacalność

■ OPINIE

40 Wiara i niewiara

STEFAN CHWIN stawia 44 tezy o dialogu wierzących z wierzącymi inaczej

43 Niewiara i wiara

PIOTR SIKORA polemizuje z tezami Chwina

■ WIARA

46 Ciarki na plecach

ROZMOWA Z KARD. GRZEGORZEM RYSIEM o konklawe i o Leonie XIV

TEMAT TYGODNIKA

GRZEGORZ BUKAŁA / REPORTER



12 Wybory w tartaku

JACEK SOKOŁOWSKI,

AUTOR KSIĄŻKI „TRANSNARÓD”,
W ROZMOWIE Z MICHAŁEM OKOŃSKIM:

Żeby kandydat zmiany wygrał, musi narosnąć odpowiedni poziom niezadowolenia z dotychczasowych rządów. A to się Polakom zbiera w dość długich okresach.

■ STRONY PARTNERSKIE ■

55 Z KRÓLEWSKIM ROZMACHEM.
POZNAŃ 2025

75 POZNAŃSKA NAGRODA
LITERACKA 2025

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ

28 OLGA DRENDA 45 WOJCIECH BONOWICZ

74 STANISŁAW MANCIEWICZ

92 PAWEŁ BRAVO 98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:

MAREK K. ZALEJSKI / ADOBE STOCK

49 Bóg, chaos i pokój

PIOTR SIKORA:

Jakie mam oczekiwania wobec nowego papieża

51 Leon XIV i myślące maszyny

DARIUSZ KOT: Czy Kościół jest gotowy na rewolucję sztucznej inteligencji?

54 Czytania

O. WACŁAW OSZAJCA

KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ HISTORIA

64 Prawosławna Alaska

KACPER DZIEKAN *podąża śladem cerkwi rozszaniach po Alasce – najtrwalszego dziedzictwa Rosji w tym amerykańskim stanie*

■ NAUKA

68 Tajemnica długowieczności

BARTOSZ KABAŁA

■ KULTURA

80 Jim i James

MICHAŁ CHOIŃSKI:

Nagrodzony Pulitzerem „James” Percivala Everetta nawiązuje do prozy Marka Twaina

84 Moc władzy

JAKUB MAJMUKEK

86 Miasto jak świat

PIOTR KOSIEWSKI o wystawie

„Palestyna. Ziemia Święta w fotografii XIX i początku XX wieku”

89 Polecamy

90 Kraina oświecenia

ANITA PIOTROWSKA zaprasza na filmy „Dalajlama” i „Shambhala”

75 Filozof wśród ludzi

LEKTOR o książce Zbigniewa Mentzla „Podręczny słownik przyjaciół i nieprzyjaciół Leszka Kołakowskiego”

■ ZMYŚŁY

94 Alchemia symbolu

FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Recepta na stworzenie muzycznego archetypu na szczęście nie istnieje. Takie symbole rodzą się przypadkiem*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ NOWĄ OFERTĘ NA STRONIE

99



Zapisz się na newsletter

POWSZECZ.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów

POWSZECZ.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ w /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

KRAJ W SZOKU

Rafał Trzaskowski nie jest już faworytem wyborów prezydenckich. Jego sztab i rząd będą musieli wymyślić coś nadzwyczajnego, by po szoku niedzielnego wieczoru odzyskać inicjatywę.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:

Wieczór wyborczy Karola Nawrockiego.
Gdańsk, 18 maja 2025 r.

KAROLOWI NAWROCKIEMU NIE zaszkodziła afera z kawalerką. Narracja głównych mediów, ale też nagie fakty, nie zdołały przebić się do elektoratu PiS, mającego swoją własną przestrzeń informacyjną. I choć ostatecznie kandydat wybrany przez Jarosława Kaczyńskiego nie dogonił lidera, to jednak w końcówce kampanii, zamiast tracić poparcie, podniósł je do poziomu partii, która go wspiera. To jego ogromny sukces.

Na wszystkich kandydatów prawicy padło ok. 52 proc. głosów, więc jeśli Trzaskowski nie przekona młodych wyborców Konfederacji do po-

zostania w domach, a z drugiej strony nie odzyska głosów elektoratu lewicy – czeka nas polityczne trzęsienie ziemi. Być może nawet koniec systemu politycznego, w jakim żyjemy od 36 lat. Paradoksalnie, jego demontaż może odbyć się w momencie, w którym duża część społeczeństwa pragnie zmian i wyjścia z klinczu dwóch głównych partii, ale ma jednocześnie na myśli zupełnie inne zmiany.

KANDYDACI PO-PIS nigdy nie byli tak słabi. Zagospodarowali w niedzielę niewiele ponad 60 proc. głosów oddanych 18 maja. Jednak ludzie pra-

gnący końca układu zależności, w jakim żyjemy od dwóch dekad, raczej nie zmienia rzeczywistości. Mogą nie zdążyć. W scenariuszu, w którym Trzaskowski zdoła rzutem na taśmę zmienić charakter swej nudnej kampanii i odzyskać wyborców KO z jesieni 2023 r. – wygra, ale duopol się nie skończy. Jego radość będzie ledwie maskować ulgę po szczęśliwym zakończeniu rywalizacji, w której musiał przymilać się do elektoratu prawicy, a ostatecznie wiele głosów tam nie zdobył. Raczej opinię kogoś, kto dla wygranej jest gotowy na kopiowanie poglądów swych przeciwników.

Zapomnijmy jednak o kampanii i rozpatrzmy dwa scenariusze, które nam pozostały. Załóżmy też, że wybory zostaną uznane za ważne. Przy wygranej Trzaskowskiego, obóz koalicji, której rząd roztrwonił w błyskawicznym tempie dużą część poparcia – będzie musiał działać szybko i dokończyć zwłaszcza proces odzyskiwania sądownictwa. To prawica jest dziś w natarciu, a nieodbite przyczółki PiS w wymiarze sprawiedliwości mogłyby stać się – w razie porażki w wyborach do parlamentu w 2027 r. – bazą rozliczeń z ekipą Tuska, na którym Kaczyński od lat pragnie się zemścić, kończąc żywot publiczny obecnego premiera RP. Lider KO doskonale wie, że w razie utraty władzy może spodziewać się wszystkiego, łącznie z więzieniem. To zaś oznacza, że w walce o przetrwanie nie będzie siedł na kompromisy. Celem stanie się rozbić PiS, na czym pewnie skorzystałaby Konfederacja, z której liderami Tusk nie toczy od dwóch dekad śmiertelnego pojedynku i nie musi spodziewać się skrajnej wrogości.

CZY ZYSKA na tym nasza demokracja? Śmiem wątpić, ale powyższy scenariusz jest prawdopodobny. Tusk nie może pozwolić na powrót do władzy dawnego obozu w obecnej formie i pod podobnym kierownictwem, bo jeśli Kaczyński odzyskałby Sejm, można się spodziewać wojny totalnej. Wyobrażam sobie nawet próbę usunięcia prezydenta Trzaskowskiego (jeśli odniósłby 1 czerwca sukces). Czyli najpierw odwrócenia spodziewanych zmian, dokonanych przez ekipę Tuska w sądach i Trybunale Konstytucyjnym, a potem ignorowania wet niechcianego prezydenta. Nie bardzo można go siłą usunąć z Pałacu, ale można spróbować uznać jego wybór za nielegalny, np. orzeczonny na podstawie elekcji, która rzekomo nie była równa, bo pozbawiła główną partię opozycyjną większości funduszy na kampanię przy beczynności sądów, oraz uniemożliwiła jej równy

dostęp do przejętych z naruszeniem prawa mediów publicznych.

Bardzo wielu obywateli Polski głosujących dziś na koalicję rządzącą przeczuwa też, że w razie ziszczenia się drugiego scenariusza: przegranej Trzaskowskiego, czekają nas gwałtowne turbulencje, na dodatek w sytuacji, w której świat wokół może stać się jeszcze bardziej niespokojny. Widać wyraźnie, że Andrzej Duda, ze swoim dość łagodnym charakterem, który mimo to potrafił powstrzymać wetem najbardziej skrajną wersję demokracji sądownictwa w 2017 r., byłby w sumie mile wspomnianym lokatorem Pałacu Prezydenckiego.

NAWROCKI JEST INNY i wcale w tej kwestii nie kręci, choć z doświadczeń afery z panem Jerzym wiemy, że kręcić potrafi. W przeciwieństwie do obecnego prezydenta nigdy nie starał się o głosy politycznego centrum oraz nie maskował swych intencji, jak Duda i obóz PiS u progu 8-letniej epoki. Jeśli zwycięży 1 czerwca, koalicja rządząca nie tylko nie zdoła dokończyć żadnej z planowanych reform, na czele ze skutecznym uchwaleniem ustaw dotyczących wymiaru sprawiedliwości, a tym samym złamać oporu Trybunału Konstytucyjnego, części Sądu Najwyższego oraz kierownictwa prokuratury z epoki PiS, które do dziś nie uznało swych dymisji. Nawrocki wydaje się być też człowiekiem, który nie zapomni o zarzutach, jakie padły pod jego adresem w kampanii (i zapewne jeszcze padną, bo końcówka szykuje się „na noże”). Będzie za wszelką cenę dążył do sparaliżowania rządu i koalicji, a potem do jej rozbitcia. Budżetu co prawda nie zawetuje, ale może go odesłać do Trybunału Konstytucyjnego, aby ten cofnął go np. pod pozorem niskich nakładów na zdrowie, nierealizujących konstytucyjnego obowiązku państwa ochrony życia i zdrowia obywateli. Tak, wiem, dziś brzmi to jak polityczne science fiction, ale doświadczenia z lat, gdy środowisko PiS rządziło, każą nam spodziewać się skrajnej eskalacji. PiS nie jest klasyczną chadecją, to raczej skrzyżowanie tradycyjnej partii z alt-prawicą, w której te drugie cechy będą się nasilać – choćby po to, by nie doszło do jej zastąpienia przez Konfederację.

Naciskany przez Nawrockiego obóz rządowy raczej nie byłby w stanie się skonsolidować. Przy powtarzanych wetach do ustaw straci raczej możliwość skutecznego rządzenia, będzie nadal słabł i nie realizuje wielu ze swoich stu konkretów. Zapłaci też przy okazji za bajki opowiadane w 2023 r. w kampanii wyborcom spoza żelaznego elektoratu, którzy przyszedli do Tuska trochę

„dla zysku”, traktując na poważnie choćby obietnicę 60 tys. złotych kwoty wolnej od podatku. Nie czas analizować skutki porażki, bo do niej wciąż daleko, a Trzaskowski moim zdaniem ma wciąż duże szanse na wygraną, jednak oczywiste jest, że przy odwrotnym scenariuszu obóz władzy zapłaci ogromną cenę.

TO ZNAMienne, jak często w kampanii, gdy jeszcze widmo klęski było daleko (a niektórzy publicyści wierzyli w minięcie Nawrockiego przez Sławomira Mentzena), Szymon Hołownia przypominał o braku ustaw sądowych. Uznawał widmo wet ze strony prezydenta Dudy za marne usprawiedliwienie dla inercji koalicji, i coś w tym chyba jest. Twardy elektorat KO zaakceptował taktykę Tuska, by nie zawracać Pałacowi głowy reformami, których nie zatwierdzi. Jednak wyborcy, którzy przechylił szalę zwycięstwa 15 października 2023 r. warunkowo, czują się rozczarowani. Paradoks polega na tym, że Hołownia, który najgłośniej domagał się przyspieszenia ze strony koalicji, poniósł największą klęskę. Choć jako jeden z niewielu mówił o konkretnych (odpartyjnieniu spółek, usunięciu smartfonów ze szkół, sojusz obronny ze Skandynawią), nie przekonał, że stanowi realną alternatywę dla KO. Teraz nie wiadomo nawet, czy jego Polska 2050 przetrwa kryzys, i czy PSL nie obali na jesiennym kongresie swego kierownictwa, nie wyjdzie z Trzeciej Drogi i nie przypomni o swoim „obrotowym” charakterze. To byłby definitywny koniec koalicji, szybsze wybory i raczej wygrana PiS. Lewica nie byłaby w stanie zapełnić luki. Co prawda ostatecznie jej kandydaci uzyskali ponad 9 proc., ale w większości to głosy na antyrządowego Adriana Zandberga.

NAJWAŻNIEJSZE PYTANIE: co zrobi Konfederacja? Czy jej kandydat choćby półgębkiem poprze Nawrockiego i w przyszłości wejdzie w układ z PiS, czy też partia zdecydowanie się na niezależność i długi marsz po samodzielną władzę, który preferuje młodsza część jej elektoratu, ale który jest ryzykowny dla partii zbyt długo będącej w opozycji. Ciekawe jest też, jaka będzie dynamika między Konfederacją a Nawrockim. Jeśli mimo konfrontacyjnej postawy Mentzena pod koniec kampanii, spory uda się załagodzić, Kaczyński może mieć z Nawrockim i częścią swej partii spory problem. Już nie on będzie liderem prawicy. Zwłaszcza że z obecnym kandydatem PiS nawet Grzegorz Braun i jego elektorat mieliby bardziej po drodze, także w kwestii Ukrainy. ©©


JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Około 2 milionów wyborców z 2023 roku zostało w domu. Oni mogą na drugą turę wrócić. O wyniku zdecyduje mobilizacja obu elektoratów.

PIOTR ŚMIŁOWICZ: Co wyniki pierwszej tury wyborów zwiastują przed drugą turą?

JAROSŁAW FLIS: Wyrównaną walkę.

Wyniki Karola Nawrockiego, Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna są wyższe, niż przewidywano?

Przed wszystkim Brauna. Znamienne, że kandydaci, którzy ani nie byli wiązani z obecnym rządem, ani z poprzednim, otrzymali ponad 25 proc. głosów.

Skąd się wziął taki dobry wynik Brauna?

Poparli go z jednej strony potencjalni wyborcy Nawrockiego, których zniechęciła sprawa kawalerki. Poza tym Braun w tych wyborach skorzystał najbardziej na efekcie nowości. Znaczenie miało to, że był wyrazisty. Gaśnica jako gadżet odegrała tu dużą rolę. Wyborcy Brauna to ludzie, którzy się zrazili do PiS, oraz ci, którzy zostali pozyskani. Także część wyborców Mentzena, którzy się do niego zniechęcili.

Czy eksploatowanie tematu kawalerki nie pomogło raczej Nawrockiemu, niż mu zaszkodziło? Bo zmobilizowało elektorat PiS.

Nie tyle zmobilizowało elektorat, ile zniechęciło do tych, którzy go atakują. Poza tym PiS argumentował, że to jest temat zastępczy i wydaje mi się, że wielu wyborców mógł przekonać. Tym niemniej sprawa kawalerki moim zdaniem generalnie zaszkodziła Nawrockiemu, bo gdyby nie ona, mógł on wyprzedzić Trzaskowskiego.

Czy wyborcy poprą w drugiej turze Trzaskowskiego, a czy Nawrockiego?

Może odegrać tu rolę kwestia odległości ideowej. Wyborcom Mentzena czy Brauna może być bliżej do Nawrockiego, a wyborcom Hołowni

czy Bieja do Trzaskowskiego. To jest tzw. odległość pionowa. Ale jest też ta pozioma – jak daleko jest do obu. Ta odległość może zdecydować, czy się w ogóle pójdzie do wyborów.

Na razie wygląda na to, że Nawrocki ma większe aktywa. Znacznie większe poparcie otrzymali Mentzen i Braun, niż Hołownia, Biejat i nawet Zandberg, jeśli założymy, że jego wyborcy poprą raczej Trzaskowskiego.

Decydujące znaczenie będzie miała raczej mobilizacja, a nie liczba głosów oddanych w pierwszej turze na tych, którzy zajęli dalsze miejsca. Z moich danych wynika, że około 2 milionów wyborców z 2023 roku zostało w domu. Oni mogą wrócić. Na przykładzie rumuńskim zobaczyliśmy, że wyborcy są w stanie się zmobilizować.

Co powinien zrobić jeden i drugi, żeby wygrać?

Na doradzanie się nie piszę. Dotąd wygrywał ten, który był mniej przechylony na swoją silniejszą stronę. To jest łatwiejsze z punktu widzenia Trzaskowskiego, który po prostu powinien jeździć po wschodniej Polsce. To jest kluczowe. Zaś Nawrocki powinien robić wszystko, by dotrzeć do mieszkańców średnich i dużych miast, zwłaszcza w zachodniej Polsce. Najważniejsze jest nie zrażać. Nie mobilizować wyborców przeciwnika. Na pewno ważne będą też debaty czy debata.

O ile do nich dojdzie.

Myślę, że raczej dojdzie. Żaden z kandydatów nie powinien się nadmiernie debat obawiać. Trzaskowski jest w nich teoretycznie lepszy, ale jak na razie wypadł poniżej oczekiwań, zaś wobec Nawrockiego oczekiwania były mniejsze, zwłaszcza po jego wystąpieniach na początku kampanii, i w tym kontekście nie wypadł źle. ©P


Biskupi bojkot

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

CZŁONKOWIE PREZYDIUM EPISKOPATU POLSKI, abp Tadeusz Wojda, abp Józef Kupny i bp Marek Marczak, mogli w swoim liście nt. nowego szkolnego przedmiotu – wchodzącej w życie zamiast „Wychowania do życia w rodzinie” nieobowiązkowej edukacji zdrowotnej w klasach 4-8 podstawówek i w szkołach ponadpodstawowych – zawrzeć wiele krytycznych uwag. Np. że polska oświata nie ma przygotowanych do nauczania tego przedmiotu kadr (co wytękało wielu ekspertów). Albo że należy z jego wprowadzeniem poczekać, bo uczniowie są już i tak mocno przeciążeni (co zauważali inni eksperci). Ewentualnie że deklarowany program tego przedmiotu to tylko przykrywką dla programu podstępnie ukrytego (na co wskazywali wcześniej obsesyjnie sami hierarchowie, niebędący ekspertami).

Ale biskupi Wojda, Kupny i Marczak poszli inną drogą, przekraczając nawet własne – co tu kryć: mocno wyśrubowane – standardy ideologicznej histerii.

Napisali, że w podstawie programowej tego przedmiotu nie chodzi o zdrowie uczniów (choć właśnie zdrowie – fizyczne, psychiczne, społeczne, seksualne – jest w tym dokumencie odnawiane dziesiątki razy przez wszystkie przypadki). Napisali, że „uczniowie mają być od najmłodszych lat poddawani erotyzacji” (choć nie da się jej tam żadną miarą zauważyć, chyba że z pomocą bujnej wyobraźni).

Nadmienili, że wprowadzenie pojęcia „tożsamości płciowej” może prowadzić do decyzji o operacji „zmiany płci”. Na koniec nakłaniają rodziców, by zakazali swoim dzieciom uczestnictwa w zajęciach („Nie wolno Wam zgodzić się...” itd.). Ani słowem nie wspominając, że przedmiot jest, także za sprawą wcześniejszych protestów, nieobowiązkowy.

Gdyby któraś z kolejnych ekip MEN chciała – wzorem nowych przedmiotów wchodzących do szkół od 1 września 2025 roku, czyli edukacji obywatelskiej i edukacji zdrowotnej – wprowadzić edukację medialną, biorąc m.in. za cel jakże ważny dziś wątek medialnej manipulacji i fake newsów, list trójki polskich biskupów mógłby być ważnym załącznikiem do podstawy programowej z tego przedmiotu. ©P



Coraz więcej aktów dywersji na zlecenie Rosji

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

NA POCZĄTKU MAJA W LONDYNIE SPŁONAŁ SAMOCHÓD. NIE-
długo potem ktoś w brytyjskiej stolicy podłożył ogień
przy wejściu do budynku z mieszkaniami na wynajem i w eks-
kluzywnej rezydencji. Nieruchomości należą do Keira Starmer-
a, premiera Wielkiej Brytanii i jego rodziny. Samochód też był
jego, ale w 2024 r. Starmer sprzedał go sąsiadowi.

Brytyjskie służby szybko złapały sprawców. 21-letni
Ukrainiec Roman Ławrynówycz usłyszał zarzuty. Toż-
samości drugiego podejrzanego, 26-lotka zatrzymane-
go na lotnisku Luton, na razie nie ujawniono. Śledczy nie
mają wątpliwości, że działali oni na zlecenie Kremla.

SIATKA W NIEMCZECH | Także na zlecenie Rosji działały trzy
osoby aresztowane w Niemczech w ubiegłym tygodniu. Szyko-
wały ataki, które mogły się okazać tragiczniejsze w skutkach
niż te londyńskie. Śledczy uważają, że siatka dywersyjna przy-
gotowywała paczki, w których jako materiału zapalającego
użyto termitu, wysoce łatwopalnego środka chemicznego.

Schemat ataków planowanych w Niemczech miał
przypominać te z 2024 r., gdy podczas transportu w Lip-
sku i Brighton zapalili się przesyłki DHL. Tym ra-
zem sabotażyści przygotowywali paczki, które, wysła-
ne z Niemiec, miały wybuchnąć w drodze do Ukrainy.

Główny podejrzany Władysław T. ponoć od lat mieszkał
w Kolonii, a dwoje jego współników, Lolita K. i Danil B., w ośro-
dku dla uchodźców w Konstancji. Czwartego podejrzanego, Jew-
giena B., zatrzymano w Szwajcarii. „Osoby te jeszcze przed koń-
cem marca zgodziły się na dokonanie podpałen i ataków bom-
bowych, działając w imieniu rosyjskich władz państwowych”
– oświadczył szef MSW landu Nadrenia Północna-Westfalia Her-
bert Reul. Uwagę zwraca, że służby ujęły tę siatkę dość szybko.

MODUS OPERANDI | Liczba takich ataków w Europie rośnie
lawinowo. Z najnowszego raportu Centrum Studiów Stra-
tegicznych i Międzynarodowych (CSIS) w Waszyngtonie
wynika, że w 2022 r. odnotowano na naszym kontynencie
tylko dwa akty sabotażu, w 2023 r. było ich już 12, a w roku
2024 – 34. Cele to zwykle obiekty przemysłowe i infrastruk-
tura krytyczna, coraz częściej też transport. Najczęściej
stosowane metody to podpalenia i materiały wybuchowe.

Wkrótce po rozpoczęciu przez Rosję inwazji na Ukra-
inę z Europy wydano setki oficerów rosyjskiego wywia-
du, którzy działali pod dyplomatyczną przykrywką. Kreml
zmienił więc *modus operandi*: teraz do ataków i szpiegostwa
rekrutuje amatorów. Zwykle za pomocą komunikatorów
czy nawet gier online. Czasem, jak w przypadku Serhija S.,
skazanego za przygotowywanie zamachu we Wrocławiu,
motywacją jest wrogość do rządu w Kijowie. Jednak zwy-
kle zachętą są pieniądze: od tysiąca dolarów wzwyż, płat-
ne w kryptowalutach; połowa z góry, reszta po ataku.

WOJNA CIENI | Z ustaleń brytyjskiego dziennika „Guardian”
wynika, że stoi za tym dawna jednostka GRU 29155, wyspe-
cjalizowana w dywersji i zabójstwach (odpowiadała m.in. za
próbę zabicia w Wielkiej Brytanii Siergieja Skripala, byłego
oficera wywiadu Rosji, który przeszedł na stronę Angli-
ków). Jednostkę tę wcielono do większego departamentu
GRU, którym kieruje jej dawny szef Andriej Awierianow.

Sabotażystów-amatorów Rosjanie używają jak mario-
netek, o które w razie aresztowania się nie troszczą. „Jednego
wsadzamy do więzienia, następny zajmuje jego miejsce” – mó-
wił brytyjskiemu dziennikowi europejski urzędnik z insty-
tucji zajmującej się bezpieczeństwem. Cytowana przez CSIS
Kaja Kallas, szefowa unijnej dyplomacji, nazwała to „woj-
ną cieni” prowadzoną przeciw naszym społeczeństwom.

Polska w tym miesiącu, w ramach retorsji za jeden z ta-
kich ataków – podpalenie centrum handlowego Marywil-
ska 44 w Warszawie w maju 2024 r. (na zdjęciu) – zamknę-
ła rosyjski konsulat w Krakowie.

Sabotaż stał się bronią taniego
zaciągu – amatorskich zama-
chów, które odbijają się coraz
większym echem. I o to
Rosji chodzi: o chaos,
niekoniecznie sku-
teczność. ©



NA PUNKTY

ZĘBY | Lubimy głosować:
I tura tegorocznych wyborów
prezydenckich przebiegła
wyjątkowo spokojnie. Więk-
szość incydentów w lokalach
wyborczych wiązała się z pro-
wadzeniem agitacji w czasie
ciszy, tylko w jednym pewien
agresywny mężczyzna ugryzł
w przedramię członka komisji,

ale został błyskawicznie obez-
władniony.

POCIĄG | Samą ciszę też lu-
bimy – i poza Arkadiuszem
Myrchą z PO, który podczas jej
trwania omyłkowo umieścił
w swoich mediach społeczno-
ściowych apel o głosowanie na
jednego z kandydatów, potrafi-

my jej dochować. „Jest taka ci-
sza, że chyba każdy usłyszy tę
dobrą nowinę: mamy wreszcie
BEZPOŚREDNIE połączenie ko-
lejowe z Polski do Chorwacji!”
– napisał w serwisie X Donald
Tusk i nie była to żadna aluzja.

WANNA | Najbardziej lubi-
my jednak zostawać w domu.

Na nagraniu z posiedzenia
Krajowej Rady Sądownic-
twą widać, że Anna Maria
Żukowska uczestniczy w ob-
radach... z wanny. Zapytana
przez Onet posłanka lewicy
tłumaczy, że cierpi na ból
kręgosłupa i czasami nie po-
zostaje jej nic innego, jak wy-
grzanie się. ©



JACOBUCCI MARCO / AFP / EAST NEWS

Msza inauguracyjna papieża Leona XIV. Watykan, 18 maja 2025 r.

Leon XIV rozpoczął pontyfikat

WIARA ■ Dziesięć dni upłynęło od wyboru na stolicę Piotrową Leona XIV, pierwszego w historii papieża augustianina. Przez ten czas usiłowaliśmy, wróżąc ze skrawków wypowiedzi nowo wybranego papieża, odczytać przyszłość jego pontyfikatu. Po mszy inauguracyjnej i pierwszej homilii papieża, a także pewnych gestach, możemy powiedzieć, że będzie to pontyfikat nawiązujący w doktrynie do Jana Pawła II, ale w wymiarze duszpasterskim i społecznym bezwzględnie do papieża Franciszka (w homilii Leon XIV wspominał, że czuje jego obecność). Pontyfikat ekumeniczny, ale zarazem respektujący katolicką tożsamość i jasne przesłanie teologii Benedykta XVI. Pontyfikat wołający o pokój, sprawiedliwość i prawdę, co zostało wyeksplikowane np. w przemówieniu do Korpusu Dyplomatycznego.

Po raz pierwszy w historii inauguracji pontyfikatu odśpiewano ewangelię w dwóch językach, łacińskim i greckim, co jest chyba jasnym wskazaniem na greckie, a więc też bliskowschodnie korzenie chrześcijaństwa. Modlitwa wiernych została wypowiedziana w pięciu językach: hiszpańskim (jedna trzecia katolików świata jest hiszpańskojęzyczna), francuskim (język najstarszej córki Kościoła w Europie), arabskim (ukłon w stronę chrześcijan bliskie-

go Wschodu, a także muzułmanów, również tych niechętnych chrześcijaństwu), polskim (co – wraz z trzymanym w dłoni pastorałem Jana Pawła II – jest czytelnym nawiązaniem do tamtego pontyfikatu), wreszcie chińskim (co w perspektywie trudnej sytuacji na linii Chiny–Rzym jest nie tylko ukłonem, ale wyrazem zrozumienia dla wyzwania, jakim jest nowo powstające imperium chińskie).

Będzie to również pontyfikat nawiązujący do Maryi, na co wskazuje umieszczenie przy ołtarzu kopii ikony Matki Bożej Dobrej Rady z augustiańskiego sanktuarium w Genazzano.

Jeśli chodzi o ogłoszenie programu, to pewnie będzie nam trzeba poczekać do pierwszej encykliki, ale papież zaczął od klasycznego cytatu z „Wyznań” św. Augustyna: „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”. Uderzyła też metafora Kościoła jako zaczynu. Kościół zanurzony w świecie pełnym problemów i niepokojów chce być „małym zaczynem jedności, komunii, braterstwa”. Nawiązanie do braterstwa oczywiście wypływa z duchowości augustiańskiej papieża. Kluczowe jest ostatnie zdanie homilii: „Razem, jako jeden lud, jako *fratelli tutti*, idźmy ku Bogu i miłujmy się wzajemnie”. Jest to zarazem bezpośrednie odniesienie do encykliki papieża Franciszka, a jednocześnie spojrzenie eschatologiczne. Nie idziemy przeciwko sobie, ale ku Bogu. Jesteśmy wszyscy, niezależnie od religii, dziećmi tego samego Boga. ©

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA
z Watykanu

Postawili na Europę

RUMUNIA ■ Nowym rumuńskim prezydentem będzie Nicușor Dan. Liberalny burmistrz stołecznego Bukaresztu pokonał w drugiej turze nacjonalistę George'a Simion, uzyskując 53,6 proc. głosów. Ten wybór zapowiada proeuropejski kurs Rumunii w polityce zagranicznej, walkę z korupcją i próbę przebudowy systemu politycznego.

Nicușor Dan to 55-letni doktor matematyki, który 20 lat temu zaangażował się w walkę z przekupstwem i patologicznymi praktykami deweloperskimi w rumuńskiej stolicy. Do ogólnokrajowej polityki wszedł w 2015 r., gdy młodzi ludzie wyszli na ulice, by protestować pod hasłem „Korupcja zabija!”.

Przyczyną wybuchu tej fali niezadowolenia społecznego był pożar w trakcie koncertu, w którym zginęły 64 osoby, a 170 zostało rannych. Dan stał się jednym z liderów tego protestu, po czym swój ruch miejski przekształcił w partię: Związek Zbawienia Rumunii (USR). Rok później weszła ona do parlamentu, uzyskując 16 proc. poparcia. Wkrótce Dan rozstał się z partią, pozostał jednak bliski temu środowisku, dzięki czemu w 2020 r. z poparciem USR wygrał wybory burmistrza stolicy.



ANDREI PUNGOVSCHI / GETTY IMAGES

Nowy prezydent Rumunii Nicușor Dan po ogłoszeniu pierwszych wyników wyborów prezydenckich. Bukareszt, 18 maja 2025 r.

Dan nie ubiegał się o stanowisko głowy państwa w ubiegłym roku. Zdecydował się po tym, gdy ówczesną pierwszą turę wygrał prawicowy radykał Călin Georgescu, a Sąd Konstytucyjny anulował wybory. Dan, który jest konsekwentnym krytykiem największych partii, jak i obrońcą wartości obywatelskich, miał największe poparcie tej części społeczeństwa, które, pragnąc zmian w państwie, nie chciało oddać go w ręce nacjonalistów, bojąc się zerwania więzi z Europą. Ostatecznie o jego zwycięstwie zdecydowała właśnie masowa mobilizacja wśród osób, które w ostatnich latach nie brały udziału w wyborach.

Prerogatywy prezydenta Rumunii dotyczą głównie polityki zagranicznej i obronnej, tymczasem program Dana skupia się na reformie państwa. Pierwszym wyzwaniem dla niego będzie ponowne poskrajanie koalicji sił proeuropejskich, która rozpadła się jesienią 2024 r., po pierwszej turze tamtych wyborów. Nacjonaliści, na czele z Simionem i Georgescu, nie składają broni: liczą, że nowy prezydent i partie głównego nurtu ugrzęzną w rozgrywkach. © PIOTR OLEKSY

Kino tęskni za emocjami

RELACJA ■ Cannes to festiwal kontrastów – z jednej strony elegancja czerwonych dywanów i wielkie nazwiska, z drugiej – żar bijący spod szklanych kopuł, długie kolejki do sal i przesyt banalnymi opowieściami na temat tego, że Europa musi się dogadać. W tym roku na Lazurowym Wybrzeżu znów pojawiły się dwa typy filmów: „trzeba zobaczyć” i „warto zobaczyć, bo może jury się pomyli”.

Pierwszy gatunek reprezentuje satyryczny „Edgington” Ariego Astera, amerykańskiego reżysera, który objawił się przed dekadą jako nowa nadzieja kina grozy. Obraz formalnie imponujący, tworzy świat na granicy politycznej, społecznej i kulturowej implozji, popadając jednak w nieznośną przesadę.

W kontrze – subtelny i przejmujący „Sound of Falling” niemieckiej reżyserki Maschy Schilinski, opowieść o kobietach w różnych epokach, spleciona z pamięcią miejsca, traktująca ciało jako swoiste archiwum wspomnień. Reżyserka portretuje dziewczyny wchodzące w dorosłość oraz kobiety uwięzione w nieszczęśliwych związkach. To kino ciche, ale głęboko poruszające – bez tanich chwytów.

Gdzieś między nimi pojawia się Tom Cruise z ostatnią częścią „Mission: Impossible” – analogowy bohater w cyfrowej erze, który udowadnia, że film akcji wciąż potrafi porwać tłum. To hołd dla starego kina i zarazem przypomnienie o jego sile. Myślę, że po trzydziestu latach istnienia serii aktor rzeczywiście zasłużył sobie na pomnik. Nawet jeśli (ten typ tak ma) sam go sobie postawił. Cannes najwyraźniej nadal tęskni za emocjami, prostotą i szczerością.

© MICHAŁ WALKIEWICZ z Cannes

Antyprzyprawa: badacze odkryli, jak odostrzyć chili

SMAKI ■ Komu się w kuchni nie zdarzyło przesadzić z pikanterią albo brawurowo zamówić w tajskiej restauracji najostrejsze danie, by potem gorzeć i wylewać siódme poty? Przedawkowanie chili, podobnie jak soli, było do dziś nieodwracalne. Ale naukowcy z Ohio State University odkryli właśnie substancje, które mogą pomóc stworzyć kulinarny odostrzac.

Pikantność, która nie jest w sensie ścisłym smakiem, lecz reakcją bólową, zawdzięczamy zawartym w papryczkach kapsaicynoidom – związkom, które przekonują pewne receptory w naszych ustach, że coś nas parzy. Poziom zawartości najślawniejszego z nich, kapsaicyny, jest podstawą skali Scoville’a (SHU) mierzącej ostrość papryczek: słodka papryka liczy o SHU, poblano 500-2500 SHU, serrano 10-23 tys. SHU, Bird’s eye 50-100 tys. SHU, Scotch bonnet 100-350 tys. SHU, Carolina Reaper 1,6-2,5 mln SHU. Ale zdarzają się papryczki z góry skali wcale nie tak ostre, jak oczekiwaliśmy żądny wrażeń konsument. Zespół Devina Petersona postanowił sprawdzić dla-

Najpierw panelowi testerów podali sok pomidorowy z proszkiem z dziesięciu różnych papryczek, m.in. serrano, African bird’s eye i Scotch bonnet. Choć każdą próbkę przyprawili do poziomu 800 SHU, to testerzy potwierdzili, że koktajle miały różną ostrość. Następnie badacze przeanalizowali skład chemiczny poszczególnych papryk i wytypowali pięć związków z grupy glukozydów mogących mitygować ostrość. Następnie panelowi testerów podali po dwa pikantne koktajle – z domieszką owych substancji i bez nich. Wynik testu potwierdził ich odostrzające działanie. Co więcej, nie mają one własnego smaku.

Badacze nie znają jeszcze mechanizmu oddziaływania tych substancji, ale podejrzewają, że uniewrażliwiają one receptory w ustach odpowiedzialne za odczuwanie parzenia. Jak mówi Peterson na łamach portalu ScienceDaily, na ich bazie można by stworzyć dodatek do żywności, który pozwoliłby obniżyć jej nadmierną pikantność. Ale mają też potencjał zastosowania w nieopiodowych środkach przeciwbólowych.

Choć wśród miłośników kuchni są tacy, dla których potrawa nigdy nie jest zbyt ostra, to taka antyprzyprawa mogłaby się pozwolić cieszyć kuchnią tajską czy meksykańską również osobom bardziej wrażliwym czy dzieciom. I uratować niejedno danie.

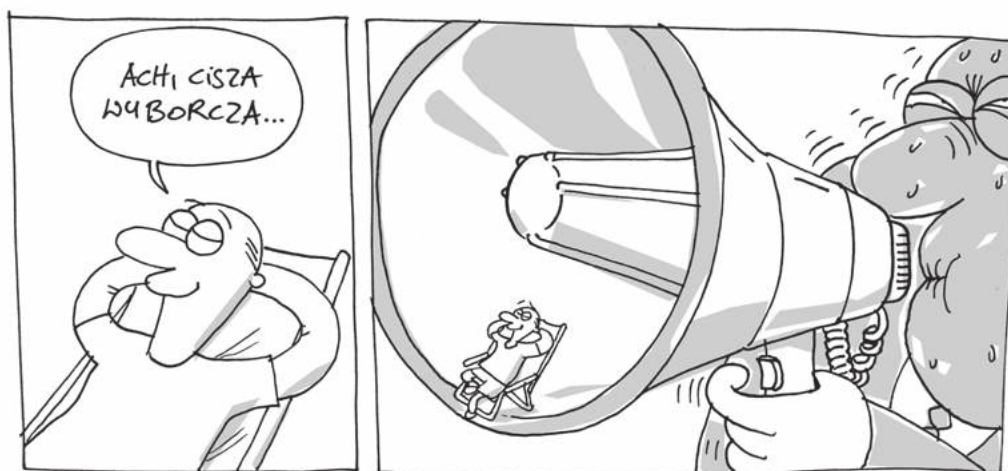
© MICHAŁ KUŹMIŃSKI



EVA PYSMENNA / ADOBE STOCK

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



WYBORY W TARTAKU

JACEK K. SOKOŁOWSKI, POLITOLOG I PRAWNIK:

Żeby kandydat zmiany wygrał, musi narosnąć odpowiedni poziom niezadowolenia z dotychczasowych rządów.

A to się Polakom zbiera w dość długich okresach.

Wyborcy Mentzena nie muszą poprzeć Nawrockiego.

MICHAŁ OKOŃSKI: Kto będzie prezydentem?

JACEK K. SOKOŁOWSKI: Przypuszczam, że Rafał Trzaskowski może się jeszcze przeczołgać przez drugą turę, choć wyniki pierwszej okazały się dla niego zaskakująco niekorzystne. Widać, że wiarygodność koalicji rządowej przez półtora roku dramatycznie spadła, co przełożyło się również na niższą frekwencję. Nie tylko zresztą wśród jej elektoratu: Karol Nawrocki dostał półtora miliona głosów mniej niż PiS w październiku 2023 r. Na Trzaskowskiego zagłosowało pół miliona Polaków mniej, niż wtedy poparło PO. Ale największym gamechangerem okazał się Hołownia i to jego wynik stawia teraz Trzaskowskiego w tak trudnej sytuacji: od PSL i PL2050 odeszły łącznie dwa miliony wyborców, a jednocześnie bardzo dobrze wypadli przedstawiciele elektoratu frustracji – o ile na Konfederację zagłosowało w 2023 r. około półtora miliona Polaków, to Mentzen i Braun dostali dziś łącznie ponad cztery miliony głosów.

To pokazuje, że obecna koalicja doszła do władzy wyłącznie dzięki elektoratowi zmobilizowanemu przez Hołownię i że ten elektorat głęboko się jej rządami rozczarował.

Co go odrzuciło?

Dużo było w ostatnich miesiącach wiązania się w sprzeczności: wspieranie deweloperów, obniżenie składki przedsiębiorcom, miotanie się w sprawie CPK albo rozliczeń. Wyborcy Trzeciej Drogi byli zmęczeni wojną wszystkich ze wszystkimi i nie chcieli Giertycha wyskakującego z każdej łódzki z postulatami wsadzenia całego PiS-u do pudła.

Ci, którzy chcieli rozliczeń, też się ich nie doczekali.

Do tego okazało się, że polityka PiS jest w wielu aspektach kontynuowana; twardy elektorat PO „łyknął” całkowitą zmianę retoryki w sprawie granicy, jednak pozostali, jak widać, zobaczyli w tym polityczny cynizm.

Ale może popatrzymy inaczej: czy wyniki poprzednich wyborów prezydenckich były przewidywalne zaraz po pierwszej turze? W 2010 r. były. W 2000 r. w I turze było już po wyborach. W 2005 r. nie bardzo, bo sondaże zawiodły i wynik Lecha Kaczyńskiego był zaskoczeniem. W 2015 r. faworytem był Komorowski, ale zastanawiam się, do którego momentu...

Adam Michnik mówił, że aby przegrać, musiałby po pijanemu przejechać na pasach zakonnicy w ciężcy.



GRZEGORZ BUKAŁA / REPORTER



Nie było żadnej zakonnicy. Komentując wybory nie wpadajmy w magiczne myślenie, że oto ktoś naciśnie tajny guzik, wyciągnie Tuskowi dziadka z Wehrmachtu, a Nawrockiemu kawalerkę, i wszystko się zmieni. Werdykt wyborców to zawsze efekt procesów uruchomionych wcześniej.

Ale w „Transnarodzie” operuje Pan kategoriami pecha i szczęścia: Tusk np. miał pecha, bo w pierwszym okresie jego rządów przydarzył się światowy kryzys, trzeba było oszczędzać i woda w kranie przestała być ciepła...

...a Kaczyński miał szczęście, bo w 2015 r. świetny występ Zandberga w debacie odebrał część głosów Zjednoczonej Lewicy, która nie przekroczyła progu: zabrakło jej 76 tysięcy, a Partia Razem dostała ponad pół miliona. W efekcie PiS zyskał samodzielną większość, później zaś rządził w kraju rosnącego PKB, niskiej inflacji, spadających na światowych rynkach cen paliw itd. Ale nawet bez samodzielnej większości Kaczyński dążyłby do destabilizacji sądownictwa i 500 plus też by wprowadził, co by doprowadziło do wyrównania rachunku potransformacyjnych krzywd. Wraz ze strumieniem pieniędzy płynącym na polską prowincję dzięki transferom z UE, 500 plus było narzędziem realnej zmiany, likwidującej w Polsce biedę, a z czasem prowadzącej do powstania drugiej – już nie wielkomiejskiej, tylko prowincjonalnej klasy średniej.

No ale to są procesy, jak pan widzi, głębsze niż pojedynczy incydent w kampanii.

Sam nie wiem. Antoni Dudek zastanawiał się tu przed tygodniem, co by było, gdyby ów mężczyzna z siekierą na UW okazał się migrantem albo Ukraińcem.

Nic by nie było: jest rok 2025, a nie 2015 r. i teraz wszystkie główne siły polityczne są przeciwko migrantom. Tusk uszczelnia mur postawiony przez Kaczyńskiego, Trzaskowski dystansuje się od Ukraińców, ale jest coś jeszcze: każdy kolejny rząd wpuszcza migrantów →

*Wieczór wyborczy Rafała Trzaskowskiego.
Tarnobrzeg, 18 maja 2025 r.*

→ tylnymi drzwiami, bo wymaga tego sytuacja na rynku pracy. Nasz poziom możliwości jest na tyle wysoki, że po pierwsze, nie weźmiemy już każdej roboty, a po drugie, w wielu krajach żyją ludzie, którzy mają się gorzej niż my – i którzy chcą dla nas pracować.

W zasadzie migracja to nie jedyny temat nieobecny dotąd w kampanii. Nie rozmawiamy o aborcji, gender, LGBT.

PiS próbował z LGBT, ale okazało się, że to nie zażarło. A dlaczego nie zażarło? Bo w czasie jego rządów wypalił się zasadniczy podział, wokół którego organizowała się polska polityka, czyli na beneficjentów i malkontentów transformacji. Ci drudzy zostali dowartościowani, zarówno symbolicznie (tym można tłumaczyć np. inwazję disco polo w telewizji Kurskiego), jak i materialnie. A kiedy się wzbogacili i kiedy się zorientowali, że nie są wcale gorsi niż „ci w miastach”, zaczęli zbliżać się do nich także w kwestii wzorców kulturowych.

W „Transnarodzie” pisze Pan o prześnionej rewolucji seksualnej: o zmianie, jaka się dokonała w stosunku Polaków nie tylko do pornografii, antykoncepcji, wolnych związków, ale także aborcji.

Kaczyński nie zdawał sobie z tego sprawy: w 2020 r. postanowił obejść z flanki coraz bardziej zagrażającego mu Ziobrę i zgodził się na zaostrożenie przez Trybunał Konstytucyjny ustawy antyaborcyjnej. „Wypierdalać” usłyszał nie tylko na ulicach wielkich miast, bo protestowała również prowincja. Już nigdy później poparcie dla PiS nie wróciło na poziom 40 proc.

W ostatniej kampanii Dudy z tematu LGBT wycofano się chyłkiem. Widać, że Polska stała się o wiele bardziej liberalna, niż się przesowi wydawało.

Starszy pan z Żoliborza został na Żoliborzu?

Kaczyński nieźle małomiasteczkowych Polaków rozumie, ale ich nie czuje. Zauważył, że potrzebują szacunku i afirmacji dla swojej kulturowej odrębności, ale nie zauważył ich ewolucji. Myślał, że żyją i wierzą jak za prymasa Wyszyńskiego. Otóż zupełnie nie.

Czyli światopoglądowa polaryzacja się wyczerpała. A suwerennościowa?

Też. Polacy, mimo że zaczęli do UE podchodzić z większą rezerwą, wcale nie zamierzają jej opuszczać. Chcą być w Unii i mieć na nią wpływ.

Jedyna różnica polega na tym, że Tusk podkreśla, iż w Brukseli siedzi przy stole i współdecyduje. Co odpowiada naszym aspiracjom...

...i naszej faktycznej pozycji. Jesteśmy wśród 20 najbogatszych państw świata, polska gospodarka się rozwija, a armia zbroi.

W zasadzie więc od wyborów w 2023 r. mam wrażenie, że przedawkowaliśmy polaryzację. Ona działała, dopóki napędzał ją realny społeczny podział: dopóki jedni reprezentowali zadowolonych, a inni niezadowolonych.

Czyli duopol się skończył?

Duopole nie muszą upadać z hukiem, one mogą odchodzić ze skomleniem. I takie skomlenie właśnie obserwujemy, skoro Trzaskowski z Nawrockim dostali w I turze łącznie nieco ponad 61 proc. – znacznie mniej niż zwykle kandydaci duopolu. A przede wszystkim, zebrali łącznie mało głosów: łącznie ok. 12 milionów, czyli w granicach stałych elektoratów partyjnych. Nikogo więcej nie przyciągają.

Tylko co zrobisz ci, którzy zagłosowali w pierwszej turze na ofertę spoza duopolu? Pójdą czy nie? Na kogo zagłosują?

Generalnie w wyborach prezydenckich mieliśmy zawsze dwa modele kandydata: zmiany i kontynuacji. Żeby kandydat zmiany wygrał, musiał narosnąć odpowiedni poziom niezadowolonych z dotychczasowych rządów. A to się Polakom zbierało w dość długich okresach.

Nawrocki nie jest kandydatem zmiany?

Pytanie, dla jak dużej części wyborców. Wcale nie jest powiedziane, że np. wyborcy Mentzena gremialnie go poprą.

A nie przeszkadza Polakom perspektywą, w której cała władza idzie w ręce jednego obozu?

Nie przeszkadzało im to nawet wtedy, gdy Kaczyński w 2015 r. z niespotykaną

brutalnością przechylił boisko na jedną stronę. Wcześniej wszyscy się faulowali, ale murawa była w miarę równa, wówczas doszło do skoku na media, sądownictwo itd. – ale mimo tego przechyłu Polacy pozwolili PiS-owi wygrać kolejny raz, a potem jeszcze dali Dudzie drugą kadencję.

Marcin Duma twierdzi, że najważniejszym barometrem wyniku wyborów jest to, czy ludzie ograniczają wydatki konsumpcyjne. Otóż na razie nie ograniczają.

A nie ma Pan wrażenia, że w wyborach prezydenckich działają jeszcze inne klucze? Nawrocki jest everymanem, spotykaliśmy takich na podwórku. Trzaskowski to chodzące uprzywilejowanie: elitarny dom, języki, świetne wykształcenie...

Mnie się wydaje, że prezydentura zawsze była odbiciem wspomnienia o monarchii elekcyjnej. Szlachta lubiła myśleć, że monarcha jest „pierwszym wśród równych” – jak Wałęsa, robociarz ze stoczni, który zasiadł na tronie i rozmawiał z prezydentem USA czy papieżem, a my odnajdywaliśmy w nim siebie. Kwaśniewski też świetnie ten model reprezentował: bardzo lubił celebrować monarchiczność, ale przecież wszyscy pamiętali, że tańczył disco polo, i wiedzieli, że wódki też się można z nim napić. Komorowski, mimo szlacheckich przodków, również był bratem łąką. Najbardziej inteligentny był, paradoksalnie, kandydat PiS-u.

Profesor Lech Kaczyński, owszem, ale Duda? Chłopak tańczący z młodzieżą na Lednicy, wymarzony typ zięcia?

On rzeczywiście ciężko pracował na wizerunek swojaka, ale to przecież inteligent z Krakowa, doktor z uniwersytetu. Może zresztą ataki dawnych kolegów z uczelni pomogły mu ten gorset zrzucić.

Bo ja sobie pomyślałem, że skoro Kaczyński zdecydował się na Nawrockiego, to jednak coś wie o naszych potrzebach.

A mnie się wydaje, że ostrość umysłu prezesa z wiekiem nieco stępsiała. I że społeczeństwo zmieniło się na tyle, że także oczekiwania wobec modelu prezydentury mogły się zmienić.

Wie pan, jako prawnik obsługuje wielu klientów z prowincji, których

dawniej zaliczilibyśmy do klasy ludowej, a dziś są to po prostu dumni ze swojego sukcesu drobni i średni przedsiębiorcy – już nie chłopci, tylko producenci rolni. Co ważne: mniej zadłużeni niż mieszkańcy miast, mający zabezpieczenie w postaci nieruchomości odziedziczonych po przodkach.

Jakiś konkretny przykład?

Odwiedza mnie np. właściciel tartaku i przestrzega przed pomysłem kupowania willi nad Morzem Alborańskim. Tłumaczy, że są takie tanie, bo obok nich spływają wszystkie ścieki z hiszpańskich plantacji pomidorów. Jemu elitaryzm Trzaskowskiego może nie przeszkadzać, nie tylko dlatego, że kandydat PO już się z nim nie obnosi – ale też dlatego, że ten mój klient wie, że swoim dzieciom może zapewnić podobny status, bo one też mogą się wykształcić, wyjechać za granicę, a potem mówić „bązur”. O ile w 1990 r. coś takiego było z perspektywy prowincji niewyobrażalne, teraz już nie jest. Zniknęły kompleksy w stosunku do miasta: tam, gdzie mieszka właściciel tartaku, są chodniki, kanalizacja i usługi na dobrym poziomie, a on sam na wakacje jeździ z miastowymi i nie ma nic przeciwko jejom.

Może zmyliła mnie lektura „Transnarodu”, gdzie Kaczyński wciąż wypada jak najprzenikliwszy umysł polityczny tego kraju. A może fakt, że po zmianie władzy Tusk tak gładko wszedł w jego buty. Nawet dość przaśne obchody tysiąclecia koronacji Chrobrego były jak z czasów poprzedniej władzy...

Na pewno Tusk chętniej sięga po język i symbole patriotyczne. Na pewno kontynuuje to, co PiS zaczął na granicy z Białorusią. Na pewno wzmacnia armię i kontynuuje programy socjalne. Pytanie, czy będzie w stanie wygenerować potencjał do dużych inwestycji, takich jak CPK. Nie wykluczam, bo np. w budowie gazoportu miał swój udział.

Może szuka jakiegoś swojego CPK? Bo to, że Polacy mają już ambicje do wielkich projektów, chyba wyszło.

Pytanie tylko, jaki Tusk ma kapitał ludzki. Ten, z którym PiS siedzi do władzy w 2015 r., był całkiem niezły. Będący wówczas u szczytu swoich możliwości Kaczyń-

ski postawił na Morawieckiego, a w jego ekipie znalazło się wielu młodych technokratów, którzy nie przyjęli do wiadomości, że w Polsce nic się nie da zrobić. To właśnie im zawdzięczamy postępy cyfryzacji, wprowadzenie Internetowego Konta Pacjenta, aplikacji mObywatel itd. To właśnie ci ludzie zabrali się także za projektowanie CPK. Tyle że nie mieli łatwo: Morawiecki ich w pewnym momencie porzucił, licytując się z Ziobrą w walce na suwerennościowy radykalizm.

Cały czas się zastanawiam, dlaczego Kaczyński nie chciał wziąć na swój sztandar modernizacji?

Duopole nie muszą upadać z hukiem, one mogą odchodzić ze skomleniem.

I takie skomlenie właśnie obserwujemy, skoro Trzaskowski z Nawrockim dostali w I turze łącznie nieco ponad 61 procent.

Miał inne priorytety. W „Transnarodzie” dość szczegółowo opisuje Pan jego krucjatę przeciwko wymiarowi sprawiedliwości.

Tyle mówił o suwerenności, a nie uważał, że naprawdę czyni Polskę bardziej suwerenną – po prostu ją modernizując. I w ogóle się tym nie chwalił.

W tym zresztą widzę paralelę do czegoś, co zrobił Tusk zaraz po powrocie do władzy, czyli do podniesienia uposażeń wszystkich nauczycieli o 30 procent. To była prawdziwa rewolucja: wypowiedzenie niepisanej umowy społecznej między państwem a środowiskiem nauczycielskim i akademickim, opierającej się na tym, że my wam nie płacimy, ale też nie będziemy weryfikować, jak i ile pracujecie. Teraz, kiedy np. nauczyciel akademicki nie musi szukać etatów na kilku uczelniach, można wreszcie zacząć od niego wymagać.

Tuskowi wydawało się pewnie, że rzuca ochłap jednej grupie społecznej, a to przecież grupa, która formuje całe pokolenia. Odpuszczenie edukacji było największym zaniechaniem III RP – a teraz pojawiła się szansa, by to zmienić.

Z Pana opowieści wynika, że oba główne obozy zrobiły w Polsce różne dobre rzeczy, ale zrobiły to jakby mimochodem.

To, co sprawia, że w Polsce żyje się już całkiem dobrze, zbudowali ludzie z drugiego szeregu. Nikt do końca ich historii nie opisał, nikt nie wie, skąd się wzięli i kto im dał parasol polityczny. Jedyną zasługą Kaczyńskiego i Tuska jest to, że pozwolili im działać. Że nie wyrzucili ich w jakimś momencie, nie zastąpili swoimi nominatami.

Dobry jest w tym kontekście przykład z kawalerką Nawrockiego. Informacje o niej czerpiemy z elektronicznych ksiąg wieczystych. Jakie mamy sądownictwo, takie mamy, ale ktoś te księgi zinformatyzywał.

Ale że w PiS nie sprawdzili tych ksiąg? Tyle było legend o spindoktorach i profesjonalizmie polskich kampanii, a tutaj trupy z szafy Nawrockiego wypadały jeden za drugim.

Zabawne, prawda? Jeszcze przy tej PiS-owskiej obsesji służb i zakulisowych działań nie przeprowadzić elementarnego sprawdzenia kandydata?

Ale mnie się wydaje, że Nawrocki był wystawiony po to, żeby w miarę godnie przegrać. To, że wynik drugiej tury jest niewiadomą, świadczy bardziej o słabości Platformy niż o sile PiS. Oni byli tak poobijani po stracie władzy, tak nie mieli pomysłu, że żaden z polityków aspirujących do bycia liderem nie chciał się wychylać. Morawiecki i Czarnek woleli wypuścić kandydata słabego, integrując elektorat wokół twardego jądra. A i tak skurczyło się ono w porównaniu z poprzednimi wyborami.

To kto jest dzisiaj partią protestu? W każdych kolejnych wyborach takie ugrupowanie albo kandydat się pojawiali.

Są socjologowie, którzy twierdzą, że podstawowy podział zawsze jest na tych, którzy mają lepiej, i tych, którzy mają gorzej – a tych, którzy mają gorzej, →

→ reprezentuje dziś Mentzen. Po części chodzi o bunt młodych mężczyzn wobec postnowoczesności, nieoczekiwanie przybierający formę polityczną.

Ich lęk dotyczy niestabilności świata, w którym żyją, a Mentzen dostarcza na ten lęk swoich chałupniczych odpowiedzi, odwołując się do mitu amerykańskiej patriarchalnej klasy średniej z lat 50. i 60. XX wieku. Nieważne, że ten Neverland tak naprawdę nigdy nie istniał – w świecie cyfrowym, z którego elektorat Konfederacji czerpie pełnymi garściami, wydaje się realny.

Na czym polega to poczucie niestabilności? Dziewczyny się im wyemancypowały?

Owszem, to jest również skorelowane ze zjawiskiem incelizmu. Mówimy o ludziach, którzy wyrosli we względnej zamożności, ale czują, że – trochę jak, o zgrozo, pokolenie '68, choć z przeciwnymi wektorami ideowymi – ich ekspresja indywidualizmu jest tłumiona. Że żyją w świecie reguł, które blokują im drogę do sukcesu.

Jakich reguł?

Instytucjonalnych. Sformułowanych przez złowrogie elity. Mentzen mówi: „Nie możecie być wolni i zarobić takich pieniędzy jak ja, bo ktoś was ogranicza. Jedyne, co wam pozostaje, to ponarzekać na kobiety na Reddicie i pograć w World of Warcraft, ale gdyby znieść te wszyst-

kie regulacje, to byście skrzydła rozwinęli i zostali królami Bitcoina”.

Nie jest tak, że podobne postawy są w tych czasach powszechne? Marcin Napiórkowski pisał w „Tygodniku” o rewolucji zdrowego rozsądku idącej przez świat od Trumpa do Mentzena.

Tylko że Trump jest wyrazicielem frustracji niższej klasy średniej, która zaczęła tracić swój status na skutek globalizacji. A Polakom globalizacja się opłacała. Frustracja wyborców Konfederacji jest bardziej kulturowa.

Ale oczywiście nie chcę sprowadzać fenomenu Mentzena tylko do młodych mężczyzn, którzy wystraszyli się nowocześnieści. Są tam ludzie, których potencjalnie uderzył covid, gospodarczo i egzystencjalnie. Znacząca część tych wyborców to też ostatnie pokolenie migracji z prowincji do wielkich miast. Ich awans jest już znacznie trudniejszy niż poprzedników. Ceny mieszkań wzrosły na tyle, że nawet mając pracę na niższym szczeblu w korporacji, trudno o kredyt na coś swojego. Trzeba ciężko pracować, mieszkając w mikrokawalerce i oddając połowę dochodów landlordowi. To frustruje, ludzie się miodają w poszukiwaniu łatwych odpowiedzi – nie zawsze zresztą szukają ich u Mentzena, bo głosują także na Zandberga.

W sumie jak patrzę na te 20 proc. Mentzena i Brauna, to przypomina

mi się, że Kukiz z Korwinem zebrali 10 lat temu prawie 24 procent.

Mentzen jest pragmatykiem, podobnie jak np. Palikot, którego Ruch w 2011 r. dostał 10 proc. głosów – i który zagospodarował ówczesną frustrację i tęsknotę za lepszym życiem młodych. Ten pragmatyzm zresztą mocno różni Mentzena od Brauna, skrajnie zideologizowanego, grającego kartą antysemicką i otwarcie prorosyjskiego. Pocieszające, że elektorat tego drugiego jest nie tylko znacznie mniej liczny, ale też znacznie starszy. No a w porównaniu z poparciem dla równie prorosyjskich Orbána czy Fico na Węgrzech i Słowacji – znikomy w skali kraju.

A wyborcy lewicy? Jej kandydaci też zgarnęli ponad 10 procent.

To jednak często wielkomiejska klasa średnia, która próbuje sobie przydać sznytu miłosierdzia. Platforma trochę ich znudziła, a trochę rozczarowała swoim cynizmem, więc wolą głosować na lewicę – zwłaszcza że ona wciąż stara się zagospodarować energię ze wspomnianych już protestów po wyroku TK w sprawie aborcji.

Składinąd: to pierwsze wybory, w których Kościół przestał się odzywać.

Bo jego rola ogranicza się do dostawcy rytuałów, których wciąż jeszcze potrzebujemy – ale korzystamy z nich pod warunkiem, że nikt nam nie będzie mówił,

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
Michał Okoński, Marek Rabił, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Agnieszka Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka),
Katarzyna Bultowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda
(kierowniczka), Maciej Müller, Monika Ochędowska,
Katarzyna Rutkowska, Patryk Stanik, Oliwia Świątek
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka),
Lech Krupa, Anna Pietrzykowska
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski,
Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun,
Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska,
Ryszard Koziolek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Sołeka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Włodysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Marcin Tusiniński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik,
Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

jak mamy żyć. Księża wiedzą, że ludzie mieszkają bez ślubu albo się rozwodzą, że stosują antykoncepcję itd. – akceptują to dwójmyślenie i nie domagają się rygorystycznego wcielania swoich nauk w życie. Wiedzą, że Kościół słabnie, więc się nie wychylają – bo jak się wychyla, to ludzie przestaną przychodzić. A jak się nie wychylają, to nie ma co ich atakować.

To co będzie po drugiej turze?

O ile zwycięstwo Nawrockiego rozwiązałoby dużą część problemów PiS-u, o tyle nie wiem, czy zwycięstwo Trzaskowskiego rozwiąże wszystkie problemy PO. Po tym, jak bierze całą pulę, zwycięski obóz zwykle zaczyna żłerać korupcja, pazerność i rozleniwienie: ostatnie lata PiS-u świetnie to pokazały.

Z drugiej strony obóz PO będzie miał na karku Stanowskiego i kilka innych mediów, które będą im wyciągać każde potknięcie.

Media pełnią jeszcze rolę kontrolną? Mnie się wydaje, że największym złudzeniem tej kampanii było liczenie na to, że ujawnienie kłopotów Nawrockiego z mieszkaniem cokolwiek zmieni. Żyjemy w bańkach do tego stopnia, że przekręty „naszych” nie mają na nas wpływu.

Nieważne, czy zmieniło, ważne, że wiemy. Media nie są po to, żeby nam mówić, jak mamy żyć i głosować. One mają informować.

Piękne były czasy, w których tak było.

Może pana zaskoczę, ale mam wrażenie, że system medialny znów się rozszczelnia – trochę jak po aferze Rywina, kiedy upadł monopol „Gazety Wyborczej”. Po katastrofie smoleńskiej podział stał się wprawdzie niemal totalny, ale teraz mamy np. Wirtualną Polskę – i cokolwiek niefajnego zrobią PO albo PiS, to Jadczyk ze Słowiakiem nie puszcza im tego płazem.

A media społecznościowe? Idący przez nie zalew fake newsów i wulgarnej propagandy?

Problem masowej manipulacji oczywiście istnieje: w swoim twitterowym życiu widzę zalew prorosyjskich kont, w jakimś stopniu to się też przełożyło na głosy dla Brauna. Ale to ciągle cena za ist-



WOITEK GÓRSKI / DGP

DR JACEK K. SOKOŁOWSKI jest politologiem i prawnikiem, łączącym pracę w kancelarii prawnej z zajęciami w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Autor książki „Transnaród. Polacy w poszukiwaniu politycznej formy”.

nienie przestrzeni informacyjnej, w której różne poglądy są konfrontowane.

Jest inny problem: obaj widzimy na Twitterze (czy raczej na X, jak to się teraz nazywa), że obecne tam skrajne grupy mają wpływ na polityków.

Najgorszy jest efekt odwróconego lustra: politycy słuchając wyłącznie własnych zwolenników zaczynają mieć znacznie bardziej wypaczony obraz świata. Jak Kaczyński ograniczył się do oglądania TVP i lektury „W Sieci”, zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Gdyby w tej jego TVP było choć minimum obiektywizmu, to by miał lepszą informację. Ale nie miał.

Z Tuskiem, mam wrażenie, jest inaczej. Nie myśli jak jego trolle, ale wie, jak ich używać.

Tak, mnie też się wydaje, że Tusk zachował zmysł społeczny. Stąd choćby ta wolta, której dokonał w sprawie granicy. Wie, jak ważne jest dla Polaków bezpieczeństwo.

A politycy patrzą na coś więcej niż sondaże?

Wciąż tak bywa. Postkomuniści np. kilka lat po upadku reżimu komunistycznego zrozumieli, że nie tylko ich osobisty interes, ale też racja stanu polega na tym, żeby wejść do NATO i do UE. Trzeba im za to oddać sprawiedliwość.

Politycy potrafią też robić rzeczy sensowne – w sumie pocieszająca wizja.

Przecież jakoś musimy wyjaśnić ten fenomen, że Polska rośnie w siłę, a ludziom się żyje dostatnio. Częściowo to oczywiście zasługa tego zaciągu technokratów, o którym wspomniałem, ale częściowo jednak tego, że ci, którzy nami rządzą, jako ten interes Polski nie najgorzej definiują i realizują, lawirując między kaprysami ludu. Na razie nikt z polityków nie zrobił rzeczy zasadniczo sprzecznych z polską racją stanu.

Nawet jak bez przerwy mówią o zdradzie i zarzucają sobie chodzenie na pasku Putina?

Zawsze myślę o paraleli między naszym okresem historii a rewolucją angielską. Oni się tam nienawidzili, ba: masowo przelewali krew, ale potęgę Anglii budowali. Wojna z Holandią trwała 80 lat i w końcu ją wygrali, wprowadzili Akty Nawigacyjne, podbili Irlandię – nieważne, czy rządili Stuartowie, czy Cromwell. Chaos wojny domowej nie stanął temu wszystkiemu na przeszkodzie, mieli ambitny i kreatywny lud, który oprócz tego, że się namiętnie wyrzynał, to robił też inne rzeczy.

A my się w dodatku nie wyrzynamy.

Proszę więc nie dać się zwieść temu językowi internetu: debile, nic nie rozumiem, podnóżki Trumpa, służusy Putina... Na samym szczęście ujechać trzydziestu lat by się nie dało.

Jest tak optymistycznie, że muszę zapytać: czy ważność wyborów nie zostanie podważona?

W Polsce zdobycie władzy legitymizuje się poprzez powszechnie zaakceptowany wynik wyborczy – tak jest przynajmniej od czerwca 1989 r., kiedy ten, kto wygrał, miał nie objąć władzy, ale powszechne poczucie, że wygrał, dało mu legitymację do rządzenia.

Rządzącym zawsze zależało, żeby mieć tę legitymację, więc wszelkie manipulacje przy procesie wyborczym były ostrożne. Nawet kiedy Sąd Najwyższy dostał kilkaset tysięcy protestów w sprawie wykształcenia Kwaśniewskiego, nie chciał w werdykt obywateli ingerować.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

KRAJ



NOMADLAND

Dostęp do kultury wpisany jest w naszą konstytucję,
ale wciąż nie ma ustawy o zawodzie artysty,
która chroniłaby ich prawa. Autorzy, aktorki,
malarze i reżyserki krążą po kraju za kolejną „śmieciówką”,
mobbingowani i coraz bardziej wypaleni.

TEKST: **MARCIN TUSIŃSKI** | ILUSTRACJA: **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”

WCIAŻ KOCHAJĄ TO, CO ROBIĄ, ALE mają świadomość, że sztuka, jej twórcy i instytucje są w Polsce dramatycznie niedoceniane. I nikogo to specjalnie nie obchodzi. Zwłaszcza teraz, gdy wali się porządek światowy, artyści coraz częściej słyszą, że to nie czas, by martwić się kulturą.

Kopalnie talentów

– Mieszkam w Krakowie, a pracuję w Teatrze Śląskim w Katowicach. Mąż ma angaż w Tarnowie. Na szczęście Kraków leży pośrodku i jest autostrada – opowiada Karina Grabowska. Oboje z mężem są aktorami, wykładają w szkołach teatralnych i okazjonalnie grają w reklamach. Projekty planują na zmianę – np. gdy on gra we wrześnie, ona robi to w październiku – a w wychowywaniu dwojga ich dzieci bierze udział cała rodzina. – Kiedyś w Tarnowie siedmioletni syn zagrał z nami w spektaklu, bo tyle wysiedział na próbach, że reżyser postanowił go zaangażować – wspomina Grabowska.

Na podobny nomadyzm godzi się większość aktorek i aktorów w Polsce, bo „poza Warszawą wszystko jest prowincją” i ciężko związać koniec z końcem – etat w kulturze to rzadki klejnot. Zresztą średnia płaca w instytucjach teatralnych w Polsce wynosi ok. 5050 zł brutto, a 30 proc. osób pracujących w całym sektorze kulturalnym deklaruje dochody niewiele przekraczające minimalne wynagrodzenie i sytuujące ich tuż nad progiem ubóstwa. Na dodatek 90 proc. przyznaje, że ich zarobki są nieregularne.

– Osoby, które wybierają pracę artystyczną, dużo częściej pracują na umowy o dzieło – mówi Anna Karpińska z Centrum Badań nad Gospodarką Kreatywną Uniwersytetu SWPS, współautorka badań nad sytuacją pracowników instytucji teatralnych. – Szczególnie trudne było doświadczenie pandemii w teatrze, bo ci, którzy pracowali na umowy cywilnoprawne, tracili angaże z dnia na dzień. Teraz etat z formy skrupowania zamienił się w wizję stabilizacji – tłumaczy. – Młodzi po szkołach godzą się na pół etatu za dwa tysiące, choć pracują całymi dniami, weekendami i w weekendy.

Taka intensywność rodzi silne więzi między ludźmi, tworząc zarazem szerokie pole do nadużyć. Sześć na dziesięć kobiet w teatrach twierdzi, że doświad-

cza złego traktowania. Wśród mężczyzn przyznaje się do tego połowa. Najczęściej jest to mobbing pionowy: ze strony przełożonych. – Jeszcze do niedawna królowało przekonanie, że na próbach jest przyzwolenie na wszystkie emocje – mówi Karina Grabowska. – Zdenerwowany reżyser miał prawo nakrzyczeć na cały zespół. Przemoc tę nazywano „wydobywaniem talentu”.

Na takie traktowanie nie ma już przyzwolenia, ale aktorstwo siłą rzeczy pozostanie zawodem opartym na pracy z ciałem i silnymi emocjami. To rodzi zagrożenie mobbingu poziomego, czyli przekroczeń ze strony współpracowników. – Przez lata musiałam słuchać masy sexistowskich żartów. Zdarzało się, że w akcji scenicznej któryś z kolegów dotknął mnie w nieumówiony wcześniej sposób. Kiedyś stało się tak, gdy nago grałam osobą martwą. Ciężko było zareagować i dać mu w pysk – opowiada aktorka.

Nic dziwnego, że w badaniach Uniwersytetu SWPS blisko połowa artystów przyznała, że odczuwa wypalenie zawodowe. Jednocześnie aż 70 proc. odpowiedziało, że gdyby mieli wybierać jeszcze raz – zrobiliby to samo.

– Wierzę w spotkanie z widzem – tłumaczy mi Grabowska. – Graliśmy kiedyś spektakl „Żywoty świętych osiedlowych”, o opiekunach osób z niepełnosprawnością. Ludzie przychodzili do nas i mówili: „Ja też tak mam. Opiekuję się swoją mamą, mężem, dzieckiem”. Dzięki, że ktoś się w nich wsłuchał. Dla takich momentów się to wszystko znosi.

Malować czy pisać wnioski

– Wróciłem do malarstwa po dwudziestu latach, bardzo za nim tęskniłem. Nie znam nikogo, kto by na poważnie się temu poświęcał, jednocześnie pracując na etacie – mówi Marcin Mroczkowski. Artysta ukończył z wyróżnieniem krakowską Akademię Sztuk Pięknych, a karierę zaczął od zwycięstwa w konkursie debiutantów i wystawy w legnickim BWA. I na niej też zakończył.

Miał do wyboru – asystentura na uczelni, za którą w 2001 r. dostałby mniej niż 1000 zł, albo korporacja. Po dwóch dekadach tułaczki po firmach z branży odzieżowej, architektonicznej i projektującej kampery zdecydował, że ma dosyć. – Funkcjonuję jako malarz dzięki wyrozumiałości żonie, której jestem codziennie

wdzięczny, że toleruje to skrzywienie. Wróciłem do sztuki, żeby odzyskać godność, i ona to rozumie – mówi.

Wśród jego znajomych z roku tworzy dziś ledwie kilkoro. Żyją z nauczania rysunku, dotacji i grantów, malują na zamówienie. Marcin jest jednym z niewielu, którzy mają własne miejsce do pracy.

– W Krakowie rozdawanych jest rocznie kilka stypendiów dla artystów audiowizualnych – mówi Monika Drożyńska, artystka sztuk wizualnych i hafciarka, którą spotykam w popularnej kawiarni „Dym”. – Raz do roku miasto wyznacza też kilka lokali na pracownie. Szczęście i szczęściarce, których wystawia się w galeriach, dostają tysiąc złotych brutto za wystawę zbiorową i trzy za indywidualną. A takich można zrobić jedną, może dwie w roku – opowiada.

Z danych Urzędu Miasta Krakowa wynika, że w 2024 r. przydzielono zaledwie 10 lokali przeznaczonych na pracownie artystyczne, 7 stypendiów dla artystów audiowizualnych, po jednym na taniec, architekturę i design, 9 dla muzyków i kilka innych. We Wrocławiu te liczby są bardzo podobne, trochę lepiej jest w Poznaniu. W Łodzi przyznano w ubiegłym roku w sumie 12 stypendiów miejskich dla artystów. W mniejszych miejscowościach jest tylko gorzej. Dlatego – jeśli nie ma się zamożnych rodziców lub partnera – pieniędzy trzeba wciąż szukać, pisać wnioski do urzędników, starać się o dofinansowanie z unijnych grantów, które trzeba jednak potem skrupulatnie rozliczyć.

– Nawet jeśli ktoś od dziesięciu lat współpracuje z jakąś instytucją, ale robi to w systemie grantowym, czyli co roku podpisuje kolejną umowę zlecenie, to nie ma stałego miejsca zatrudnienia – mówi posłanka Daria Gosek-Popiołek z Klubu Lewicy, wiceprzewodnicząca sejmowej komisji kultury. – Tacy ludzie się nie zrzeszają, nie tworzą zespołów i nigdy nie mają pewności zatrudnienia, więc często szukają dodatkowej pracy, żeby poczuć się bezpieczniej.

W instytucjach kultury, muzeach i galeriach, które kupują sztukę, jest mało pieniędzy. Niezwykle trudno przebić się do elity, która żyje z wystawiania i sprzedawania prac. – Inwestujemy bardzo dużo w młodych na etapie liceów i uczelni artystycznych, a potem

→ pozostawiamy artystów samym sobie – mówi posłanka.

W efekcie, jak twierdzi Monika Drożyńska, sztuką zajmują się głównie osoby uprzywilejowane. – Ja też się za taką uważam – przyznaje artystka, która zasłynęła głośną przemową na gali rozdania Paszportów „Polityki”. „Dedykuję ten paszport osobom, które zajmują się robieniem sztuki, której pokazywanie dziwi, a robienie się nie opłaca” – powiedziała. Pomimo dużej rozpoznawalności, ponad połowa czasu pracy Drożyńskiej upływa na pisanie i rozliczaniu wniosków o granty. Resztę zżerają podróże i wykłady. – Na sztukę zostaje najmniej, i to ona najbardziej na tym cierpi – poutuje.

14 godzin w kieracie

Z badań Uniwersytetu SWPS „Policzono i policzeni” z 2024 r. wynika, że przeciętna artystka lub artysta wykonują obecnie trzy zawody jednocześnie. Od czasu pandemii i rozkwitu platform streamingowych wielu reżyserów, aktorów, oświetleniowców, charakterystów czy realizatorów dźwięku odpływa z teatru do branży filmowej. Tylko czy w filmie mają lepiej?

Justyna Krzepakowska jest cenioną krakowską kostiumologką. Przyjmuje mnie w mieszkaniu na czwartym piętrze kamienicy, gdzie mieści się też pełen garderobianych perełek magazyn kostiumów. Artystka lwia część życia zawodowego spędziła na planach filmowych, pracując od wczesnego rana do późnej nocy. Spotkanie zaczyna deklaracją, że żaden ze znanych jej oświetleniowców, operatorów, realizatorów dźwięku czy charakterystów nigdy nie widział umowy o pracę. Za to kiedy po pierwszym sezonie nadawanego przez TVN serialu kryminalnego „W11” koledzy z ekip dowiedzieli się, że zaplanowano kolejnych pięć lat emisji – masowo zapragnęli mieć dzieci, kredyty, mieszkania. Gdy w końcu telewizja zrezygnowała z samodzielnego nagrywania wielu seriali na rzecz tańszych

produkcji zewnętrznych – rzesza specjalistów została z owymi kredytami. Wielu przeniosło się do stolicy, decydując się na życie z dala od rodzin. Ci, którzy zostali, z roku na rok godzą się na coraz gorsze warunki finansowe.

Dzień pracy na planie filmowym nie powinien trwać dłużej niż 12 godzin, ale to raczej martwy zapis. – Jest olbrzymia presja, żeby robić wszystko szybko, więc ludzie ci ciągną na śmieciówkach po 13-14 godzin, jeśli trzeba – mówi kostiumologka. – Dawniej nagrywało się 6 scen w ciągu dnia. Teraz robi się ich nawet po 16.

Daria Gosek-Popiołek przyznaje, że wiele razy słyszała zarzut, iż walczy o ustawę regulującą zawód artysty i zajmuje się instytucjami kultury, a są przecież zakłady pracy, w których jest po kilkaset osób i w których też są łamane prawa pracownicze. – Tymczasem to właśnie w sektorze kultury ludzie znajdują się w wyjątkowo trudnej sytuacji – uważa posłanka lewicy. – Rzadko zakładają związki zawodowe, za to muszą się mierzyć z mitem nieomylnego dyrektora czy reżysera z wizją, który może łamać kręgosłupy, bo „tego wymaga sztuka”.

Zależni niezależni

– Wczoraj biliśmy się z myślami o odwołaniu spektaklu, bo Kasia Chlebny miała zapalenie krtani. Podjęliśmy decyzję, że Kasia bierze steryd i jedziemy, bo spektakli się nie odwołuje. Gramy mimo wszystko – mówi Piotr Sieklucki.

Dyrektor Teatru Nowego Proxima walczy od lat o artystyczną niezależność prowadząc stowarzyszenie, w ramach którego działa scena. Utrzymuje się głównie ze sprzedaży biletów oraz hojności sponsorów. Środki publiczne są tu odwieczną ruletką i zależą od tego, kto kręci kołem. Odkąd po premierze spektaklu „Kora Boska” Ministerstwo Kultury za czasów ministra Glińskiego odebrało stowarzyszeniu środki na działalność edukacyjną i artystyczną (programy dla seniorów, dzieci z ośrodków społecznych i domów dziecka, premiery), Sieklucki postawił na budowanie sieci kontaktów z biznesmenami.

Glińskiego u sterów już nie ma, ale sytuacja się nie poprawiła. Stowarzyszenie Teatr Nowy utrzymuje z ministerstwa środki na infrastrukturę, ale nie na działalność edukacyjną i artystyczną.

Z urzędu miasta rocznie dostają tyle, ile często zarabia dyrektor dobrze prosperującego teatru publicznego. – Ja za te plus minus 50 tysięcy muszę utrzymać księgową, biuro, telefony, prąd, aktorów itd. Radzimy sobie dlatego, że dużo gramy, bilety są drogie i działa szepcany marketing. Ludzie przychodzą, bo wiedzą, że dostaną u nas coś innego i niezwykłego – mówi Sieklucki. Poza garstką „uprzywilejowanych” z administracji, księgowości itd., żaden z jego aktorów nie ma etatu. – Taki sobie los wybraliśmy. Nie jesteśmy instytucją publiczną. Kreujemy za to kawałek swojego świata i zapraszamy do niego ludzi – ciągnie dyrektor Proxima.

Zapytani o przyszłość i plany na starość, moi rozmówcy uśmiechają się kwaśno: nikt nie wspomina o odpoczynku na emeryturze. Najprościej ujął to malarz Marcin Mroczkowski: – Mam wyobraźnię plastyczną i gdybym sobie to zaczął wyobrażać, pewnie popadłbym w stupor i przestał malować. Zakładam, że będę pracował, dopóki będę mógł, bo nie mam wyjścia i bardziej niż na opiekę państwa liczę chyba na opatrność.

W Niemczech mają lepiej

Michał Półtorak, ponad 70-letni dziś muzyk Piwnicy pod Baranami, który koncertował m.in. z zespołem Anawa Marka Grechuty – po przeszło pięciu dekadach kariery otrzymuje od państwa niespełna 3 tys. zł emerytury. Nigdy nie miał etatu. Świadczenie zawdzięcza własnej zapobiegliwości, ponieważ sam opłacał sobie składki. – Jak przychodzą rachunki za czynsz, gaz i elektryczność, to z tej mojej emerytury zostaje niewiele. Na szczęście gram jeszcze koncerty, pracuję w Piwnicy i z tego się utrzymuję – komentuje muzyk. Jego młodszy koledzy walczą o nieliczne etaty w filharmonii i orkiestrach, żeby mieć ubezpieczenie. – Jesteśmy na straconej pozycji. Nasze państwo nie robi wystarczająco dużo, żeby status ludzi, którzy opowiadają słowem i muzyką o rzeczywistości i sami ją kreują, był doceniany – uważa Półtorak.

W Polsce nie ma ustawy o zawodzie artysty, czyli rozwiązania wprowadzonego w wielu krajach Europy Zachodniej, które porządkuje relacje państwa z twórcami. – Przez kilka lat życia w Niemczech miałem socjalny status artysty, regulowany prawnie. Prowadziłem jednoosobową działalność gospodarczą jako



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

osoba, która udowodniła, że utrzymuje się wyłącznie ze sztuki. Miałem prawo do dużej zniżki na odpowiednik polskiego ZUS-u – mówi Michał Limboski, muzyk i producent. Ów „status artysty” gwarantuje twórcom żyjącym w Niemczech o połowę mniejsze opłaty za ubezpieczenie niż te, które płacą przedsiębiorcy, a także dostęp do branżowej kasy chorych oraz emerytury.

– Kraje, w których istnieją systemy wsparcia dla twórców kultury, są świadome, że obecność sztuki i artystów w przestrzeni publicznej poprawia wizerunek państwa. Dlatego Berlin przez lata postrzegany był jako przyjazne miasto pełne dobrej sztuki, gdyż artyści mogli liczyć tu na wsparcie. Polska jest pod tym względem krajem siemiężnym. Myślenie o dalekosiężnych korzyściach dla gospodarki płynących z obecności artystów wykracza poza horyzonty myślowe polityków – uważa Limboski.

Na szczęście nie wszystkich. Posłanka Gosek-Popiołek walczy o powstanie ustawy o statusie artysty zawodowego, jeszcze w tej kadencji Sejmu. W tworzeniu dokumentu uczestniczą Ministerstwa Kultury, Finansów, Zdrowia, Rodziny oraz Pracy i Polityki Społecznej. Do 30 maja projekt będzie w fazie konsultacji z organizacjami zrzeszającymi twórców, artystami i artystkami. Czytamy w nim m.in., że osoby, które posiadają udokumentowany dorobek artystyczny, ale zarabiają poniżej średniej krajowej i często nieregularnie, będą mogły otrzymać dopłatę do składek. Wiele dostanie po raz pierwszy prawo do opieki zdrowotnej oraz ubezpieczenia. Dopłaty będą przekazywane automatycznie na konto ZUS artysty czy artystki.

– Przedstawiona przez Ministerstwo Kultury ustawa jest skierowana do osób



W Sejmie trwają prace nad ustawą o zawodzie artysty.

Twórcy z udokumentowanym dorobkiem, ale zarabiający poniżej średniej krajowej otrzymają dopłaty do składek.

w najtrudniejszej sytuacji. Chciałabym, żebyśmy poszli dalej i zajęli się mecenatem państwa, zarobkami w instytucjach kultury, walką z uzależnieniem od projektów, a także wykorzystali doświadczenia niemieckie. Ale najpierw wesprzyjmy tych artystów, którzy ledwo wiążą koniec z końcem – mówi Gosek-Popiołek. – Im zapewni to poczucie bezpieczeństwa, a dla odbiorców sztuka stanie się bogatsza. Dostęp do kultury zapisany jest w art. 6. Konstytucji RP. To nasze wspólne dobro. Chcę, by osoby ją tworzące mogły liczyć na godne traktowanie.

Ale po co ta sztuka?

– Wiele moich kolegów po fachu zostało barmanami albo zaczęło pracować w zu-

pełnie innych zawodach, ponieważ aktorów produkuje się taśmowo, bez pojęcia o chłonności naszego rynku teatralnego, telewizyjnego czy filmowego – mówi Paweł z Warszawy, krępy, serdeczny mężczyzna po czterdziestce. Po skończeniu szkoły aktorskiej długo szukał angażu w teatrze. W końcu się poddał i od 15 lat podróżuje z własnym teatrem lalek po Polsce. Za spektakl w przedszkolu dostaje ok. 650 zł, domy kultury płacą do 2500 zł, z czego trzeba odliczyć hotel, podatek, ZUS, paliwo i inne opłaty. Miesięcznie zarabia od 5 do 8 tys. zł. Owszem, pracuje ciężko i boryka się czasem z lekceważącą postawą opiekunów przedszkolnych albo niekompetencją dyrektorów. Jednak „dobrych ludzi jest więcej”, a poza tym lubi to robić, bo „praca z dziećmi jest bardzo wynagradzająca”. Wierzy, że to ważne, by uczyć je wrażliwości na sztukę już od najmłodszych lat. No i cieszy się wolnością, której nie mają znajomi zatrudnieni na etat.

– Książką, która mocno wpłynęła na moje postrzeganie świata, był przeczytany w piątej klasie „Martin Eden” Jacka Londona – mówi Daria Gosek-Popiołek. – Ta lektura ukształtowała moje poczucie sprawiedliwości społecznej i nauczyła dostrzegać nierówności. Podobne refleksje wywołują we mnie działania artystów takich jak Cecylia Malik, która wspinała się codziennie przez rok na kolejne drzewo, przypominając, jak bardzo jesteśmy zanurzeni w przyrodzie, nawet w miejskim krajobrazie. Takie gesty realnie wpływają na naszą wrażliwość. Artyści potrafią nazwać niesprawiedliwość, znaleźć język do zrozumienia rzeczywistości. A to, co nazwane, może zostać przekute w decyzje polityczne czy gospodarcze. Właśnie dlatego warto o nich walczyć.

© MARCIN TUSIŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

BIELSKO-BIAŁA, czwartek 29 maja godz. 17.00
wykład ks. dr. Przemysława Bukowskiego SCJ, filozofa, wykładowcy Ignatianum. „Taniec w zbyt ciasnych butach – o wolności według Tischnera z dzisiejszej perspektywy”. Spotkanie w ramach obchodów Roku Tischnera, Willa Sixta (Mickiewicza 24)

WARSZAWA, piątek 30 maja godz. 17.30
spotkanie autorskie z Jerzym Sosnowskim o książce „Niezerowa liczba smoków”. Spotkanie współorganizowane z Wydawnictwem Wieg w cyklu: „Między stronami” – Czytelnia Klubu „TP”, prowadzenie Magdalena Macińska. Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (Anielewicza 3/5)



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ZESKANUJ I SPRAWDŹ





Matura z języka polskiego w IV Liceum Ogólnokształcącym w Zielonej Górze. 5 maja 2025 r.

Centralna Kolektura Egzaminacyjna

PAWEŁ ŁĘCKI, POLONISTA:

Niektóre arkusze matur i testów ósmoklasisty są źle skonstruowane, a ich wyniki przypominają efekty losowania. W dodatku od tych dwóch wielkich egzaminów zależy niemal wszystko. Potrzebujemy zmian.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Twój rocznik?

PAWEŁ ŁĘCKI: A.D. 1979.

Czyli pisałeś tzw. starą maturę.

To była nie tylko inna formuła, ale też inne czasy: przedinternetowe, przed Chatem GPT. To pozwoliło mi bezkarnie – tzn. bez ryzyka, że ktoś to sprawdzi w sieci – wymyślić w pracy z języka polskiego fikcyjny cytat.

Naprawdę to zrobisz?!

Naprawdę, ale nie pytaj, co to były za zdania, bo już nie pamiętam. Na pewno pasowały mi do początku pracy. Co więcej, miałem już wówczas pewne literackie skłonności, więc ten cytat był rodzajem motta wypowiedzianego przez autora, który również nie istniał. To musiał być jakiś wariant mojego *alter ego*.

Dziś żyjemy z Chatem GPT i smartfonami, więc co chwila słyszymy

o wyciekach arkuszy.

Jak z tym walczyć?

Nowy dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Robert Zakrzewski powiedział, że skala wycieków nie jest duża, choć ta opinia wydaje się o tyle absurdalna, że to przecież się – jeśli choćby jedna osoba wrzuci arkusz, to po kilku minutach skala wycieku może być ogólnopolska. Podobnie pomyłką wydaje mi się wypowiedź dyrektora, że taki wyciek jest przejawem „młodzieńczego buntu” – oszustwo to oszustwo.

A co do walki, na ciekawą rzecz zwrócili mi uwagę uczniowie w liceum, w którym pracuję. Otóż zdecydowana większość zdających – mowa o tych, którzy zgodnie z wymogami weszli na salę bez telefonów – nie miała pojęcia o przeciekach do zakończenia egzaminu. To my je śledziliśmy, analizowaliśmy i rozmawialiśmy o nich.

Takich wycieków będzie więcej?

Tak, bo technologia idzie do przodu w tempie wykładniczym. Dyrektor CKE zapewnia, że „będzie się temu przyglądał”, złożył już nawet pierwsze doniesienie w prokuraturze, ale ta walka nie będzie łatwa. Chyba że zdecydujemy się na metody brutalne, tu i ówdzie stosowane, że na czas egzaminu np. „zagłuszamy” internet. Albo w ogóle rezygnujemy z tej formuły egzaminowania.

Do tego przejdziemy na koniec, teraz rozprawmy się z zarzutami wobec egzaminu ósmoklasisty i matury. Ten pierwszy jest coraz częściej oceniany jako wybrakowany.

Rzeczywiście, testujemy na tym etapie tylko trzy dziedziny: polski, matematykę i język obcy. Paradoks sytuacji polega na tym, że jedną z najczęściej wybieranych specjalizacji w liceach są rozmaite warianty profili przyrodniczych – np. biol-chem. Tymczasem do szkół ponadpodstawowych trafiają na te profile uczniowie kompletnie niezdiagnozowani.

I niedouczeni?

Tak, bo w naszym systemie zarówno uczniowie, jak i nauczyciele skupiają się na przedmiotach egzaminacyjnych, gdyż z tego są rozliczani. Skoro zatem ani biologii, ani chemii, ani fizyki na egzaminie ósmoklasisty nie ma, to przedmioty te znajdują się na uboczu. Efekt jest taki, że w liceach uczniowie często rezygnują z profili przyrodniczych, po których spodziewali się tylko tego, że będą „fajne i przyjemne”.

PiS chciał wprowadzić na teście ósmoklasisty dodatkowy egzamin – do wyboru spośród różnych dziedzin przyrodniczych i historii. Ale to porzucono przez pandemię.

A obecna ekipa też do tego tematu nie wróciła, skupiając się – nie zawsze w sposób rozsądny – na tzw. dobrostanie uczniów, to znaczy zawsze dbając o to, by nie zwiększać obciążeń, gdyż wszystkie wymagania uznawane są za prze-moc. W efekcie mamy egzamin wybrakowany.

Nie jestem też w stanie pojąć, dlaczego egzamin z angielskiego jest wyłącznie w wersji pisemnej, choć przecież obcy język to głównie komunikacja werbalna.

Na maturze na szczęście ten ustny jest, ale niewiele od niego zależy... Twoja refleksja dotyka szerszego problemu: polskie egzaminy zbyt rzadko sprawdzają ważne i potrzebne umiejętności, a za często testują samą umiejętność rozwiązywania testów.

A jak oceniasz tegoroczną maturę z polskiego?

Jeśli chodzi o poziom podstawowy, to poloniści są podzieleni – jedni mówią, że tematy były banalne, inni wprost przeciwnie. Ja powtarzam, że dopóki nie zobaczę wyników [te zostaną ogłoszone w lipcu – red.], to nie będę się wypowiadał o stopniu trudności.

My głównie dyskutujemy o poziomie podstawowym, a to egzamin rozszerzony z polskiego decyduje o wstępie na ważne kierunki studiów – w tym np. na obleganą masowo psychologię, inne dziedziny humanistyczne, a nawet na niektóre kierunki techniczne. Tymczasem ten egzamin to najgorszy arkusz polskiej matury!

Jak go skonstruowano?

To dwa tematy wypowiedzi pisemnej do wyboru, przy czym te tematy mogą być... jakiegokolwiek. Co do zasady, nie dotyczą wyłącznie problematyki oraz tzw. przesłania dzieł literackich, ale też aspektów, nazwijmy to, technicznych: narracji, czasu, przestrzeni, konwencji itd.

Głównym problemem tego egzaminu jest metodologia jego sprawdzania. CKE, co zresztą się chwali, publikuje przykładowe wypracowania i pokazuje, jak one zostały ocenione. Jest tam jedna praca dotycząca tematu autobiografizmu w utworach literackich. Została oceniona na 1 spośród 35 możliwych punktów.

Czyli jest beznadziejna.

No właśnie problem polega na tym, że nie! Uczeń odnosi się w niej do trzech tekstów literackich – wybrał „Treny” Kochanowskiego, „Dziady” cz. III i „U nas w Auschwitzu” Borowskiego. Egzaminator uznał, że „Treny” zostały użyte w sposób – tu słowo klucz – „całkowicie niefunkcjonalny”, czyli niezgodnie z linią tematyczną. Z kolei „Dziady” zostały w pracy opisane w sposób – wedle osoby sprawdzającej – „w pełni funkcjonalny”, a więc bardzo dobry, lektura zaś Borowskiego „częściowo funkcjonalnie”. W tym ostatnim przypadku zabrakło ledwie pół zdania na-

wiązania do autobiograficznego czynnika dzieła, co podaje sama CKE w komentarzu – mniejsza zresztą o szczegóły.

Zmierzam do tego, że zgodnie ze skomplikowanymi kryteriami oceny, uczeń ten – który zrobił dodatkowo trzy niewielkie błędy rzeczowe, co odejmuje punkty – skończył z takim, a nie innym punktowym urobkiem. A mowa o pracy, która była spójna i nieźle napisana.

Ten upiorny schemat może też działać w drugą stronę: praca może być gorzej napisana, ale jeśli spełni kostyczne i uznaniowe kryteria, dostanie punktów kilkanaście?

Oczywiście, że tak! Co więcej, system premiuje prace krótsze, niewiele przekraczające ustanowione jako minimum 400 słów, bo wtedy popełni się mniej błędów językowych!

Młodzi ludzie generalnie piszą, owszem, kiepsko, ale ten system absolutnie nie odróżnia tych piszących źle od uczniów, którzy analfabetami nie są.

Tę losowość potęguje fakt, że większość prac jest sprawdzana przez jedną osobę.

Tylko około 10 proc. z nich ogląda się ponownie – nie licząc np. tych wyzerowanych i zakwalifikowanych przez pierwszego egzaminatora jako niezdane.

Skoro uznaniowość jest tak duża, to każdy podważony przez zdającego wynik może teoretycznie zostać zmieniony.

Powtarzam to od dawna: spora część egzaminów może zawierać wyniki fałszywe, dlatego wszystkich uczniów namawiam do tego, by domagali się wglądu w prace. I nie chodzi mi tylko o błędy egzaminatorów, co też jest ludzkie, ale o brak ostrości kryteriów oceniania.

Sam przymiotnik „funkcjonalny”, odnoszący się do użycia lektur na egzaminie z polskiego, wydaje się nieostry.

Gdyby przysłuchiwał się nam ktoś z CKE, na pewno powiedziałby, że to nieprawda: że wszystko jest precyzyjnie opisane. Ale dla mnie ta uznaniowość jest oczywista. Uważam zresztą, że my, poloniści, nie jesteśmy w stanie wygenerować uczciwych i precyzyjnych kryteriów oceny. Powinniśmy usiąść w większym gronie, obejmującym też ludzi zajmują-

cych się np. analizą danych, by wymyślić nowe zasady i przestać krzywdzić młodych ludzi.

Na koniec rzecz najbardziej fundamentalna: pozycja egzaminów w polskim systemie edukacyjnym. Porównałem je niedawno w „Tygodniku” do dwóch startów w igrzyskach olimpijskich. Wszystko zależy od tych kilku „skoków” raz na cztery lata, a to, co pomiędzy nimi, jawi się jako nieważne.

Najlepszym przykładem takich „igrzysk” jest egzamin ósmoklasisty – nie da się go poprawić, trzeba czekać kolejne cztery lata do matury, którą można poprawiać pięć razy. Te jedne „igrzyska” na koniec podstawówki faktycznie decydują o kolejnych czterech latach życia. Owszem, na rekrutację do liceum składają się też oceny na świadectwie, które w każdej szkole wystawia się trochę inaczej, a nawet – co szczególnie absurdatne – dostaje się trzy punkty za zaangażowanie w wolontariat.

Można być Jerzym Owsiakiem, ale nie zdążyć donieść kwitu o stworzeniu WOŚP, i dostaje się zero punktów, albo cwaniakiem, który ten kwit sobie załatwił, i dostać trzy punkty.

Jest też jeszcze siedem punktów za „pasek” i kolejne absurdatne punkty za konkursy. Dodajmy, że kult egzaminów w dużej mierze tworzy drugi obieg polskiej edukacji, czyli kursy i korepetycje, co prowadzi do rozwarstwienia edukacyjnego. Ale najbardziej nieprzyzwoite jest jednak to, że jak masz trzy złe dni na egzaminie ósmoklasisty, to już z tym wynikiem zostajesz. I on decyduje o tym, czy dostaniesz się do tzw. dobrego liceum. Cokolwiek to zresztą znaczy.

Co zrobić, by rangę tych „igrzysk” obniżyć?

Można wprowadzić system częstszego diagnozowania uczniów, by nie wszystko zależało od tego jednego egzaminu. To byłby rodzaj bilansu, który idzie za uczniem. Podobnie zrobili chwaleni za swój system Estończycy. Dzięki temu wynik diagnozy jest bardziej miarodajny i obiektywny.

To by jednak oznaczało kolejną reformę.

→ No więc właśnie.

Wystarczyło jedno magiczne słowo „reforma” – i zniknęła z Twojej twarzy entuzjazm.

Bo dopiero co narzekaliśmy na PiS-owską reformę pani Zalewskiej, a już szykujemy sobie nową zmianę – ministrowi Nowackiej. Tymczasem to, o czym rozmawiamy, wymagałoby korekt wprowadzanych z wieloletnim wyprzedzeniem. Wbrew wszelkim – wyborczym, kampanijnym – kalendarzom, co w Polsce jest trudne. W dodatku nauczyciele w Polsce są już tak przebodźcowani reformami, że gdy mówię o jakiejś kolejnej wielkiej zmianie, to uruchamia mi się tryb pokory, a głośno rewolucyjny żar.

Ale jestem pewien, że dałoby się znaleźć jakiś kompromis między obecnym, opartym na egzaminach systemem a czymś, co rangę tych wielkich testów by zmniejszało. W tej całej dyskusji nie zapominajmy również o problemach z egzaminami zawodowymi.

À propos rewolucyjnego żaru, coraz więcej jest głosów, że należy wystać



ARCHIWUM PRYWATNE

PAWEŁ ŁĘCKI jest polonistą, nauczycielem w liceum, twórcą edukacyjnym. Mieszka w Sopocie.

do lamusa wszelkie – w tym egzaminacyjne – oceny. Te głosy mają silną naukową legitymację: badania mózgu i procesu nauki podpowiadają, że oceny nie tylko nie pomagają w tym procesie, ale wręcz go hamują.

Byłbym całym sercem za tą piękną utopią, tylko musimy sobie zdawać sprawę, że to nie jest duża zmiana edukacyjna – to wielka zmiana społeczna. Tak bardzo przyzwyczailiśmy siebie i innych, że oceny są nieodłączną częścią systemu, że zmiana musiałaby się zaczynać od dopiero co narodzonych dzieci. To u nich od

małego musielibyśmy budować motywację wewnętrzną, a równocześnie oduczać od nagród i kar w postaci ocen. W przeciwnym wypadku rezygnacja z ocen skutkowałaby tym, że wielu uczniów nie robiłoby absolutnie nic.

Byłby jeszcze drugi problem: jak rekrutować do liceów i uczelni?

Nie wyobrażam sobie pomysłu rozmów kwalifikacyjnych w szkołach średnich; w szkołach wyższych w szczątkowej formie istnieją do dziś. Uważam, że system diagnoz zewnętrznych może być wartościowy, tylko musi być przemyślany. Wewnętrzne, różnorodne egzaminy albo rozmowy uniemożliwiłyby w znacznym stopniu wyciąganie wniosków systemowych.

Ale każda rekrutacja, bez względu na formę, byłaby i tak rodzajem oceniania.

Dlatego zanim wywołamy rewolucję, zajmijmy się zmianami, które da się wprowadzić bez wywracania wszystkiego do góry nogami.

© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

MUMINKI

DRZWI SĄ ZAWSZE OTWARTE

Zapraszamy na wystawę
od 23.05.2025 do 29.03.2026

**Muzeum
Kinematografii
w Łodzi**

Muzeum Kinematografii w Łodzi
pl. Zwycięstwa 1
www.muzeumkinematografii.pl

DOFINANSOWANIE



PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



©&® Rights & Brands



Polityczni zbawiciele

MARCIN KĘDZIERSKI

Bez zaangażowania wszystkich zasobów Polski, również tych znajdujących się poza domeną władzy publicznej, nie odpowiemy na najważniejsze wyzwania przyszłości. Jakiegokolwiek prezydenta byśmy nie wybrali.

ZBLIŻAJĄCA SIĘ DO FINAŁU KAMPANIA prezydencka, jak również serial, który niemal każdego dnia funduje nam Donald Trump, wzmacniają społeczne przekonanie o politykach jako postaciach wyjątkowego znaczenia. Z drugiej strony podejrzewam, że większość z nas zapytana na ulicy o to, jak duży wpływ mają politycy na nasze codzienne życie, odpowiedziałaby, że w sumie niewielki. Choćby dlatego, że na bieżąco sprawami publicznymi interesuje się garstka obywateli. Kiedy jednak zaczynają mieć kampanijne młyny, a na dodatek na scenie pojawia się tak wyrazisty polityk-performer jak kontrowersyjny prezydent USA, nagle w przestrzeni publicznej słychać mniej lub bardziej głośne westchnienia, że oto objawił się ktoś, kto radykalnie zmieni nasze życie. Na lepsze albo na gorsze. To zresztą w gruncie rzeczy jest wtórne, bo oba poglądy wypływają z przekonania, że nasz los jest w czyichś rękach.

Nie wiem, na ile postać Donalda Trumpa i emocje, które generuje, wzmacniają wiarę w wyjątkową rolę przywódców politycznych. To ciekawa kwestia w kontekście tego, o czym piszą podręczniki. Do niedawna uczyłem na ich podstawie studentów, że przywództwo rozumiane jako relacja między wybitną jednostką a zwolennikami ewoluuje, słabnąc z czasem na rzecz bardziej zbiorowych układów. Co więcej, często dochodzi do odwrócenia porządku – to zwolennicy (w tym także grupy interesu) uzyskują coraz większy wpływ na zachowanie elit politycznych. Stąd tak trudno w historii Europy ostatnich 50 lat odnaleźć przykłady mężów stanu. Nie jest przypadkiem, że za najwybitniejszego przywódcę ostatnich dekad uchodzi Angela Merkel – wieloletnia kanclerz Niemiec, która za-

słynęła przede wszystkim unikaniem decyzji, a nie stawianiem czoła wyzwaniom, przez co stała się dziś m.in. symbolem niekontrolowanej imigracji.

Każdego czeka sukces?

Może jednak faktycznie na naszych oczach, przynajmniej w wymiarze społecznej percepcji, coś się zmienia. Nie chodzi tu wyłącznie o Trumpa – wystarczy spojrzeć na Marine Le Pen czy nową gwiazdę europejskiej polityki, Giorgię Meloni. Na marginesie warto zauważyć, że w Europie to właśnie kobiety wyrastają na charyzmatyczne, pierwszoplanowe postaci świata polityki – innymi przykładami mogą być premier Danii Mette Frederiksen, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen czy wreszcie unijna minister spraw zagranicznych, Estonka Kaja Kallas.

W Polsce tę zmianę widać akurat w wydaniu męskim – mowa oczywiście o Sławomirze Mentzenie. Nawet jego najzgorzalsi przeciwnicy nie mogą zaprzeczyć, że w kampanii udało mu się zgromadzić prawdziwe tłumy na placach i rynkach polskich miasteczek. Kontrkandydaci organizowali swoje spotkania w zamkniętych przestrzeniach, i przychodziła na nie niezbyt liczna grupa mieszkańców, często zresztą związanych partyjną przynależnością. Na wiece Mentzena ludzie walili spontanicznie, choć spotkania trwały bardzo krótko, a kandydat mówił wszędzie to samo. Nie było też możliwości zadawania pytań, bo Mentzen zaraz po wystąpieniu, uściśnięciu kilkudziesięciu rąk i zrobieniu kilku zdjęć, jechał dalej. A jednak ludzie przychodzili na te krótkie wiece wyraźnie dla niego, choć w komentarze panuje przekonanie, że Mentzen nie dysponuje nawet odrobiną charyzmy.

Uważny obserwator życia publicznego zadaje sobie zapewne pytanie, o co tu chodzi? Co to za społeczna nuta, w którą celnie uderza lider oferujący przecież dość radykalne recepty? Czy faktycznie ludzie marzą o polityku-zbawcy? Pewnie odpowiedź wymagałaby przeprowadzenia gruntownych badań focusowych i pytań o motyw. Dziś skupmy się na tym, co lider Konfederacji mówi, bo tu można dopatrywać się klucza. Mentzen nie obiecuje, że ludziom da cokolwiek. Przekonuje za to, że każdy z nich może być człowiekiem sukcesu. Wystarczy, że państwo oraz Unia Europejska przestaną rzucać kłody pod nogi. Mentzen w jakimś sensie mówi podobne rzeczy co Donald Trump: to inni są winni, że obywatele nie mogą osiągać swoich rozbudzonych aspiracji, a rolą polityka jest tylko usunięcie tych barier i przywrócenie „sprawiedliwości społecznej” – gdzie każdy jest panem swojego losu i każdy może zostać milionerem. W takim ujęciu polityczny mesjasz to nie ten, który coś daje, ale ten, który wyzwala z niewoli.

Niezależnie jak spojrzymy na politycznych zbawicieli – czy mają nam coś dać albo przeciwnie, skończyć z odbieraniem – nie zmienia to faktu, że wiara w nich jest oparta na wątpliwych przesłankach. Z pewnością potencjał sprawczości prezydenta USA jest większy niż prezydenta Polski, co wynika z międzynarodowej pozycji obu państw, ale obserwacja kolejnych ruchów Trumpa wskazuje raczej na chaos i konieczność manewrowania pomiędzy szeregiem kolejnych uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych, a nie na przemyślaną strategię. Nie mogę oczywiście wykluczyć, że moja ocena jest błędna, a prezydentowi Stanów Zjednoczonych uda się podporządkować wpływowe grupy interesu i lobby różnych sektorów gospodarki (w praktyce – globalnych korporacji). Jak na razie nie zanoszę się jednak na scenariusz, w którym Trump przeprowadza rewolucję, skutkującą zmniejszeniem społecznych nierówności, na co liczy wielu jego wyborców. Wręcz przeciwnie – dostaliśmy obrazki z Białego Domu, na których publicznie chwali się, kto z jego kumpli-miliarderów zarobił na Wall Street w wyniku zamieszania wokół historii z clami.

W Polsce o takim wpływie trudno mówić. Nieco taktybłowie możemy przypomnieć sytuację, w której Sławomir

→ Mentzen chciał ubić interes na warszawskiej giełdzie i co mu z tego (nie) wyszło.

Mesjasze administracji

Jednak nie tylko politycy (a ostatnio biznesmeni-politycy, bo także nad Wisłą objawiają się zbawcy pokroju Rafała Brzosi) próbują nas przekonać, a może i sami w to wierzą, że są zbawicielami ludu. Kiedy wczytuję się w różne strategiczne dokumenty rządowe, produkowane za różnych ekip, można w nich odnaleźć echo myślenia, zgodnie z którym to od administracji publicznej zależy przede wszystkim przyszłość kraju, Polek i Polaków. Czasem jest to zapisane wręcz *expressis verbis*. To zadziwiające przeświadczenie, jeśli zestawimy je z niskimi zarobkami urzędników. Podobne podejście można też nieraz spotkać na poziomie administracji publicznej w regionach.

Byłbym daleki od twierdzenia, że od administracji nic nie zależy. Odgrywa ona ważną rolę w procesie wdrażania polityki publicznej. Wbrew temu, co mówi Trump, Mentzen, a za nim większość poważnych kandydatów w wyborach prezydenckich, państwo i jego instytucje nie są z definicji przeszkodą na drodze do indywidualnego dobrobytu. Przeciwnie – szeroko rozumiane instytucje regulują stosunki społeczne, prowadząc m.in. do redukcji przemocy i zwiększenia zaufania do państwa. Choćby dlatego powinniśmy rozmawiać o poważnych inwestycjach w budowę sprawnej administracji, a nie przeciągać się w wyścigu o „tanie państwo”. Inaczej do pracy w ministerstwach i innych kluczowych agendach publicznych wciąż będą trafiali kandydaci, którzy w wyniku selekcji nie załapali się na żadne atrakcyjne i zdecydowanie lepiej płatne stanowiska w sektorze prywatnym.

Ukraińskie wyzwanie

Nie negując tego wszystkiego, administracja musi zrozumieć, że państwo to nie tylko urzędnicy, a instytucje to nie tylko publiczne jednostki. Odwołując się do pięknej, a jednocześnie bardzo prawdzi-

wej definicji z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, państwo to ogół obywateli (choć wtedy były nimi tylko osoby „szlachetnie urodzone”). Doskonale pokazał to kryzys uchodźczy, na co już nie raz zwracałem uwagę, ale także pandemia Covid-19, a w ostatnim czasie także powódź na Dolnym Śląsku. Polskie państwo poradziło sobie z napływem 1,5 miliona przybyszów z Ukrainy tylko dlatego, że doszło do współdziałania i integracji zasobów publicznych, prywatnych i społecznych. W sytuacji kryzysu o bezprecedensowej skali, tylko dzięki zaangażowaniu sił i środków władz lokalnych, ale także firm, stowarzyszeń, związków wyznaniowych i wreszcie pojedynczych ludzi udało się w miarę sprawnie zarządzić tym ogromnym wyzwaniem. Fakt, że międzynarodowa opinia publiczna zaczęła mówić wówczas o Polsce jako mocarstwie humanitarnym, stanowił chyba najlepszy dowód, że nasze państwo stało na wysokości zadania. Sam miałem okazję słyszeć podobne opinie ze strony polityków z Berlina i Brandenburgii, którzy wprost przyznawali, że Niemcy

nie poradziłyby sobie z analogicznym wyzwaniem. Nawet jeśli rosnąca dziś niechęć do Ukraińców pokazuje, że w dłuższym okresie zaczniemy raczej dostrzegać szklankę do połowy pustą niż pełną, nie zmienia to faktu, że pierwsze tygodnie po inwazji Rosji to przykład niezwyklej sprawności państwa, możliwej dzięki współdziałaniu wielu elementów.

W sytuacji kolejnych kryzysów, z którymi z pewnością przyjdzie się nam mierzyć w najbliższych latach, warto zrozumieć mechanizmy, które zadziałały wiosną 2022 roku, i które w przyszłości mogą być polską pozytywną *differentia specifica*. Warto już dziś komunikować, że w obliczu globalnych turbulencji nasz los zależy także od losów państwa, czyli – nas wszystkich. Może nawet bardziej niż od zbawców, którymi starają się być politycy i urzędnicy. Nie chciałbym jednak powielać frazy prezydenta Kennedy’ego – „nie myśl, co Polska może zrobić dla ciebie; pomyśl, co ty możesz zrobić dla Polski”. Co prawda to całkiem fajne motto, ale jest ono dziś zupełnie niekomunikatywne (Polacy wolą, aby państwo się raczej od nich odcepiło), a po drugie odsuwa odpowiedzialność od władzy publicznej.

Rozdzielone zasoby

Co zatem powinno być zadaniem władzy: polityków i administracji publicznej? Budowa systemu i struktur, które



OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



RAFAŁ SZCZEPANKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen podczas spotkania z mieszkańcami Węgrowa, 19 marca 2025 r.

temu ochrony zdrowia i ubezpieczeń społecznych, niedobory pracowników, wyludnianie się prowincji i spadek jakości, a w niektórych miejscach także dostępności usług publicznych. Bez zaangażowania wszystkich dostępnych zasobów, znajdujących się także poza domeną władzy publicznej, na większość z tych wyzwań sensownie odpowiedzieć się po prostu nie da, a pojedynczy polityk-zbawca nic tu nie poradzi.

Warto tę kwestię pokazać na konkretnym przykładzie. W roku 2030, jeśli nie doświadczymy wielkiej fali migracyjnej, do pierwszej klasy szkoły podstawowej pójdzie ok. 270 tys. dzieci, o prawie 150 tys. mniej niż w roku szkolnym 2024/2025. Trzeba jednak pamiętać, że ten spadek nie rozłoży się równomiernie – w zdecydowanie większym stopniu dotknie on mniejsze gminy. Przy jednoczesnym ubytku dochodów podatkowych, związanych z wyludnianiem się prowincji, wiele podstawówek stanie przed widmem likwidacji, bo samorządów zwyczajnie nie będzie stać na ich utrzymanie. Jednocześnie dzieci z tych miejsc całkiem nie znikną i coś trzeba będzie zrobić z ich edukacją. Oczywiście zawsze można je dowozić, ale wbrew pozorom to wcale nie jest proste rozwiązanie. Generuje bowiem szereg problemów, obejmujących nie tylko transport, ale też organizację zajęć, a także funkcjonowanie społeczności szkolnej. Wyobraźmy sobie sytuację, w której 1/3 uczniów danej szkoły to „lokalsi”, a pozostałe 2/3 to dzieci dowożone z sąsiednich miejscowości, a nawet gmin – dynamika relacji w takim zespole może być głęboko dysfunkcyjna (w najprostszym ujęciu „swoi” vs „obcy”).

Zmienić perspektywę

Czy istnieją inne rozwiązania? Tak, trzeba tylko zmienić perspektywę i spojrzeć na instytucję szkoły (wraz z jej budynkiem, infrastrukturą sportową, stółką, biblioteką, nauczycielami) jak na bardzo cenny zasób publiczny, który może zostać wykorzystany dla realizacji różnych celów. Zamiast zamykać szkołę w małej miejscowości, można ją przekształcić w lokalne centrum społeczno-edukacyjno-kulturalno-sportowe. Taka

instytucja może pełnić rolę szkoły eksperymentalnej (przejście na kształcenie w innym modelu niż klasowo-lekcyjny, z grupami łączonymi i mentoringiem), ale także centrum kształcenia przez całe życie (działającego np. w oparciu o mechanizmy spółdzielcze, w tym naukę w wymiarze międzypokoleniowym), lokalnego ośrodka kultury, sportu i rekreacji, miejsca opieki nad dziećmi, poradni psychologicznej czy wreszcie przestrzeni integracyjno-opiekuńczej dla osób zmagających się z samotnością czy niesamodzielnością. To się jednak nie wydarzy samo z siebie – zadaniem polityki publicznej musi być utrzymanie infrastruktury, ale też zapewnienie nauczycieli-mentorów, animatorów kultury, doradców i psychologów, trenerów i innych specjalistów odpowiedzialnych za kreowanie lokalnej społeczności.

Wydaje się, że stworzenie takiego ośrodka nawet na poziomie kilkutysięcznego miasteczka leży w zasięgu możliwości lokalnego samorządu. Nie rozwiąże to oczywiście wszystkich problemów ochrony zdrowia czy systemu emerytalnego, tak samo jak nie odpowie na kwestie bezpieczeństwa energetycznego czy militarnego (choć takie wielofunkcyjne szkoły mogłyby odgrywać również rolę lokalnych centrów obrony cywilnej). Rozwiązanie to może jednak skutecznie odpowiedzieć na wiele mniejszych wyzwań, które mają spory wpływ na jakość życia w szybko starzejącym się społeczeństwie. Wystarczy, by władza publiczna stworzyła odpowiednie struktury, które umożliwią wykorzystanie społecznych potencjałów.

Zdaje sobie sprawę, że to wcale nie jest proste zadanie. Zarazem jest ono bardziej realne niż zapewnienie wszystkim Polakom, zwłaszcza tym żyjącym na prowincji, znośnych warunków życia za pomocą usług świadczonych bezpośrednio przez władzę publiczną. Ostatecznie bowiem w codziennej praktyce społecznej prędzej to sami staniemy się wybawcami dla naszych sąsiadów (albo oni dla nas), niż doczekamy się ratunku ze strony politycznych zbawców. Nie oczekujemy zatem od nich tego, że coś nam dadzą, ani tego, żeby się całkiem od nas odwrócili. Oczekujemy raczej, aby stworzyli odpowiednie warunki dla społecznego współdziałania.

© MARCIN KĘDZIERSKI

z jednej strony dysponują mechanizmami koordynacji oraz integracji zasobów (finansowych, infrastrukturalnych, rzeczowych, osobowych, intelektualnych, społecznych), znajdujących się w dyspozycji różnych podmiotów, a z drugiej tworzą zachęty, aby wspomniane podmioty były zainteresowane udostępnianiem swoich aktywów w określonych sytuacjach. Możliwe, że niekiedy takim mechanizmem będzie „pospolite ruszenie serc”, ale władza publiczna nie może zakładać, że każdy kryzys czy wyzwanie wygeneruje silne i motywujące emocje społeczne.

Powiedzmy sobie wprost – większości stojących przed nami wyzwań nie będą towarzyszyć pozytywne emocje zachęcające do działań w interesie publicznym. Wręcz przeciwnie, domyślnym rozwiązaniem będzie raczej ucieczka lub co najmniej wycofanie się. Nie chodzi tu wyłącznie o takie zdarzenia jak rosyjska inwazja na Polskę, bo ta – wbrew narracjom polityków – wciąż jawi się jako scenariusz radykalnie mało prawdopodobny. W najbliższych latach czeka nas zdecydowanie więcej innych wyzwań, których prawdopodobieństwo możemy już dziś szacować na niemal 100 procent.

Większość z nich związana jest z demografią. Będzie ona wpływać choćby na wzrost kosztów funkcjonowania sys-

OLGA

Drenda: Wyrocznia GPT



NA PIERWSZYCH FALACH PRZEŁOMÓW technologicznych najsprawniej i najszybciej surfują dość szczególne branże: manipulacji finansowych i szemranych inwestycji, usług dla dorosłych oraz szeroko pojętej potocznej wiedzy

tajemnej. Zaryzykuję nawet domysły, że to właśnie te dziedziny mogą dodawać innowacjom szczególnego paliwa. To głównie ich przedstawiciele trzymają rękę na pulsie, są skłonni do testowania nowych dróg i sposobów nakłaniania do interakcji, z czego czasem wynikają zjawiska pokraczne, zdumiewająco toporne, ale równie zadziwiająco przy tym skuteczne.

Krajobraz taniej prasy i działów reklamowo-ogłoszeniowych z prasy przedwojennej, z epoki transformacji ustrojowej, z paleozoiku internetu przynosi kolejne próby unowocześnienia starych i sprawdzonych treści: przepisu na fortunę, listu-łańcuszka, który trzeba podzielić w dwóch kopiach, „zdumiewająca kaseta, która uwodzi kobiety” itp. Dość często wspomniane trzy branże idą ze sobą ręką w rękę, grając na kilku rodzajach pragnień jednocześnie – marzeń erotycznych, tych o fortunę i o dostęp do tajemnicy.

Wszystko fajnie, ładnie, przykłady te często bawią swoim nieporadnym, niskobudżetowym cwaniactwem, dopóki nie uświadomimy sobie, że to właśnie te niedrogie sposoby okazują się bardzo celne. I dopóki np. nie spotkamy człowieka oszukanego metodą na wnuczka, na romantyczne wiadomości od rzekomego amerykańskiego oficera itp.

„Przecież każdy wie, że to kit” – owszem, wie, ale mimo to i tak to robi.

Albo np. kogoś zbliżonego do bohaterów reportażu Milesa Klee z „Rolling Stone”. Internetowi samozwańcy „uzdrowiciele duchowi” to, jak można było się spodziewać, grupa, która bardzo entuzjastycznie zareagowała na pojawienie się narzędzi LLM. Niemal z nich dzisiaj głosi przepowiednie i przekazy z innego wymiaru, które, jak twierdzą, uzyskali przy pomocy Chata GPT. Ich charyzma w połączeniu z wciąż zaskakująco trwałym przekonaniem o nieomylności i obiektywności maszyny sprawia, że cieszą się całkiem dużym powodzeniem. Niektórzy potrzebujący pomijają w ogóle etap pośrednika i zwracają się do cyfrowej wyroczni sami. Ponieważ otrzymują odpowiedzi, jakich oczekują, wchodzą ze swoim „dajmonionem” w niezbyt zrównoważoną relację, zwłaszcza gdy są psychicznie wrzliwi i podatni na kryzysy.

Nie jest to sytuacja bezprecedensowa. Prastara w stosunku do dzisiejszych realiów i niepozabawiona oczywiście wad, ale wciąż pod wieloma względami aktualna pionierska książka reporterska Flo Conway „Snapping: America’s Epidemic of Sudden Personality Change” (poświęcona przede wszystkim destrukcyjnym, przemocowym ruchom neoreligijnym lat 70.) stawia diagnozę o „chorobie informacyjnej”. W momencie, gdy zdolność przetwarzania informacji przez pojedynczy umysł osiąga punkt krytyczny, przestaje działać nawet prosta ludzka intuicja, to wyczucie dysonansu, że coś nam tu nie gra. Wówczas umysł zaczyna ją zapierać poza kontrolę treści zupełnie dowolne.

Ale jest coś jeszcze. Być może przypadki, gdy ktoś mimo wszystko wierzy, że tajemniczy książę chce przekazać mu spadek, to w jakimś stopniu jednak kwestia woli. Ostatecznie człowiek pragnie pociechy. Nie da jej coach czy człowiek sukcesu zagrzewający do ciągłego zakasywania rękawów; co najwyżej może sprzedąć chwilowe poczucie wszechmocy. Nie da jej publiczny intelektualista, gwiazda ani influencer – oni mogą co najwyżej sprawić, że chwilowo pocujemy się mądrzejsi od kogoś innego. Nie da jej niestety sztuka ani wbrew temu, co mówił Boecjusz, filozofia: niosą ze sobą ryzyko zadawania zbyt wielu pytań. Ta poszukiwana pociecha to uspokojenie obaw i potwierdzenie, że wszystko z nami w porządku, nawet wtedy, gdy zupełnie nie jest to prawdą. Człowiek bardziej chce wierzyć, że może zostać pokochany, że jego los może się odmienić, że ma szansę na szczęście, niż przyjąć do wiadomości, że zawsze może być tak sobie.

Uznanie, że to wszystko nieprawda, że to kit, oznaczałoby przecież odebranie sobie widma takiej szansy, i to własną ręką. A kto ma odwagę sam siebie przekreślić? ©

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

Ta branża
zawsze
wyprzedza
inne
o krok



OLGA DRENDA

Zbliża się Święto Soli. Zobacz, co szykuje Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce



DARTUSZ KOŁAKOWSKI x 5

„ŚWIĘTO SOLI” W WIELICZCE – JUŻ 8 CZERWCA

8 czerwca odbędzie się 19. edycja „Święta soli” – jednej z najbarwniejszych imprez kulturalnych Wieliczki. Od godz. 10.00 do 18.00 dziedziniec Zamku Żupnego wypełni się warsztatami, pokazami i koncertami. Wstęp na wydarzenia jest darmowy, a program jak zwykle zachwyca różnorodnością – coś dla siebie znajdą i dzieci, i dorośli. Święto upamiętnia wielowiekową historię żup krakowskich – królewskiego przedsięwzięcia wydobywającego sól w Wieliczce i Bochni. Wydarzenie przywołuje atmosferę dawnych targów i miejskiego gwaru. Co roku przyciąga od 10 do 20 tysięcy osób. Na uczestników czekają warsztaty tradycyjnych rzemiosł – skręcanie lin, lepienie garnków, wykonywanie beczek i koszy. W strefie edukacyjnej

dzieci będą mogły stworzyć solniczki z masy solnej i ozdobić je według własnego pomysłu.

Nie zabraknie też atrakcji ruchowych – wspinaczek, torów przeszkód i zabaw z solą. W programie: warzenie soli na ogniu, rzeźbienie w bryłach solnych, tworzenie solnej biżuterii i zabawy z solanką. Wszystkim zajęciom towarzyszyć będą: muzyka na żywo w wykonaniu Orkiestry Dętej Kopalni Soli „Wieliczka”, występy na scenie, pokazy iluzjonistów, konkursy i loterie, a całość zwieńczy koncert Kraków Street Band o godz. 17.00.

Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem „Święto soli – piękno soli”. Wśród gości pojawią się przedstawiciele kopalni soli z Hiszpanii i Słowacji. Wydarzenie organizuje Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



WYSTAWA „PIĘKNO SOLI” – NIEZWYKŁE DZIEŁA NATURY

Od 8 czerwca do 31 października 2025 r. Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka zaprasza na wystawę „Piękno soli”. W odnowionych salach Zamku Żupnego zobaczymy ponad 80 okazów soli z Polski i Europy. – Na sól można spojrzeć też, jak na dzieło natury. Potrafi ona zachwycić swym pięknem i to zarówno ta kamienna wydobywana w kopalniach, jak i sole wtórne powstające z solanki, gdy w kopalni dochodzi do wycieku – mówi Rafał Zadak, kurator wystawy. Prezentowane okazy pochodzą m.in. z Wieliczki, Bochni, Kłodawy, Cardony, Loulé i Merkers. Znajdą się tu zarówno minerały sprzed 250 mln lat, jak i formacje współczesne, powstałe z krążącej w skałach solanki. Szczególną uwagę przyciągają

tzw. sole wtórne – formy powstałe wskutek wycieków solanki w kopalniach, przypominające kalafior, sople, włókna czy stalagmity.

Ich barwy – róż, zieleń, błękit czy miód – zachwycają różnorodnością. W programie również zdjęcia wielkoformatowe z muzeów i kopalni, z których pochodzą solne eksponaty.

Wystawie towarzyszy Forum Inauguracyjne nowego szlaku europejskiego, skupiającego historyczne kopalnie i saliny. To inicjatywa Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka, które jako pierwsze zaproponowało stworzenie szerokiej sieci miejsc związanych z dziedzictwem soli – nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie.

Współorganizatorem wystawy jest Kopalnia Soli w Wieliczce.

FOKA SYGNALISTKA

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z AKTAU (KAZACHSTAN)

Do końca XXI wieku poziom wody w Morzu Kaspijskim może spaść o jedną dziesiątą. Największy śródlądowy zbiornik świata – położony między Kazachstanem, Turkmenistanem, Iranem, Azerbejdżanem i Rosją – zanika. Uderza to zwłaszcza w Kazachów.

*Molo w Aktau, pod którym dziś nie ma już morza, a sucha ziemia porośnięta jest trawą.
Kazachstan, 26 kwietnia 2025 r.*

ZANIM WYRUSZY W DROGĘ, ASSEL BAIMUKANOWA bierze zawsze prysznic. Specjalny: długi i gorący. Taki, który zapadnie w pamięć. Bo potem przez kolejne dni będzie mogła jedynie marzyć o prysznicu. Zazwyczaj zastanawia się też wówczas, czy powinna w ogóle kłaść się do łóżka. Bo wstać musi o trzeciej rano. O czwartej wyjeżdżają.

Podczas ekspedycji, których celem są wyspy pojawiające się na Morzu Kaspijskim, tym największym śródlądowym zbiorniku wodnym świata (o powierzchni 371 tys. km², czyli sporo większym od obszaru Polski), najgorszy dla Assel jest odór. Mdły, duszący, z nutą słodczy. – Gdy go poczujesz, od razu wiesz – mówi Baimukanowa.

Tak cuchną rozkładające się szczątki fok kaspijskich. To gatunek endemiczny dla Morza Kaspijskiego, któremu dziś grozi wyginięcie. Gatunek, który Baimukanowa nazywa pechowym.

FOKI | W latach 2017-2022 Baimukanowa – naukowczyni zajmująca się badaniem fok kaspijskich, ich zwyczajów i śro-

dowiska – wraz ze swoją ekipą wyruszała na ekspedycję w celu badania śmiertelności tych ssaków tylko raz do roku, na wiosnę.

Jej zespół analizował wówczas rozkładające się szczątki fok, które umarły na przestrzeni roku. Niektóre jesienią, zanim lód skuł powierzchnię morza, inne na lodzie, a jeszcze inne, gdy już odeszła zima i wiatr zepchnął ich pływające szczątki w miejsca znane jako „cementarzyska fok”.

Sytuacja zmieniła się trzy lata temu.

– W 2022 r. rosyjscy naukowcy odkryli tysiące foczych zwłok na obszarze od Machaczkały do ujścia rzeki Terek. Jesienią 2024 r. morze wyrzuciło ciała około dwóch tysięcy fok. Z powodu zanieczyszczenia wody foki mają niską odporność, częściej chorują, a następnie te choroby rozprzestrzeniają się na całą populację – opowiada mi Baimukanowa.

– Zawsze mówię, że nasze foki mają pecha – dodaje. – Mieszkają w zamkniętym zbiorniku, do którego spływają wszelkie zanieczyszczenia i w nim zostają. To ma wpływ na rosnącą bezpłodność samic

i brak odporności. Ale foki często umierają w zimowych sieciach żeglugowych albo rybackich. Do tego dochodzą zmiany klimatu.

WYSYCHANIE | Według badań, których wyniki opublikowało w kwietniu czasopismo „Nature”, do 2100 r. poziom wody w Morzu Kaspijskim spadnie o 18 m (podczas gdy jego średnia głębokość to 180 m).

Tymczasem według naukowców już spadek o 5 do 10 m całkowicie zakłóciłby działanie ekosystemu, w tym populacji fok czy jesiota, również zagrożonego. Już wcześniej, do 2024 r., większość obszarów uznanych za ważne dla wiosennego lęnienia fok wyschła i zwierzęta musiały przenieść się na nowe wyspy.

Coraz częściej mówi się, że ten położony między Kazachstanem, Turkmenistanem, Iranem, Azerbejdżanem i Rosją zbiornik wodny – stanowiący szlak transportowy z Chin do Europy i będący ważnym źródłem ropy i gazu – może podzielić los pobliskiego Morza Aralskiego. Jego wyschnięcie spowodowało katastrofę klimatyczną, ekonomiczną i humanitarną, szczególnie w uzbeckiej Karakałpacji.

→



→ Skutki wysychania Morza Kaspijskiego byłyby poważniejsze. Tymczasem bez zmiany polityki krajów dzielących ten zbiornik trudno będzie uniknąć katastrofy.

POZEW | Aby jej zapobiec, Wadim Ni – kazachski prawnik zajmujący się środowiskiem i założyciel powstałej w grudniu 2024 r. kampanii *Save the Caspian Sea* – postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. W lutym tego roku pozwał własne państwo.

W końcu konstytucja Kazachstanu stanowi, że ziemia, fauna, flora i wszystkie zasoby naturalne leżące na jego terenie należą do narodu, a obowiązkiem rządu jest je chronić.

Wadim Ni zaczął więc od początku. W styczniu, występując jako przedstawiciel *Save the Caspian Sea*, poprosił Ministerstwo Energetyki o wgląd do porozumień o podziale produkcji (PSA) i do umów koncesyjnych podpisanych w latach 90. XX w. między rządem Kazachstanu a międzynarodowymi konsorcjami naftowymi, które dostały prawo do wydobywania kazachskiej ropy i gazu.

Ministerstwo odmówiło. Wadim Ni poczuł, że nie ma wyjścia.

„Tajemnica chroniąca PSA pozwoliła na eksploatację zasobów Kazachstanu bez żadnej odpowiedzialności. Tylko poprzez objęcie porozumień publiczną kontrolą możemy w końcu rozpocząć prawdziwą debatę o tym, jak zarządzać Morzem Kaspijskim z uwzględnieniem jego integralności środowiskowej i dobrobytu lokalnych społeczności” – pisał w liście otwartym.

UMOWA | Częściowa odpowiedź na jego wątpliwości pojawiła się w kwietniu, gdy Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) opublikowało tekst o sporze między Kazachstanem a grupą koncernów naftowych, który trwa przed międzynarodowym sądem arbitrażowym. Dziennikarze ustalili, że koncerny pobierają 98 proc. dochodów ze sprzedaży ropy z pola Kaszagan pod dnem Morza Kaspijskiego, uiszczając państwu kazachskiemu jedynie skromne opłaty licencyjne.

Nieopłacalne dla kraju umowy podpisano w 1994 i 1997 r., gdy Kazachstan, który niepodległość uzyskał ledwie kilka lat wcześniej po rozpadzie Związku Radzieckiego, nie umiał (bądź nie chciał)



Assel Baimukanowa



Adilbek Kozybakow

asertywnie negocjować z koncernami naftowymi.

Wadim Ni, który ma też wykształcenie chemiczne, wspomina w rozmowie, że w pierwszych latach niepodległości nikt nie sądził, iż kazachskie złoża są wiele warte. Morze Kaspijskie postrzegano jako ważne głównie dla rybołówstwa: było pełne jesiotra, a co za tym idzie drogiego kawioru, idealnego towaru eksportowego.

– W tamtym czasie dyskutowaliśmy z kolegami chemikami. Twierdzono wtedy, że nasza ropa nie jest dobrym produktem eksportowym, bo zawiera za duże stężenie siarki. Nie sądziliśmy, że staniemy się celem wielkich inwestycji koncernów naftowych. Azerbejdżan i Turkmenistan tak, ale nie my – mówi Wadim Ni.

KONTROLA | Jednak niedługo potem powszechniły się technologie oczyszczania ropy i jej transport z Kazachstanu w świat w dużych ilościach stał się opłacalny. Okazało się też, że jej zasoby na polach Tengiz, Karaczaganak i Kaszagan (złoża Tengiz rozciąga się w pobliżu wybrzeża Morza Kaspijskiego, a Karaczaganak przy granicy z Rosją) są dwunastymi co do wielkości odkrytymi złożami na świecie. Kazachstan stał się naftową potęgą.

– W tamtym czasie w naszej stolicy pełno było zachodnich firm prawnych, które dbały o każdy szczegół umów tak, by były one korzystne dla in-

westorów. A potem podpisywano osobne umowy, które miały zachować warunki porozumień w tajemnicy – mówi Wadim Ni.

Prawniki twierdzą, że charakter tych umów nie był winą państwa, które nie miało doświadczenia ani kadr, by negocjować z zachodnimi wyjadaczami. Dodatkowo koncerny doprowadziły do tego, że kazachskie pola naftowe reguluje międzynarodowe prawo handlowe. W rezultacie tylko międzynarodowe sądy arbitrażowe mogą rozstrzygać spory między stronami, a nie prawo kazachskie i kazachskie sądy, które podlegają kontroli publicznej.

Wadim Ni dowodzi, że w ten sposób kwestie kluczowe dla kraju, jego bezpieczeństwa i rozwoju stały się tajemnicą handlową, a społeczeństwo nie ma nad nimi demokratycznej kontroli.

EKSPANSJA | W 2008 r. konsorcjum naftowe renegotjowało umowę z Kazachstanem, aby dowieść swej uczciwości. Dodano pewne opłaty licencyjne, co zwiększyło udziały Kazachstanu w eksploatacji złóż Kaszagan o około punkt procentowy – tak twierdzą dziennikarze ICIJ. To jednak nadal nic w porównaniu do zysków koncernów.

W styczniu tego roku ogłoszono znaczną ekspansję pola Tengiz – tak, aby zwiększyło ono produkcję z 699 tys. baryłek dziennie do miliona. To może dodatkowo pogorszyć i tak dramatyczną sytuację ekologiczną pobliskiego Morza Kaspijskiego.

Sytuacja ta od jakiegoś czasu jest przedmiotem żywych dyskusji w Kazachstanie – szczególnie na zachodzie kraju, gdzie morze jest ważne dla codziennego życia mieszkańców, i gdzie gołym okiem widać skutki działań korporacji.

Te oczywiście regularnie inwestują w badania, których wyniki mają przekonać rząd i mieszkańców, iż działania koncernów nie mają zgubnego wpływu na środowisko.

Wadim Ni nie daje im wiary. Uważa, że dużo łatwiej byłoby uwierzyć bardziej przejrzystej kontroli obywatelskiej i niezależnym ekspertom.

ZMIANY | Azamat Sarsenbajew, znany lokalny bloger z Aktau – największego miasta Kazachstanu położonego nad Morzem Kaspijskim – spaceruje po brzegu

i wypatruje miejsc, które jeszcze niedawno wyglądały całkiem inaczej.

To, co dziś jest plażą, jeszcze trzynaście lat temu, gdy Azamat był szesnastoletnim łobuzem, było pod powierzchnią morza. Z tamtej skarpy, która dziś góruje nad stertą kamieni, kiedyś Azamat skakał „na bombę” do wody. Twierdzi, że było na to dość głęboko.

Dziś morze jest daleko stąd. W niektórych miejscach oddaliło się o sto, w innych o dwieście metrów, a jego dawne dno, dziś popękane, zarasta trawa.

Tych zmian już nie da się przemilczeć ani zbyć tłumaczeniem, że to naturalne, bo morze odchodzi i wraca. Tu zmiany widać gołym okiem.

– Miejscowi boją się tego momentu, gdy morze odejdzie, bo bez morza Aktau nie ma przyszłości. Bez morza nie będzie istnieć. Morze i Aktau to jedno i to samo – mówi mi Azamat.

– Nawet woda w naszych kranach pochodzi z morza – dodaje Sarsenbajew. – Gdy więc odejdzie, nie będzie wody dla miasta. Prądu też nie będzie, bo czerpiemy go z elektrowni wodnej. Gdy nie będzie wody, nie będzie czym chłodzić generatorów. Tak umrze Aktau.

ROSJA | Azamat Sarsenbajew uważa, że główną winowajczynią wysychania Morza Kaspijskiego jest Rosja. To na jej terytorium znajdują się rzeki, które są głównymi źródłami wody w Morzu Kaspijskim, w tym potężna Wołga, największa i najdłuższa rzeka Europy. To ona dostarcza morzu 80 procent jego objętości. Tymczasem Rosja zbudowała na Wołdze łącznie jedenaście tam i zbiorników wodnych, z jej wód korzysta rosyjskie rolnictwo i rosyjski przemysł.

W rezultacie do „Kaspi” – jak Morze Kaspijskie nazywają miejscowi – dochodzi ograniczona ilość wody, dodatkowo już zanieczyszczona przemysłowo.

Wprawdzie w okolicach kazachskiej linii brzegowej nadal można się kąpać – i wprawdzie nie przypomina ona jeszcze wybrzeży wokół azerbejdżańskiego Baku, gdzie morska woda wygląda jak oleista maź za sprawą odpadów przemysłowych i ropy – ale to kazachska linia brzegowa jest jedną z najbardziej zagrożonych.

Jest to bowiem płytsza część Morza Kaspijskiego, gdzie jego wysychanie odczuwane jest najbardziej i gdzie jest najbardziej brzemienne w skutki.



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Pomnik foki kaspijskiej na promenadzie w Aktau. Kazachstan, 26 kwietnia 2025 r.

JESIOTR | Aktau wiosną emanuje spokojem. Sowiecka siermiężna zabudowa nabrzeża kontrastuje z kamienistymi plażami i klimatycznymi nadmorskimi knajpkami, w których można zamówić jesiotra, dumę Morza Kaspijskiego. Nie, nie tego z morza, który jest pod ochroną, lecz z prywatnych hodowli.

Adilbek Kozybakow – 51-letni ekolog z Aktau, założyciel ruchu „Kaspi – Moje morze” i członek rady społecznej przy Ministerstwie Ekologii – wspomina w rozmowie, jak w czasach jego dzieciństwa słoik kawioru, jaj jesiotra, był obowiązkowym produktem w lodówce jego rodziców.

Adilbekowi nie smakował. Buntował się, gdy matka zmuszała go do zjedzenia przynajmniej jednej łyżki kawioru na kromce chleba z masłem dziennie. Dla zdrowia.

– Gdy zrozumiałem, jak dobry jest kawior, już go nie było – mówi Kozybakow. – W latach 80. XX wieku jego sprzedaż była jeszcze legalna. W latach 90. zabroniono połowu jesiotra, ale nadal można było go kupić na czarnym rynku i nie był trudno dostępny, choć już drogi. Po roku 2000 zniknął i dziś ciężko na niego trafić.

Winni zniknięcia jesiotra są przynajmniej po części kłusownicy, którzy mimo zakazu nadal zarabiali na nielegalnym połowie i na sprzedaży kawioru po zawyżonych stawkach. Ale

zanieczyszczenie wód też ma znaczenie. Ekolog Kozybakow twierdzi, że dziś ryby są sporo mniejsze niż kiedyś i żyją krócej.

Konkretnych badań na razie jednak brak. Państwowy instytut, który ma badać Morze Kaspijskie, dopiero powstaje i minie parę lat, zanim się rozkręci. Tymczasem działać trzeba już.

STRATEGIA | Sąd zdecydował, że nie rozpatrzy pozwu Wadima Ni. Uznał, że nie ma do tego podstaw. Ale prawnik się nie poddaje. Zamierza się odwołać, a jeśli nie uda się wygrać sprawy w kraju, odwoła się do sądów międzynarodowych. W odpowiedzi na jego działalność Ministerstwo Energetyki wydało oświadczenie, w którym oskarżyło go o podważanie wiarygodności kraju w oczach inwestorów.

Wadim Ni nie zamierza ulec presji. Cytuje międzynarodową konwencję z Aarhus z 1998 r., która reguluje dostęp do informacji dotyczącej środowiska; Kazachstan jest jej sygnatariuszem.

Gdy pytam go, co można zrobić, by uratować Morze Kaspijskie, recytuje dawno opracowaną strategię. Należy więc zrealizować postanowienia konwencji teherańskiej, którą podpisały wszystkie kraje basenu Morza Kaspijskiego (zobowiązały się do ochrony jego środowiska i do zachowania, odbudowy i racjonalnego wykorzystania jego zasobów).

→

→ Do tego potrzebna jest przejrzystość w umowach z inwestorami zagranicznymi. Możliwe jest też przetransportowanie wód z wiosennych powodzi do „Kaspi” (praktykowano to już w kazachskiej części Morza Aralskiego).

TRANSGRANICZNIE | Potrzeba również, ciągnie Wadim Ni, większej kontroli tego, jakie statki i z jakimi zabezpieczeniami dopuszczane są na Morze Kaspijskie, które dziś jest osią tzw. Środkowego Korytarza – szlaku handlowego, który łączy Chiny i Europę przez Azję Centralną i Kaukaz Południowy z pominięciem Rosji.

Ale przede wszystkim potrzebna jest międzynarodowa współpraca.

– Powinniśmy usiąść wspólnie z Rosją i resztą krajów do rozmowy, co zrobić, by więcej wody z rzek wpadało do morza. Nadal nie ma umowy między Rosją i Kazachstanem o podziale wody, bo Wołga nie jest uznana za rzekę transgraniczną – mówi Wadim Ni.

Jednak o taką współpracę niełatwo. Wszystkie kraje basenu „Kaspi” są mniej lub bardziej autorytarne, nie ma w nich demokratycznej kontroli.

W tej grupie Kazachstan ma i tak najbardziej rozwinięte społeczeństwo obywatelskie. Dlatego zmiana mogłaby zacząć się właśnie tutaj.

SYGNAŁ | Gdy pytam Assel Baimukanową, po co nam foki kaspijskie, nie kryje rozdrażnienia. Nie lubi tego pytania.

– Foki są gatunkiem wskaźnikowym – tłumaczy. – Dzięki nim, największym mieszkańcom wody, możemy określić, co się dzieje z Morzem Kaspijskim. Dlatego są takie ważne. Zmiany, które widzimy dziś, są dla nas wszystkich sygnałem alarmowym.

– Ponadto nie wiemy, co się stanie, gdy foki znikną – dodaje. – One są tutaj na szczycie łańcucha pokarmowego, to jedyny ssak morski w Azji Centralnej, który nie występuje nigdzie indziej na świecie. Na pewno będzie wtedy wiele niespodzianek.

© AGNIESZKA

PIKULICKA-WILCZEWSKA



MIKE KIREEV / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Tatuaż cyrylicą

ZBIGNIEW ROKITA

Piłkarski bojkot Rosji niebawem może się zakończyć. Przywracanie rosyjskich drużyn do światowego futbolu zacznie się zapewne od piłki kobiecej. Tymczasem gwiazdą tamtejszej ligi jest Polka, Gabriela Grzywińska.

KOŃCÓWKA ROKU 2024. KLUB ZENIT Petersburg pokonuje wojskowe CSKA Moskwa i po raz trzeci z rzędu zostaje mistrzem Rosji w piłkarskiej lidze kobiet.

Królową strzelczyń – z przewagą aż siedmiu trafień nad kolejną w tabeli – jest urodzona w Krakowie Polka Gabriela Grzywińska. Zostaje również wybrana najlepszą zawodniczką rosyjskiej ligi. Z tytułów cieszy się w lazuru koszulce Zenitu ze zdobytym pierś logotypem właściciela klubu: państwowego koncernu Gazprom.

Dziś Grzywińska wciąż gra znakomicie, a jej bramki (można je oglądać na nagraniach dostępnych w sieci) robią wrażenie.

Piłkarska Polonia w Rosji

Gdy w 2022 r. Rosja zaczęła pełnoskalową wojnę z Ukrainą, w rosyjskiej męskiej Premier-Lidze – natenczas ósmej najlepszej lidze Europy – grało kilku polskich piłkarzy, w tym reprezentanci Polski jak Grzegorz Krychowiak.

Odeszli wszyscy Polacy poza jednym: Maciejem Rybusem. Z rosyjską piłką związany był od dekady: grał w tym czasie w Czeczenii i Moskwie, miał rosyjsko-osetyńską żonę i dwoje dzieci, zapuścił korzenie.

Za sprawą decyzji o pozostaniu w Rosji został wyrzucony z reprezentacji Polski (po 12 latach grania w jej szeregach). Jego kariera w Rosji jednak szybko się załamała. Od dłuższego czasu 35-letni piłkarz nie potrafi znaleźć sobie klubu i dziś jest *de facto* emerytem, a do polskiej piłki nie ma powrotu. Portale plotkarskie zwróciły ponadto niedawno uwagę, że jego żona (najpewniej główna przyczyna decyzji o pozostaniu w Rosji) usunęła ich wspólne zdjęcia z profilu na Instagramie.

Z turniejów międzynarodowych rosyjskie kluby wykluczyła wówczas UEFA, a rosyjską reprezentację narodową – FIFA (choć pod naciskiem opinii publicznej, bo prezes FIFA nie był entuzjastą izolowania Rosji). Pozwolono im natomiast grać da-

Gabriela Grzywińska (w środku) podczas meczu rosyjskiej superligi piłki nożnej kobiet pomiędzy Zenitem Sankt Petersburg i Zvezdą Perm. Na lewej ręce widoczny tatuaż, którego elementem jest napis po rosyjsku: „Jutro będzie lepiej niż dziś”. Petersburg, 13 marca 2022 r.

lej mecze towarzyskie (o ile ktoś zechce z Rosją grać).

Mimo swoich szumnych zapowiedzi, Rosjanie nie przenieśli się jednak z UEFA do AFC, tj. z federacji europejskiej do azjatyckiej. Zamiast tego czekają na odwrócenie karty. Co może stać się już wkrótce.

Pralnie reputacji

Po lutym 2022 r. w Rosji został jednak ktoś jeszcze. Ktoś, o kim pisało się mniej: Gabriela Grzywińska, sześciokrotna mistrzyni Polski i reprezentantka kraju.

Do Zenitu Petersburg trafiła w 2021 r., niedługo przed pełnoskalową inwazją. Kupiono ją z jednego z najbardziej utytułowanych polskich zespołów, Medyka Konin, do jednego z najbardziej utytułowanych klubów rosyjskich, Zenitu Petersburg.

Był to dla niej awans, choć nie spektakularny: kobieca liga Rosji była wówczas tylko trochę wyżej klasyfikowana niż kobieca liga Polski. Futbol kobiecy nie jest lustrzanym odbiciem futbolu męskiego. Np. w rankingu FIFA najlepszych reprezentacji kobiet pierwsze miejsce zajmują USA, a dziewiąte – Korea Północna.

Grzywińska stała się w ten sposób pierwszą Polką w rosyjskiej lidze.

W 2021 r. jej decyzja nie budziła kontrowersji. Już wówczas nie była ona jednak niewinna. Rosjanie – podobnie jak Katar, Arabia Saudyjska czy Rwanda – używają piłki nożnej do sportwashingu; jest to instrument dyplomacji i wojny informacyjnej.

Także klub Zenit po 2005 r. i przejściu go przez Gazprom stał się elementem projektu „gazpromizacji” futbolu – pralnią rosyjskiej reputacji. Logotypy Gazpromu jako sponsora pojawiały się m.in. na meczach męskiej Ligi Mistrzów, Mistrzostw Świata czy lig angielskiej i niemieckiej. Zenit kobiecy z Grzywińską w składzie był kolejnym elementem tej układanki.

Sukces bez Gabi

W reprezentacji Polski Grzywińska była ważną zawodniczką. W latach 2015-22 rozegrała w niej 55 spotkań; została mi-

strzynią Europy w rozgrywkach zespołów młodzieżowych (do lat 17).

Po lutym 2022 r. nie została od razu skreślona. Powołano ją na zgrupowanie w czerwcu 2022 r., grała przeciw Islandii, a trenerka kadry Nina Patalon mówiła w rozmowie z TVP Sport: „Ta sytuacja nie jest ani dobra, ani wygodna, ani zero-jedynkowa. Trzeba mieć świadomość, że sportowcy podlegają pewnym kontraktom, które muszą wypełniać. Gabrysia podpisała z Zenitem nową umowę na początku roku. Nie miała wówczas świadomości, że wybuchnie wojna”.

Jednak wyrozumiałość niebawem się skończyła. We wrześniu 2022 r. nie wystąpiła, powołania nie otrzymuje już trzeci rok. Dlatego gdy Polki niedawno awansowały na mistrzostwa Europy, które w 2025 r. odbędą się w Szwajcarii, Grzywińska nie uczestniczyła w tym sukcesie (a był to sukces historyczny: polskiej reprezentacji kobiecej nigdy wcześniej nie udało się awansować na żaden duży turniej).

Reprezentacja Polski jest „średniaczką”: zajmuje 28. miejsce w rankingu FIFA, jedno oczko za rosyjską Sborną. Ta zaś – tak drużyna męska, jak i kobieca – choć nie jest dopuszczana do turniejów od lutego 2022 r., wygrała już sporo spotkań.

Sankcje są bowiem nieszczelne, a Rosji pozwala się – jak już powiedziano – na granie spotkań towarzyskich z każdym, kto się na to zgodzi. Zgadza się na ogół drużyny mierne, które Rosjanie i Rosjanki z łatwością pokonują. Stąd mężczyźni wygrali ostatnie osiem spotkań z rzędu, m.in. z Brunei i Grenadą, i ze stosunkiem bramek 44:0. Podobnie jest z kobietami. FIFA nie miała śmiałości zakazać innym drużynom narodowym rozgrywania meczów towarzyskich ze Sborną.

„W Rosji mi dobrze”

Warunek stawiany przez polską reprezentację Grzywińskiej, aby mogła wrócić do kadry, jest jasny: musi wyjechać z Rosji.

Jednak Grzywińska już piąty rok gra w Rosji i zapowiada, że chce tam zostać. Nie wiemy, czym się kieruje. Kontakto- wałem się z dziennikarzami sportowymi, z otoczeniem reprezentacji. Nie wiedzą. Próbowaliśmy nawiązać kontakt z Zeni-

tem Petersburg i samą Grzywińską. Nie otrzymałem odpowiedzi. Wiemy, że podróżuje do Polski, ma kontakt z rodziną, ale to wszystko. Nie rozmawia z polskimi mediami.

Nieco informacji podała za to na początku 2025 r. w rozmowie z rosyjskim portalem Sport24.ru: tłumaczyła, że nie przyszła do Zenitu dla pieniędzy, ale żeby prezentować polski futbol na świecie.

Jeśli tak, to dlaczego jako okno wystawowe wybrała akurat izolowaną i średnią w Europie ligę rosyjską?

W rozmowie tej Grzywińska mówiła też o swoich pozytywnych wrażeniach z życia w Rosji: „W PZPN niemal od razu mi powiedzieli: »Chcesz występować w reprezentacji [Polski], zmień klub«. Ta sytuacja mocno się na mnie odbiła. Nawet nie mogłam wyjść na pierwszy trening, po prostu siedziałam w szatni i płakałam. Ale nawet wtedy nie myślałam o opuszczeniu Rosji”.

Dalej dodała: „Już po roku zniknęły wszystkie negatywne mity, które miałam, o Rosji, miasto i drużyna stali się dla mnie drugim domem (...). Po co więc miałabym coś zmieniać, jeśli w Rosji mi dobrze i bezpiecznie?”. Mówiła, że lubi rosyjskie seriale, muzykę i barszcz.

Ani słowa o wojnie

Świadomie czy nie, Grzywińska stała się instrumentem rosyjskiej propagandy.

Nie wiadomo, jak daleko się posunie. Czy jeśli czerwona linia nie jest dla niej gra za państwowe rosyjskie pieniądze z logiem Gazpromu, to czy byłby nią występ w meczu z zespołem z Krymu lub Donbasu? Ligi krymska i doniecka istnieją, można obserwować je np. na stronie Zafootball.su (na jednej z niezliczonych witryn, które pojawiły się w ostatnich kilkunastu latach w domenie Związku Sowieckiego „su”, od Soviet Union).

W wywiadzie dla Sport24.ru Grzywińska nie kryła też rozczarowania Polską: „Gdy przyszłam do Zenitu [w 2021 r.], wszystko było dobrze. Nie spotkałam się z żadnymi negatywnymi opiniami. A potem wszystko się zawaliło: mówili o mnie podłe rzeczy w telewizji, w prasie, w komentarzach pisali niecenzuralne słowa, których nie chcę powtarzać. Pisali: »Nie przyjeżdżaj do Polski – my ciebie zabijemy«”.

→ Nie wiadomo, czy wywiad został zmanipulowany, jednak Grzywińska nie odniosła się do niego na swoich mediach społecznościowych – te zresztą od dawna milczą. Ona sama w wywiadzie również milczy o tym, dlaczego nagle jej pobyt w Rosji zaczął wzbudzać kontrowersje: nie pada ani słowo o Ukrainie i wojnie.

Sport to polityka

Powiedziała jeszcze jedną rzecz: to, co najczęściej mówi się w krajach wykorzystujących sport w polityce: „Dla mnie sport jest niezależny od polityki”.

Jednak historia uczy, że nie jest niezależny. Sport to instrument i zwierciadło polityki.

Widać to także w ostatnim czasie. Nie było przypadkiem, że niedługo po słowach Donalda Trumpa o aneksji Kanady w meczu hokejowym reprezentacji dwóch państw doszło do trzech bójek w ciągu pierwszych dziewięciu sekund meczu (zegar zatrzymuje się w razie bójki).

Nie był też wolny od polityki wybór kilka miesięcy temu na prezesa Międzynarodowej Federacji Siermierej jednego z rosyjskich oligarchów, objętego unijnymi sankcjami Aliszera Usmanowa – tego, który wcześniej przeferował m.in. dopuszczenia do turniejów rosyjskich i białoruskich siermierzy.

Nie był wolny od polityki rekord wszechczasów Aleksandra Owieczkina, który pod koniec kwietnia strzelił 895 bramek w lidze hokejowej NHL i w ten sposób został najsukcesywniejszym jej graczem w historii. Owieczkin to Rosjanin znany z poparcia dla Putina, na swoim zdjęciu profilowym na Instagramie ma wspólną fotografię z rosyjskim dyktatorem (Owieczkin proponował rozegranie meczu gwiazd lig hokejowych rosyjskiej i amerykańskiej, co miało być pierwszym krokiem na rzecz zniesienia „niesportowych i niesprawiedliwych ograniczeń”).

Grzywińska jako jedyna zawodniczka z Polski (kraju postrzeganego przez Rosjan jako jedno z kilku najbardziej wrażliwych Rosji państw świata), strzelająca bramki z logiem Gazpromu i chwalcą Rosję – to także spektakl polityczny.

„Gazpromizacja” trwa

Przed I wojną światową Imperium Rosyjskie było członkiem FIFA, jednak po

Broniąc się przed zarzutami, Gabriela Grzywińska twierdzi, że dla niej

„sport jest niezależny od polityki”. To nieprawda: w Rosji sport jest instrumentem polityki i narzędziem propagandy.

rewolucji bolszewickiej Rosja nie mogła występować na międzynarodowych turniejach aż do 1952 r. W tym czasie Związek Sowiecki spotykał się na boisku tylko z jedną reprezentacją: Turcją.

Dzisiejsza sytuacja Rosji czasem przypomina tamtą. Jedyny mecz, który kobiecy Zenit rozegrał od początku inwazji z rywalem spoza Rosji, to tegoroczne spotkanie z Fenerbahçe Stambuł. Zenit wygrał 3:1, wszystkie gole strzeliła Grzywińska, a materiał pomeczowy na stronie klubu nosił tytuł „Hat-trick Gabi”. Już wówczas miała wytatuowany na ręce po rosyjsku, cyrylicą, napis „Jutro będzie lepiej niż dziś”.

Nieco wcześniej Rosjanie próbowali wrócić tylnymi drzwiami do Ligi Mistrzów i to też z pomocą Turcji: tureckie media donosiły, że byli bliscy podpisania dużej umowy sponsorskiej z Beşiktaşem, innym stambulskim klubem. Dzięki niej stadion w Stambule nosiłby nazwę Gazpromu. Umowa nie doszła do skutku, jednak na pocieszenie kibice na całym świecie widzieli logo Gazpromu w Lidze Mistrzów na koszulkach mistrza Serbii, Crveny Zvezdy, w meczach z takimi klubami jak Barcelona, Milan czy Manchester City.

„Gazpromizacja” futbolu osłabła, ale się nie skończyła. Już niedługo może znowu przybrać na sile. Nie jest bowiem wykluczone, że piłkarska izolacja Rosji dobiega końca.

Rosja wróci do gry?

Wkrótce oczy piłkarskiego świata mogą zwrócić się na futbol kobiecy jak nigdy wcześniej. Prawdopodobnie bowiem, że przywracanie Rosji do światowej piłki zacznie się właśnie od futbolu kobiet i młodzieży.

Gdyby zacząć to przywracanie od futbolu męskiego, bardziej medialnego, Rosja mogłaby spotkać się z bojkotem kolejnych federacji i nie być w stanie np. rozgrywać eliminacji turniejowych.

Tak było z Izraelem, dopóki ten grał w Azjatyckiej Federacji Piłkarskiej (później trafił do Piłkarskiej Federacji Oceanii, a od 1994 r. gra w UEFA); podczas kwalifikacji na mundial 1958 r. Izrael był nawet beneficjentem bojkotu, gdyż wszyscy jego przeciwnicy odmówili gry przeciw niemu i Izrael zgarnął komplet punktów za walkower.

Dziś o końcu izolacji Rosji mówi się coraz częściej. Wielu kibiców pyta: skoro wykluczono Rosję, to dlaczego nie wyklucza się Izraela, którego Międzynarodowy Trybunał Karny i Amnesty International oskarżają o zbrodnie wojenne?

W kwietniu prezydent UEFA Aleksander Čeferin mówił jasno: „Gdy wojna się skończy, Rosja będzie ponownie przyjęta”. Z kolei nadzieją Rosji na start w zimowej olimpiadzie, która odbędzie się w 2026 r. we Włoszech, jest nowo wybrana przewodnicząca MKOl Kristy Coventry.

Ta pochodząca z Zimbabwe pierwsza kobieta – i pierwsza osoba spoza Europy i Ameryki na tym stanowisku – już jako ministra sportu Zimbabwe wspierała występ reprezentacji tego kraju na rosyjskiej olimpiadzie państw BRICS. W ostatnim czasie wysyła zaś sygnały, że chciałyby powrotu Rosjan na igrzyska.

Inna rzecz, że rozejm w wojnie rosyjsko-ukraińskiej ostatecznie uciąłby tu spekulacje.

Możliwe więc, że już niebawem polskiej reprezentacji kobiet, a po jakimś czasie mężczyźni, przyjdzie stanąć obok Rosjanek i Rosjan, wysłuchać rosyjskiego hymnu i być świadkami, jak Rosjanie strzelają – tym razem na bramkę.

Wśród Polek, które wówczas wybiegną na murawę, nie będzie jednak zapewne Gabrieli Grzywińskiej.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i stałym współpracownikiem „TP”. Autor książek, m.in. „Kajś” (Literacka Nagroda Nike 2021) i „Odrzania”. Jesienią ukaże się jego najnowsza książka o Górnym Śląsku.



OLEKSII CHUMACHENKO / GLOBAL IMAGES UKRAINE / GETTY IMAGES

Jako agresor i grabieżca Rosja powinna ponieść także odpowiedzialność finansową. Powyżej zdjęcie ruin Teatru Dramatycznego w Mariupolu, w którym zginęło kilkuset cywilów, na wystawie w Kijowie pokazującej straty wojenne. 24 lutego 2024 r.

Długi Ukrainy

M. KONRAD BOROWICZ

Podczas gdy Ukraińcy uparcie stawiają opór inwazji, na horyzoncie mający im kolejna bitwa: tym razem nie o niepodległość, lecz o pieniądze.

LICZBY MÓWIĄ SAME ZA SIEBIE: POD koniec 2021 r., tuż przed inwazją, bezpośrednie (tj. z wyłączeniem gwarancji) zagraniczne zadłużenie Ukrainy wynosiło 48 mld dolarów USA, a do marca 2025 r. wzrosło do 120 mld (dane ukraińskiego ministerstwa finansów). Ten dramatyczny wzrost, napędzany potrzebami wojennymi, wpędził kraj w finansową pułapkę – przy skurczonej gospodarce coraz trudniej sobie wyobrazić, jak miałby go spłacić bez znaczącej pomocy z zewnątrz.

Problemem jest nie tylko skala, ale też struktura długu: mnogość instrumentów finansowych rozproszonych w rękach wierzycieli z całego świata. W pierwszej kolejności to prywatni posiadacze obligacji państwa ukraińskiego: fundusze inwestycyjne i banki, które trzymają 15 mld dolarów w tzw. euroobligacjach (to rodzaj instrumentu dłużnego w walucie innej niż ta emitenta).

Dla wielu z tych wierzycieli nie jest to pierwsze spotkanie z ukraińskim kryzysem. Wspomniane euroobligacje są pochodną restrukturyzacji ukraińskiego długu z 2015 r., po aneksji Krymu. W 2024 r., po negocjacjach, ich warunki uległy zmianie po raz kolejny – tym razem nastąpiła redukcja ich wartości nominalnej (o 37 proc.) i cięcia odsetek, a termin spłaty przesunięto aż do 2033 r. W ten sposób wysokość nominalną długu zredukowano o 8,5 mld, a wysokość odsetek aż o 22 mld dolarów.

Była to jedna z najambitniejszych restrukturyzacji na rynkach obligacji ostatnich lat. Ale nawet ta operacja „finansowej pierwszej pomocy” nie powstrzymała dalszego krwotoku.

KAMIEŃ U SZYI | Kolejny element długu to tzw. warranty indeksowane do PKB – to finansowa karta-joker w ukraińskiej

talii. Te egzotyczne instrumenty wprowadzono w 2015 r. jako rodzaj „premi” dla wierzycieli. Polega to na tym, że jeśli ukraińska gospodarka przekroczy określony próg wzrostu, papiery te uruchamiają wypłaty – w praktyce oddając inwestorom część przyszłego dobrobytu kraju.

Do końca 2025 r. wysokość należności z tytułu tych instrumentów nie może przekroczyć 0,5 proc. ukraińskiego PKB, ale potem żadne limity już nie obowiązują, aż do czasu wygaśnięcia warrantów w 2041 r.

Kiedyś chwalone jako rozwiązanie innowacyjne, dziś ciąży jak kamień u szyi. Z powodu ich złożoności nie zostały objęte restrukturyzacją z 2024 r. Minister finansów Serhij Marczenko nazwał je niedawno „produktem świata, który już nie istnieje”, a Kijów zastanawia się, co z nimi zrobić. Do końca 2027 r. ma prawo do ich przedterminowej spłaty, ale koszt takiego ruchu – w myśl zapisów umownych – to 2,6 mld dolarów.

Kilka miesięcy temu strona ukraińska podjęła próbę negocjacji, ale utknęły one w martwym punkcie: w kwietniu rozmowy w Waszyngtonie z prywatnymi wierzycielami zakończyły się fiaskiem, rzucając cień na przyszłość ukraińskich finansów. Zwłaszcza że już wkrótce, w czerwcu, wierzyciele będą upominać się o należne im w 2025 r. świadczenie w wysokości 0,5 proc. PKB, czyli ok. 100 mln dolarów.



→ **SPIS WIERZCIELI** | Z kolei gdy idzie o pożyczkodawców publicznych, główną rolę odgrywa Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Uruchomiony w 2023 r. program stabilizacyjny wart 15,6 mld dolarów uczynił z MFW koło ratunkowe i zarazem strażnika dostępu do przyszłych środków.

Jako uprzywilejowany wierzyciel Fundusz oczekuje spłaty w pierwszej kolejności, ale jego celem nie jest zysk, lecz stabilizacja. Już teraz przekazał Ukrainie znaczące transze, by utrzymać funkcjonowanie państwa. Dalsze jego wsparcie zależy jednak od przestrzegania dyscypliny fiskalnej i – co najważniejsze – od uzgodnienia restrukturyzacji długu z innymi wierzycielami.

Reszta księgi długów Ukrainy przypomina spis jej zachodnich sojuszników. Kanada, Japonia, Niemcy i Polska to tylko niektóre z krajów, którym jest winna łącznie ponad 6,7 mld dolarów – choć większość tych zobowiązań została tymczasowo zamrożona.

Kanada, Japonia, Niemcy, a także inne państwa grupy G7 od 2022 r. nie tylko odroczyły spłatę zadłużenia dwustronnego, lecz zasilili też ukraiński budżet bezpośrednimi grantami – na czele ze Stanami Zjednoczonymi, które w szczytowym momencie wojny przekazały ponad 22 mld dolarów.

COŚ SIĘ KOŃCZY | Jednak era czeków *in blanco* może się właśnie kończyć. Pod rządami Trumpa USA kładą nacisk na transakcyjny charakter wsparcia. Na mocy kontrowersyjnej umowy Kijów zgodził się właśnie przekazać prawa do eksploatacji zasobów mineralnych podmiotom powiązanym z USA. W praktyce Ukraina wystawiła część swego bogactwa naturalnego jako zastaw. Dla Kijowa jest to najwyraźniej konieczna cena za dalsze wsparcie.

Jest wreszcie Rosja – wierzyciel innego rodzaju. W 2013 r., jeszcze przed Majdanem, pożyczyła 3 mld dolarów (w formie euroobligacji podlegających prawu angielskiemu). Już wtedy była to polityczna bomba: przysługa dla prorosyjskiego prezydenta Janukowycza. Ukraina przestała spłacać tę pożyczkę na długo przed inwazją, a po lutym 2022 r. wszelkie roszczenia Moskwy stały się tematem tabu. Każde rozwiązanie, które jeszcze kilka lat temu mogłoby mieć sens w londyńskich sądach, zostało zepchnięte na margines przez geopolitykę. Rosja nie otrzyma ani

grosza i nikt na Zachodzie nie oczekuje, że będzie inaczej.

Podsumowując: obraz ukraińskiego długu przypomina bardziej pole bitwy niż bilans księgowy. To przestrzeń starcia sprzecznych interesów, skomplikowanych instrumentów i politycznych kalkulacji. Pytanie jak zawsze brzmi: kto to wszystko spłaci? I czy kraj, który wciąż toczy wojnę obronną, to udźwignie?

LEKCJE PRZESZŁOŚCI | Choć obecna sytuacja Ukrainy może wydać się bezprecedensowa, historia oferuje kilka intrygujących – i ostrzegawczych – analogii.

Ukraina nie jest pierwszym państwem, które może wyjść z sytuacji kryzysowej (wojny lub zmiany władzy) z długami, które nagle zaczynają wydawać się niesprawiedliwe albo niespłacalne. Ponad sto lat temu bolszewicki rząd odrzucił olbrzymie zobowiązania obalonego caratu: Lenin ogłosił, że „kapitałiści niech sami spłacają miliardy długów starego porządku”. Francuscy i brytyjscy inwestorzy, trzymający carskie obligacje, zobaczyli, jak ich wartość wyparowuje.

Ten radykalny krok – podręcznikowy przykład kraju odwracającego się plecami do swoich zagranicznych wierzycieli – sprawił, że państwo sowieckie na długo wykluczono z globalnych rynków kapitałowych (dopiero dekady później Kreml zgodził się na symboliczne ugody z niektórymi poszkodowanymi). Pokazuje on, że można zlekceważyć wierzycieli, ale płacąc cenę bycia pariasem międzynarodowych rynków kapitałowych.

DŁUG ODRĄŻAJĄCY | Historia zna też inne przykłady. To zwłaszcza doktryna długu odrzążającego (*odious debt*). Sformułowana przez rosyjsko-francuskiego prawnika Alexandra Sacka w 1927 r., zakłada ona, że jeśli despotyczny reżim zaciąga dług nie dla dobra kraju, lecz by ucisnąć ludność lub w celach wątpliwych moralnie, może być on uznany za „odrażający” i niewiążący dla nowego rządu.

Choć doktryna ta nigdy nie została wpisana do prawa międzynarodowego, ma precedensy – jak stanowisko USA po wojnie secesyjnej. W 1865 r. zwycięska Unia odmówiła przejęcia długu Skonfederowanych Stanów Ameryki, a nawet wpisała to do konstytucji: 14. poprawka stanowi, że ani USA, ani żaden ich stan „nie spłaca żadnego długu zaciągniętego

w celu wsparcia buntu lub rebelii”, i że „wszystkie takie długi będą uznane za nielegalne i nieważne”.

Innymi słowy: kto pożyczył Konfederacji na wojnę z Unią, ten przegrał. To XIX-wieczny przykład zakodowania zasady długu odrzążającego: zobowiązania zaciągnięte przeciw interesowi narodowemu (w rozumieniu Unii) zostały po prostu anulowane.

W CIENIU ANEKSJI | Jak te precedensy mają się do sytuacji Ukrainy? Jest ona wyjątkowa: chodzi tu o siłowe przyłączenie części terytorium przez obce państwo. Przy czym Putin nie uznaje jej wschodnich regionów za zagrabione, lecz „wyzwolone” (jako „zawsze rosyjskie”), względnie oderwane w wyniku rzekomych ruchów samostanowienia (w 2014 i 2022 r. Kreml inscenizował tam referenda). W tej logice Putin może argumentować, że te regiony same odrzuciły lojalność wobec Kijowa, a więc i odpowiedzialność za jego długi.

Społeczność międzynarodowa nie uznaje tych aneksji, ale realia są takie, że Kijów stracił nad nimi kontrolę – możliwe, że trwale. Zwykle gdy państwo traci część terytorium, dochodzi do negocjowanego podziału aktywów i zobowiązań – tak było po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991 r. czy secesji Sudanu Południowego w 2011 r. Gdy powstaje nowe państwo, często przejmuje ono część dawnego długu, proporcjonalnie do populacji czy udziału w PKB (np. Rosja wzięła na siebie długi Związku Radzieckiego w zamian za utrzymanie jego aktywów).

W przypadku Ukrainy nikt nie ma złudzeń, że Rosja przejmie część długu związaną z anektowanymi ziemiami – Kreml otwarcie odrzucił już taką możliwość.

LOGIKA PUTINA | Jest tu też inna kwestia: na co Ukraina pożyczyła te pieniądze? Zdecydowana większość nowych zobowiązań powstała dla obrony suwerenności i utrzymania państwa w czasie wojny – wydatki, które większość Ukraińców i ich sojusznicy uznają za uzasadnione.

Jednak rosyjska propaganda po 2014 r. przedstawiała ukraińską wojnę obronną w Donbasie jako agresję wobec Rosjan z Donbasu, a dziś przedstawia tę wojnę jako agresję wobec Rosji w ogóle. Kreml mógłby uznać więc część ukraińskiego długu, przypadającą na ziemię okupo-



ROMAN PILIPEY / AFP / EAST NEWS

Z perspektywy Ukrainy utrata terytorium – w tym kopalń, hut, portów – to argument za redukcją zadłużenia. Na zdjęciu: górnicy z jednej z ukraińskich kopalń w zachodniej części Donbasu, które nadal pracują mimo bliskości frontu. Październik 2024 r.

wane (jedna piąta kraju), za „odrażający” – twierdząc, że kredyty na wojnę były długami przeciw „ludowi Donbasu” i nie powinny ani podążać za ziemią, ani obciążać jej mieszkańców.

Taka retoryka może kształtować klimat przyszłych negocjacji pokojowych. I w takim scenariuszu Rosja mogłaby obstawać, by całość długu pozostała odpowiedzialnością Ukrainy.

CENA ZA MARIUPOL | Natomiast z perspektywy Ukrainy i jej zachodnich partnerów trwała utrata terytorium stanowi argument za redukcją zadłużenia. Ukraińska gospodarka straciła w końcu kopalnie węgla i innych surowców, huty (np. wielki zakład w Mariupolu), porty (Sewastopol, Mariupol, Biediańsk), ziemie uprawne. Długi zaciągnięte na rozwój tych zasobów lub utrzymanie ich populacji to dla Kijowa stracone inwestycje.

Wzmacnia to moralną argumentację, że wierzyciele powinni okazać wyrozumiałość. Albo że to Rosja, jako agresor i grabieżca, powinna ponieść odpowiedzialność finansową. Prezydent Zełenski wielokrotnie wzywał do wypłaty reparacji, a kilka zachodnich rządów rozważa prawne ścieżki przejścia lub przekierowania zamrożonych rosyjskich aktywów na rzecz Ukrainy. Gdyby udało się np. skierować dziesiątki miliardów dolarów z zablokowanych w międzynarodowym systemie finansowym rezerw Banku Centralnego Rosji do funduszu odbudowy, zdolność Ukrainy do spłaty długu byłaby lepsza.

Putin nazwie to kradzieżą, ale byłyby to po prostu sprawiedliwość w praktyce.

POTRZEBA UGODY | Kolejne pytanie brzmi: czy sama Ukraina mogłaby ogłosić, że część jej zadłużenia jest moralnie nieważna i odmówić jego spłaty? W ukraińskiej debacie są głosy, że przynajmniej rosyjski dług z 2013 r., zaciągnięty w warunkach korupcyjnych zależności, wpisuje się w tę kategorię. Rzeczywiście, Kijów już *de facto* odmówił tu jakichkolwiek spłat.

Albo co z długami wobec inwestorów prywatnych i sojusznicznych rządów, które wspierają Ukrainę i jej wojenne potrzeby? Uznanie ich za „odrażające” byłoby nadużyciem tej doktryny i prowadziłoby do utraty zaufania tych partnerów, którzy są kluczowi dla powojennej odbudowy.

Nasuwa się jeden wniosek: Ukraina potrzebuje porozumienia z wierzycielami. Rząd Zełenskiego wielokrotnie zresztą podkreślał, że chce zachować dobrą reputację wśród inwestorów; to także warunek, by w przyszłości przyciągnąć kapitał niezbędny do odbudowy. To zaś oznacza nie radykalne gesty, lecz negocjacje w dobrej wierze, tak aby we współpracy z wierzycielami ustalić uporządkowaną restrukturyzację długu.

CZAS SPŁATY | Wspomniany już rok 2023 jako termin spłaty obligacji daje Ukrainie chwilę oddechu, ale z jednym zastrzeżeniem: polityczny kredyt zaufania, który dotąd chronił Kijów przed twardszymi żą-

daniami wierzycieli, będzie raczej maleć. Kolejna runda restrukturyzacji może już nie być tak łagodna, jeśli powojenna Ukraina zacznie być postrzegana jako państwo wracające do wzrostu i stabilności.

W krótszej zaś perspektywie spór o wspomniane warranty może dać inwestorom przedsmak tego, czego mogą spodziewać się w przyszłości. Jeśli do czerwca nie zostanie osiągnięte porozumienie, Ukraina może zdecydować się na ogłoszenie niewypłacalności w odniesieniu do tych instrumentów.

Mogłoby to skutkować reakcją łańcuchową w odniesieniu do innych instrumentów dłużnych Ukrainy zawierających klauzule tzw. *cross-defaultu*. A potencjalnie otworzyłoby też drogę do pozwów – takie sprawy najpewniej trafiłyby do sądów w Londynie lub Nowym Jorku, przypominając dramatyczne spory o dług Argentyny (ogłaszała niewypłacalność w latach 2001, 2014 i 2020) czy Grecji (jej niewypłacalność przypadła na rok 2012).

Alternatywą mogłoby być tutaj porozumienie: zamiana tych instrumentów „z innej epoki” na bardziej tradycyjny dług lub kolejne odroczenie ich płatności. W każdym razie nad Ukrainą wisi dziś realna groźba, że nie spłaci zobowiązań wynikających z warrantów.

CIĄG DALSZY NASTĄPI | Nawet jeśli na froncie nastalby rozejm, walka o przyszłość Ukrainy będzie trwać przy stołach negocjacji – w tym tych dotyczących finansów. To, jak zakończy się kwestia jej długu, stanie się precedensem pokazującym, jak świat w XXI w. radzi sobie ze skutkami agresji.

Ukraińscy negocjatorzy powtarzają, że stabilna i wypłacalna Ukraina to nie tylko kwestia sprawiedliwości, ale też fundament trwałego pokoju i dobrobytu w regionie. Czy ta argumentacja – wsparta doświadczeniami historycznymi i logiką geopolityczną – przekona wierzycieli? Odpowiedź poznamy pewnie wkrótce. © M. KONRAD BOROWICZ

Autor jest prawnikiem, pracownikiem naukowym uniwersytetu w Tilburgu (Holandia); specjalizuje się w międzynarodowym prawie finansowym. Wcześniej pracował kilka lat w Londynie i Nowym Jorku, doradzając także przy restrukturyzacjach zadłużenia na rynkach wschodzących.



OPINIE

WIARA I NIEWIARA

Oto moje czterdzieści cztery tezy o dialogu
między wierzącymi a wierzącymi inaczej.

STEFAN CHWIN



ALAMY / BE&W

Hieronim Bosch „Sąd Ostateczny” (fragment), ok. 1482 r. Akademia Sztuk Pięknych w Wiedniu

1 | Nie ma ludzi niewierzących.

Są tylko ludzie wierzący i ludzie wierzący inaczej. Jedni wierzą, że Bóg jest, podczas gdy drudzy wierzą, że Go nie ma. I jedni, i drudzy są dokładnie w takiej samej sytuacji. Nie mają żadnych racjonalnych dowodów na absolutną słuszność swoich przekonań, co zupełnie nie przeszkadza im co jakiś czas popadać w ostry stan religijnego albo ateistycznego fanatyzmu.

2 | Fanatyzm ateistów potrafi być równie ostry jak fanatyzm wierzących, a czasem nawet go swoją ostrością przerasta.

3 | Jeśli ludzie religijni wierzą, że Bóg jest, a ateści wierzą, że Go nie ma, najuczciwsi

wydają się agnostycy, którzy w swojej ostrożnej skromności skłonni są wierzyć, że w sprawach wiary należy konsekwentnie trzymać się najświętszego słowa „nie wiem”.

4 | Są ludzie, którzy bronią swojej wiary, wyrzucając ateistę czy agnostyka za drzwi, by nie słyszeć wypowiedzianych przez niego słów. Zatykając uszy, łudzą się, że wiarę w sobie wzmacniają. Tymczasem prawdziwa wiara żadnego ateisty czy agnostyka się nie boi, bo właśnie w spotkaniu z myślą sceptyczną pięknie rozkwita.

5 | Kto posiada władzę i żarliwie wierzy w Jedyną Prawdę, potrafi dla szerzenia i obrony Prawdy zrobić wszystko, włącz-

nie z surowym ukaraniem tych, którzy w Jedyną Prawdę nie wierzą.

6 | Idea Prawdy zawiera w sobie szlachetną nadzieję prawdziwego poznania, ale zdarza się, że ocieka krwią.

7 | Są kraje, w których dyskusja w sprawach wiary przypomina sytuację człowieka, który stojąc na torach, prowadzi racjonalną dyskusję z nadjeżdżającym tramwajem.

8 | Boże, strzeż nas przed żarliwymi.

9 | Piękna jest wiara podobna do otwartej bramy, przez którą wchodzi i wychodzą niepokorni słudzy Słowa.



→ **10** | Nie ma większego egoisty niż człowiek, który może się wygodnie w ciemnym gnieździe wiary, napęniając swoje serce po brzegi szlachetną litością dla zbłąkanych ateistów i agnostyków, która go – jak czuje – dyskretnie wynosi ponad bezmyślne morze bezbożnej popolitości i duchowej łatwizny, stanowiącej nie-szczęsną przypadłość próżnych rzeczy świata tego.

11 | Prawdziwy religijny narcyz ze skromnym podziwem wsłuchuje się we własne dążenie do trudnej pokory i głębokiego uniżenia, w ciszy swego serca rozkoszując się samym brzmieniem pradawnego słowa „kenoza”.

12 | Dużo łatwiej być pokornym wobec Boga niż wobec bliźniego swego, który na przykład jest naszym podwładnym w pracy albo szefem, którego nie cierpimy.

13 | Są ludzie, którzy czują się osobiście obrażeni, gdy ktoś ich nakłania, by uwierzyli w rzeczy niepojęte dla rozumu.

14 | Nie ma większej pychy niż pycha katolicka, kiedy wierzący katolik z poczuciem wyższości mówi agnostykowi, że poprzez absolutną pewność swojej wiary sam dla siebie i dla innych ludzi jest żywym dowodem na istnienie Boga.

15 | Żaden człowiek nie wierzy w pojedynkę. Wierzymy zwykle dlatego, że wierzą nasi znajomi i krewni. Grupy wyznaniowe to zbiorowiska, w których ludzie wzajemnie podgrzewają się w sprawach wiary, która bez podgrzewania gaśnie w pojedynczym ludzkim sercu jak płomień świecy pozbawionyżywczego dopływu powietrza.

16 | Dla wielu ludzi najzupełniej wystarczającym dowodem na istnienie Boga jest to, że w Niego wierzą.

17 | Są katolicy, którym mocna wiara w Boga sprawia prawdziwą przyjemność. Bardzo ich irytują wszyscy, którzy swoim zupełnie niepotrzebnym, głupim gadaniem im tę przyjemność po prostu psują. Dotyczy to przede wszystkim religijnych pisarzy, którzy rozkosz estetyczną chętnie mieszają ze skrytą radością metafizycznego wzruszenia, nie bardzo wiedząc, czy bardziej kochają swój religijny wiersz, jaki

STEFAN CHWIN jest pisarzem i eseistą, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego. W swoich badaniach zajmował się głównie literaturą romantyzmu i tematyką pamięci historycznej. Laureat wielu nagród literackich, w tym Nagrody im. Andreea Gryphiusa oraz Nagrody Literackiej Gdynia.

właśnie piszą, czy Pana Boga, do którego w tym wierszu się skromnie zwracają.

18 | Zdarzają się ludzie, którzy pragną wierzyć, że Uśmiechnięty Jezus jest aktywnym do walki z pedofilią w Kościele oraz wziętym terapeutą, chce przede wszystkim, byśmy wszyscy mieli frajdę z życia na pięknym, kwiecistym świecie, nie zabijali niepotrzebnie niedźwiedzi, lubi majówki, upomina się o prawa pracownice, dba o społeczny klej, stoi po stronie dziewczyn, czuje sympatię dla zen, troszczy się jako świadomy spożywca o racjonalną dietę pudełkową oraz zupełnie już zapomniał o słowie tak nieprzyjemnym jak „Piekło”.

19 | Ludzie, którzy kochają Biblię, zwykle kochają wybrane z niej zdania, rozsądnie pomijając całą dużo mniej przyjemną resztę.

20 | Niewielu jest takich, którzy przyznają się do tego, że równie mocno jak wybrane zdania z Biblii kochają także biblijną opowieść o nieskończeniu dobrym, miłosiernym Bogu, który żywcem spalił mieszkańców dwóch miast na Bliskim Wschodzie za to tylko, że byli gejami.

21 | Ludzie, którzy najchętniej spaliliby żywcem swojego sąsiada, ale boją się zrobić to własnoręcznie, chętnie snują opowieści o kimś, kto sprawiedliwie zsyła na grzeszników deszcz ognisty, zmieniając ich w popiół.

22 | Są katolicy, którzy zupełnie nie chcą przyjąć do wiadomości, że to właśnie dobry, nieskończenie miłosierny Bóg osobiście stworzył coś tak przerażająco okrutnego jak Piekło. Bo przecież – jak mówi Biblia – Piekła nie stworzył żaden Diabeł. On tylko został tam zesłany w ramach akcji odwetowo-represyjnej, jaka nastąpiła po karygodnym buncie aniołów.

23 | Zdarzają się pisarze, którzy wierzą, że ludzkość zbierze się na Sądzie Ostatecznym, by sądzić Boga za morze cierpień, jakich zaznała przez tysiące lat na stworzonej przez Niego Ziemi. I że po sprawiedliwym procesie Pan zostanie skazany na drugie Ukrzyżowanie. Po czym miliardy obolałych ludzi, liżących swoje rany i oparzenia, zajmą całe Niebo, w którym jest mieszkań nieskończenie wiele. Powieść, tak przedstawiająca finał dziejów, z pewnością zostałaby przez wyznawców Nieskończenia Miłosiernego spalona na stosie razem z jej autorem.

24 | Czy Nieskończenie Miłosierny głęboko współczuje ludziom, którzy cierpią w Piekle bez żadnej nadziei na polepszenie swojego losu, skazani na wieczną udrękę, której nie będzie końca, czy raczej z zupełnym spokojem mówi: „Cóż, mają to, na co sami sobie zasłużyli!”, bo nieskończona męka potępionych w najmniejszym nawet stopniu nie zakłóca Mu spokojnej radości wiecznego królowania w Niebie?

25 | Czy w Niebie słychać straszliwe wyć potępionych, dolatujące z głębokości Piekła? Czy raczej są tam okna dźwiękoszczelne, dzięki którym ten nieprzyjemny, drażniący dźwięk nawet przez chwilę nie dolatuje do uszu mieszkańców niebiańskiej krainy, zażywających w pełnym pokoju sprawiedliwego wiecznego szczęścia?

26 | Czy z Nieba widać to, co dzieje się w Piekle? Czy więc matka, której dziecko trafiło do Piekła, przez całą wieczność będzie widzieć z Nieba jego straszliwe, pośmiertne cierpienia, które nie będą miały końca? Zresztą wystarczy, by przebywając w Niebie, tylko o tych cierpieniach cały czas wiedziała, a co się stanie z jej wiecznym szczęściem, którym powinna się cieszyć bez końca?

27 | Rozkosz nawracania zbłąkanych dusz bywa upajającą przyjemnością, której nigdy nie wyrzekną się prawdziwi misjonarze, gotowi na wielkie ofiary i poświęcenia, a nawet na niewyobrażalne okrucieństwa, byleby tylko jak najintensywniej i jak najdłużej doświadczać tej rozkoszy, która bywa silniejsza niż wszelkie dostępne ludziom seksualne ekstazy.

28 | Jeśli człowiek wierzący odnosi się do agnostyka z wysoła, dając mu do zrozumienia, że uważa go za zbłąkaną owcę, agnostyk ma równe prawo odnosić się do niego w sposób podobny.

29 | Trudno o uczucie przyjemniejsze niż święte oburzenie, które sprawiedliwym ogniem ogarnia człowieka wierzącego w stanowczej odpowiedzi na karygodne słowa ateisty.

30 | Człowiek wierzący uważa, że ma pełne prawo wyrażać w rozmowie z ateistą swoje religijne przekonania. Zwykle jednak do głowy mu nawet nie przyjdzie, że ateista ma równe prawo wyrażać w rozmowie z nim przekonania własne.

31 | Katolik uznaje za najzupełniej naturalne prawo do nawracania ateistów. Mało jednak prawdopodobne, by kiedykolwiek znalazł się taki, który uznałby za równe naturalne prawo ateistów do nawracania katolików na ateizm.

32 | Bywają matki tak żarliwe, że potrafią zamęczyć własne dzieci Panem Jezus-

sem, Matką Boską i modlitwą do świętej Teresy, bezwiednie przygotowując w ten sposób swoje pociechy do porzucenia Kościoła Świętego w wieku dojrzałym.

33 | Człowiek wierzący odbiera bezbożne słowa ateisty jako raniące. Rzadko jednak pomyśli o tym, że swoimi słowami nabożnymi może równie boleśnie ranić duszę ateisty.

34 | Są katolicy, którzy wierzą w apokatastazę, kompletnie zapominając, że Kościół Święty kategorycznie zabrania takiej wiary. Kiedy zapewniają, że w końcu wszyscy ludzie zostaną stopniowo zbawieni, tylko zajmie to dużo czasu, dobrze się czują w roli objawicieli prawdziwie dobrej nowiny, na którą – jak mniemają – czekają w głębi serca wszyscy.

35 | Fundamentem katolickiej pychy jest spokojna pewność wiedzącego, który z wyrozumiałym uśmiechem patrzy na agnostycznych profanów jak na nieszczęsnych głupców, którzy bezrozumnie nie krocą – tak jak on sam – jedynie słuszną, ciemną drogą do rzeczywistej Prawdy i Szczęścia.

36 | Niestety, nie jest prawdą twierdzenie, że zło dzieje się na świecie dlatego, że ludzie odwrócili się od Boga. Straszliwe wojny religijne, rzezie, stopy i prześladowania były dziełem milionów ludzi, którzy całym sercem żarliwie kochali Boga, gotowi poświęcić dla Jego chwały wszystko, łącznie z własnym i cudzym życiem.

37 | Nie tylko odwrócenie się od Boga, ale też żarliwe przywiązanie do Niego potrafi być źródłem niewyobrażalnych cierpień, jakie ludzie zadają ludziom.

38 | Złu sprzyjają chwile, gdy ludzie są albo za daleko, albo za blisko Boga.

39 | Od żarliwych serc świat niejednemu raz zajmował się żywym ogniem.

40 | Dużo ważniejszą przyczyną wojen niż ludzka niemoralność jest to, że dobry Bóg dość niesprawiedliwie obdarował narody naftą, węglem, złotem, uranem, diamentami i czarnoziemem. Gdyby wszystkie narody dostały od Niego tyle samo metali ziem rzadkich, wojen byłoby na świecie znacznie mniej. →

Niewiara i wiara

PIOTR SIKORA

Oto moich osiem intuicji o spotkaniu i o rozejściu się wiary i niewiary.

I | Gdy mówimy w Polsce XXI wieku o spotkaniu (lub o sporze) wiary i niewiary, może to oznaczać bardzo różne rzeczy. Może chodzić o sferę polityczną, może – o spór dotyczący instytucji religijnych (takich jak katolickie instytucje kościelne), może dotyczyć kwestii moralnych. Sądzę jednak, że wszystkie powyższe poziomy czerpią swoją siłę/energię i emocjonalną temperaturę z poziomu najbardziej podstawowego – tj. stąd, że kwestia wiary i niewiary jest w gruncie rzeczy kwestią ostatecznego sensu i kierunku ludzkiego życia.

II | Wiara najczęściej przeżywana jest we wspólnocie, a wspólnota wiary dziedziczą i tworzą określone tradycje. W Polsce dominującą wspólnotą (i tradycją) jest Kościół katolicki. Dlatego spór wiary i niewiary jest u nas nadal najczęściej sporem o wia-

rygodność katolickiej wspólnoty i katolickich instytucji – z całą ich historią oraz współczesnymi jasnymi i ciemnymi stronami. Warto jednak rozwijać świadomość, że pytanie o wiarę i niewiarę może przybierać znacznie bardziej zróżnicowane formy – może być pytaniem o wiarygodność tradycji i wspólnot innych niż katolicka: innych nurtów chrześcijaństwa, a także innych religii, nieraz bardzo różnych od katolickiego chrześcijaństwa.

III | Spór wiary i niewiary jest jednak w Polsce nadal często sporem o możliwość uznania prawdziwości katolickiej doktryny, ale chyba jeszcze częściej dotyczy słuszności zasad moralnych, prezentowanych przez kościelne instytucje czy duszpasterzy jako obowiązujące.

IV | Niemal wszystkie tradycje religijne powołują się, jako na swoje źródło, na boskie objawienie. Niektóre wspólnoty, w tym Kościół katolicki, głoszą dodatkowo, że posiadają instytucje powołane przez Boga do autorytatywnej interpretacji owego boskiego objawienia. Roszczenie to można jednak rozumieć co najmniej na dwa sposoby.

V | Można uznać, że na skutek boskiego objawienia wspólnota, która je otrzymała, posiada szczególny, przekazany wyrażnie i bezpośrednio przez Boga wgląd w naturę rzeczywistości oraz w to, jak powinno wyglądać ludzkie życie. Wiara w tej perspektywie jest po prostu przyjęciem, posłuszeństwem →

→ **41** | W rozmowie między człowiekiem wierzącym a agnostykiem powinny obowiązywać równe prawa. Wierzący ma prawo wygłaszać swoje nabożne przemowy, tak jak agnostyk ma prawo wygłaszać swoje przemowy sceptyczne. I na dodatek obaj nie powinni się na siebie obrażać, lecz raczej cieszyć się różnicą zdań, która zawsze przewietrza duszną atmosferę każdego fanatyzmu.

42 | Aby zapobiec szerzeniu się fanatyzmu religijnego, który stanowi realne niebezpieczeństwo dla duszy i ciała oraz zagrożenie dla spokoju społecznego, warto sporom na tematy religijne nadać dyskretny ton łagodnych przekomarzanek, w których kwitnie ironiczny żart, obejmujący także rzeczy święte, bo tylko wtedy da się uniknąć przekłętego ducha krwawych religijnych waśni. Gdyby w XVII wieku ludzie tak traktowali własne i cudze przekonania, potworności wojny trzydziestoletniej byłyby dużo mniejsze. Niestety, wojny religijne miały zawsze swoich entuzjastów, dla których własnoręczne zabicie choćby jednego wroga religii było najmocniej-

szym dowodem na to, że Bóg im sprzyja, a skoro im sprzyja, to na pewno istnieje, bo przecież gdyby nie istniał, to by nie sprzyjał.

43 | Co jakiś czas ludzkość dla dobra ludzkości powinna nawet najświętsze dogmaty przewietrzać pogodnym światłem uzdrawiającej ironii. Śmiertelna powaga dogmatów bywała zbyt często wzniosłym alibi dla szlachetnych zbrodni, które miały zbawić świat, a przynosiły ze sobą lawinę nieszczęść, krzywd i ludzkiej rozpacz.

STEFAN CHWIN:

Są ludzie, którzy czują się
osobiście obrażeni, gdy ktoś
ich nakłania, by uwierzyli
w rzeczy niepojęte
dla rozumu.

→ boskiemu głosowi i uznaniem religijnej doktryny, która go wyraża, za prawdziwą. Tak rozumiana wiara zawiera roszczenie do posiadania prawdy, obce są jej poszukiwania, religijne instytucje zaś, odpowiedzialne za przechowywanie i przekazywanie owego boskiego „depozytu” objawienia, nie mogą się mylić, co najwyżej pogłębiać swoje zrozumienie tego, co zostało im dane przez Boga.

VI | Gdy boskie objawienie i wiara są rozumiane w powyższy sposób, niewiara jest po prostu odrzuceniem powyższego roszczenia wspólnot i tradycji religijnych. Odrzucenie to wiąże się często z rozpoznaniem rozmaitych niespójności i kulturowych uwarunkowań przekazu, który rości sobie pretensje do boskiego, niewarunkowanego pochodzenia i charakteru. Jeszcze częściej taka niewiara wiąże się z rozpoznaniem, że instytucje, które twierdzą o sobie, iż posiadają i przekazują to boskie objawienie, mają swoje ciemne strony, kształt zaś głoszonej przez nie doktryny jest w dużej mierze wynikiem czynników społecznych i politycznych.

VII | Objawienie i wiarę można jednak rozumieć inaczej, jako ludzkie poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o ostateczny sens życia, poszukiwanie, w którym (to już wyraz wiary)

44 | Wszystkie powyższe zalecenia nie mają żadnego znaczenia praktycznego w realnej rzeczywistości międzyludzkiej, albowiem ludzkość nie jest w stanie żyć na Ziemi bez jakiegokolwiek fanatyzmu religijnego czy ideologicznego. Wszystkie Kościoły świata nie cierpią ironii, w której gustuje nie tylko dobra literatura, lecz którą także kultywują wysoko rozwinięte sztuki piękne. Nie cierpią jej również wszystkie instytucje Narodu i Państwa, zwykle śmiertelną powagą oficjalnych obrzędów przykrywając swoje większe i mniejsze grzechy. Większość ludzi reaguje na żarty z religii wolą zabicia żartownisia, wsadzenia go do więzienia czy choćby radykalnego zamknięcia mu ust. Podobnie z Narodem i Państwem. Tylko mniejszość jest zdolna żyć bez idei Boga, Narodu i Państwa, która każdą przemoc bez specjalnego trudu potrafi przedstawić jako szlachetną, najgłębiej słuszną misję uzdrawiania świata. Jest to jeden z dowodów na to, że świat znajduje się w rękach Diabła, który zawsze lubił dostarczać ludziom wzniosłych argumentów dla prześladowania, dręczenia, poniżania i zabijania innych ludzi. © STEFAN CHWIN

PIOTR SIKORA:

Niektóre wspólnoty głoszą,
że mają instytucje powołane
przez Boga do autorytatywnej
interpretacji owego boskiego
objawienia.

jest obecna i przejawia się boska, ostateczna, tajemnicza rzeczywistość. W tej perspektywie tradycje religijne, święte teksty, rytuały i praktyki są wyrazem jednocześnie ludzkiego poszukiwania i (jeśli przyjąć perspektywę osoby wierzącej) boskiego objawienia. Wszelkie elementy religijnych tradycji dziedziczą więc ludzkie – indywidualne i kulturowe – ograniczenia oraz mogą wyrażać doświadczenie spotkania z rzeczywistością ostateczną i prowadzić do niej

(jeśli ona istnieje). W tej perspektywie spór wiary i niewiary może stracić swoją ostrość, może być postrzegany raczej jako rozmowa ludzi wspólnie poszukujących (nawet jeśli w wielu kwestiach ci ludzie się nie zgadzają).

VIII | Być może jednak podstawowy spór (a może raczej rozejście się) wiary i niewiary ma dziś inną naturę: jest rozejściem się ludzi, dla których „kwestie ostateczne” są ważne, a poszukiwanie odpowiedzi na ostateczne pytania określa kształt ich życia – z tymi, którzy tracą tę ostateczną perspektywę, koncentrując się niemal wyłącznie na sprawach przemijających. I być może rozejście się tych grup ludzi wcale nie pokrywa się z oficjalną przynależnością (lub nieprzynależnością) do istniejących wspólnot religijnych. © PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz: Obrazy kojące



TROCHĘ SPOKOJU – GDZIE GO szukać? Kto czyta moją rubrykę regularnie, wie, jakie mam sposoby. Zacząć dzień od lektury wiersza. Leżąc, przyglądać się śpiącej kotce lub kotu, a najlepiej kotom

przytulonym do siebie jak idealne połówki jednego stworzenia. Zamknąć oczy i przez chwilę być kimś innym, w innym miejscu. Zadzwoić do kogoś, kto mnie potrzebuje. Znaleźć dobry obraz – i stać przed nim, nie spiesząc się, pozwolić mu przemówić.

W Muzeum Narodowym w Krakowie trwa właśnie wystawa obrazów Janusza Tarabuły, zatytułowana „Pamięć”. Janusz Tarabuła jest malarzem wielkim. On sam pewnie by się zachnął, słysząc to słowo – ale trzeba je powiedzieć. Chociaż samo słowo wydaje się nie pasować do jego malarstwa. Jest to bowiem malarstwo z założenia małe – nie tylko ze względu na skromne środki, jakimi się posługuje, ale również na aurę, jaką stwarza i jaka je otacza. Niemniej jeśli wziąć pod uwagę jego cele i rezultaty, jest to malarstwo wielkie.

Najpierw o aurze. Artysta trafnie kiedyś zauważył: „Moje obrazy nie przeszkadzają nikomu”. Tarabuła był dynamiczny i dramatyczny, ale nigdy nie był agresywny. Jego obrazy, nawet te chropawe, „materialne”, nie zaczepiały, tylko zapraszały. Nie tyle wychodziły ku oglądającym, co otwierały się przed nimi i zachęcały do wejścia w głąb, kontemplacji. Ktoś, kto przychodzi do galerii po „wrażenia”, może łatwo takie obrazy przeoczyć. A jednocześnie, jeśli zatrzyma się przy nich na odpowiednio długą chwilę, ofiarują mu coś, czego bardzo potrzebuje. Janek Michalski, który oprowadzał naszą grupkę po wystawie, zauważył, że przy obrazach Tarabuły dobrze się czujemy. „Sądzę, że to kwestia proporcji”, dodał, „intuicyjnego przetransponowania zasad złotego podziału”. Pamiętam, że moje wrażenia z pierwszego spotkania z twórczością Tarabuły były podobne. Użyłbym słowa „ukojenie”. Nawet w świecie zdegradowanym, naznaczonym katastrofą – a nie da się ukryć, że taki jest świat tego malarstwa – możliwe jest doświadczenie ukojenia, pojednania.

A cele? „Rzadko się zdarza w sztuce współczesnej, żeby artysta odnosił się do całości – do całego uni-

wersum, całego kosmosu”, powiedział Janek. Rzeczywiście, w zmieniającym się, ewoluującym malarstwie Tarabuły to odniesienie pozostaje niezmiennie. Poszukiwania formalne nie są u niego oddzielone od duchowych – i na odwrót. W jego obrazach – powiedzmy, od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku – wszystko zdaje się zmierzać do syntezy, i to syntezy o charakterze wyrażnie religijnym. W jego przypadku malarstwo materii nie zatrzymywało się na powierzchni; zaakcentowana mocniej niż gdzie indziej materialność obrazów odsyłała poza siebie, domagała się jakiegoś dopełnienia. „Cała twórczość Janusza Tarabuły to rozmowa z Bogiem”, mówił Janek. Jest to rozmowa o stworzeniu – o jego pięknie, cierpieniu, także zbawieniu. O niewystarczalności środków, jakie mamy do dyspozycji, by o tym opowiedzieć, a jednocześnie o wielkim wysiłku, by przezwyciężyć to, co nas ogranicza. Stąd na wystawie obraz „Hommage à El Greco” – hołd dla jednego z mistrzów, który starał się przesunąć granice tego, co możliwe.

Wybór dzieł, dokonany przez kuratorkę Annę Budzałek, jest bardzo dobry. Może trochę za mało jest prac z lat 80. i 90., kiedy to artysta niespodziewanie sięgnął po żywsze, intensywniejsze kolory. Mój ulubiony obraz z tego czasu to „Epitafium dla zmarłych piesków”; szkoda, że go nie ma. To tam pojawia się ów intrygujący pomarańczowy prześwit, który powróci w zamykającym wystawę surowym i przejmującym „Ukrzyżowaniu” z 2023 r. Ciekawie prezentują się za to wczesne, mocno surrealistyczne gwasze z lat pięćdziesiątych. Podobno kiedy się odnalazły, artysta chciał je spalić, uważał, że nie są interesujące. Tymczasem, starannie opalone, ujawniają swoje piękno, swój metafizyczny potencjał. Pisałem o nich przed laty, że to „metafizyka dla uważnych”. No, tak się pisze, takie efektowne określenia czasem przyjdą nam do głowy. Bardziej dumny jestem z tego, że ich aura skojarzyła mi się z wierszem Andrzeja Bursy: „Wchodzę bramą bez muru / Bramą co nie zamyka tylko otwiera...”. Cytat ten pasuje do całej twórczości Tarabuły.

Zachęcam, żeby pójść na tę wystawę – potrwa do sierpnia. A jak już będziecie w środku, broń Boże się nie śpieszcie. Pozwólcie obrazom działać. Posłuchajcie, co mają do powiedzenia. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.

Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”. Debiutował na łamach „Tygodnika” w 1994 roku.

CIARKI NA PLECACH

KARD. GRZEGORZ RYŚ, METROPOLITA ŁÓDZKI:

Dwa lata pracy kard. Prevosta w kurii to czas wystarczający, by ją poznać, ale za krótki, by dać się jej zepsuć

ARTUR SPORNIAK: Jaki to będzie pontyfikat?

KARD. GRZEGORZ RYŚ: Trudno powiedzieć, bo pontyfikat nie tylko będzie wyznaczany tym, kim jest obecny papież i jakie ma przekonania, ale także tym, co się wydarzy. Leon XIV na pewno podziela przekonanie Franciszka, że Kościół nie jest dla Kościoła, tylko dla świata. W związku z tym to, co się dzieje w świecie, będzie miało wpływ na słowa i czyny papieża. Przemówień nie było na razie za wiele, ale te, które usłyszeliśmy, pokazują, że papież reaguje mocno na kwestie wojny i pokoju. Reaguje natychmiastowo, bo mówił nie tylko o Ukrainie czy o Strefie Gazy, ale też o wojnie między Indiami a Pakistanem czy o konfliktach w Afryce. Leon XIV jest człowiekiem ogromnie wrażliwym na sprawy społeczne – myślę, że to był jeden z powodów, dla którego kardynałowie na niego głosowali. Ma za sobą 20 lat posługi w Ameryce Łacińskiej – w Peru, na dużych obszarach biedy, gdzie do ludzi nie da się dotrzeć inaczej, tylko konno.

Jednym z atutów, które przekonały kardynałów, było doświadczenie misyjne kard. Prevosta. A inne?

Kościół latynoski jest, po pierwsze, Kościołem mocno ewangelizacyjnym, a po drugie – bardzo uwrażliwionym na sprawy społeczne, biedę czy migracje.

To są zaś priorytety ewangeliczne Kościoła w ogóle, a Franciszka w szczególności. Zatem nie do odstąpienia.

Nowy papież w przemówieniu podczas pierwszego spotkania z kardynałami aż kilkakrotnie odwoływał się do programowej adhortacji Franciszka „Evangelii gaudium”.

To znak, że Leon XIV będzie kroczył po śladach Franciszka?

Na pewno można się spodziewać kontynuacji tego kursu, ale na własny dla nowego papieża sposób. Po Franciszku pozostały rzeczy, które już są trwałym dziedzictwem w Kościele. Jego styl wypełniania posługi Piotra był tak czytelny, że porzucenie go jest rzeczą niemożliwą. Nie podejmując go, następca narażałby się na niezrozumienie.

Czy doświadczenie Prevosta w pracy w kurii rzymskiej odegrało także rolę?

Na szczęście ono nie było długie. Jeszcze jako biskup w Peru został członkiem kilku dykasterii, ale – co naturalne – nie bywał w Rzymie często. Jego praca w kurii jako prefekta Dykasterii Biskupów trwała dwa lata. To jest tyle, by nabrać doświadczenia kurialnego (przypomnę, że to były akurat lata wdrażania przez Franciszka reformy kurii), ale nie na tyle długo, by zapomnieć doświadczenia pa-

storalnego z różnych miejsc, w których był. Złośliwi powiedzieliby, że wystarczająco dużo, by poznać kurie, ale za mało, żeby dać się jej zepsuć.

Jest Ksiądz Kardynał członkiem Dykasterii Biskupów. Jakim szefem był kard. Robert Prevost?

Jest człowiekiem bardzo solidnym i pracowitym. Nie ma w sobie takiej spontaniczności, jaką miał Franciszek. Działa z namysłem. Akurat procedury w tej dykasterii są tak ułożone, że prefekt jest tym, który zawsze się wypowiada ostatni. Więc one pracują na to, żeby był kimś, kto przede wszystkim słucha. Tak ja go odbieram – jako człowieka, który jest bardzo słuchający, przy jasno wyklarowanych własnych poglądach. On ma swoje przekonania, których nie boi się wypowiedzieć na głos, kiedy trzeba. Ale uważnie słucha każdego, nawet jeśli są to poglądy jemu przeciwne.

Na przykład?

Z kard. Prevostem siedziałem przy stole na Synodzie o synodalności. Gdy pojawiały się tematy dyskusyjne, wypowiadał się dość jasno.

Jakie to były tematy?

Powiem akurat o takim, o którym media nie piszą, bo ich to nie intere-

suje, a dla Kościoła jest bardzo ważny – jakie kompetencje powinny mieć konferencje episkopatów i czy powinny je mieć także w sprawach doktrynalnych. Prevost był temu przeciwny, zgodnie zresztą z tym, co mówi teologia. A nie było to jedyne zdanie, które padało w auli synodalnej.

Kard. Prevost na konklawe podobno uzyskał ponad sto głosów, czyli dużo więcej, niż potrzebował.

Czy to prawda?

Nic na ten temat nie mogę powiedzieć.

Ani zaprzeczyć, ani potwierdzić?

Nie. Formuła jest tu bardzo czytelna: nic na ten temat nie mogę powiedzieć. Musiał dostać dwie trzecie głosów – tyle na ten temat mówi konstytucja o wakacie w Stolicy Piotrowej „Universi dominici gregis”.

Czyli na 133 elektorów co najmniej 89 głosów. Tę liczbę uzyskał szybko, bo w czwartym głosowaniu...

To wszyscy wiedzą. Wybór był szybki – to jest moim zdaniem miara działania Ducha Świętego na konklawe.

Zastanawia mnie, co zdecydowało o tej szybkości – wspomniane zalety Prevosta?

O szybkości zdecydowała zgodność elektorów.

Ale elektorzy musieli dyskutować o jego zaletach i wadach.

Nie. Wspomniana konstytucja Jana Pawła II, nieznacznie poprawiana przez Benedykta XVI, mówi wyraźnie – o konklawe można mówić tylko w jednej sytuacji: kiedy papież na to pozwoli. I tylko on.

Robert Prevost posiadał dość rzadką, uniwersalną znajomość Kościoła – od samego dołu, czyli peruwiańskich faweli, i od samej góry, czyli kurii rzymskiej.

Ma aż cztery doświadczenia Kościoła: zna rzeczywistość amerykańską, latynoską, zakonną, jako augustinianin, i kurii rzymskiej. To są różnorodne doświadczenia, z całą pewnością pomocne komuś, kto ma być pasterzem całego Kościoła. →

*Papież Leon XIV.
Watykan, 11 maja 2025 r.*



→ **To był zapewne jego silny atut.**

Tak, ale po pierwsze – trzeba by pytać o to każdego elektora, a po drugie, i tak nikt by nic nie powiedział.

Przed konklawe SNAP

– amerykańska organizacja wspierająca ofiary pedofilii w Kościele – wskazała kilka nazwisk kardynałów, którym można zarzucić niezbyt skuteczne reagowanie na przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele. Wśród nich pojawiło się nazwisko Prevosta. To nie przeszkadzało elektorom?

To było tysiąc razy badane i tysiąc razy orzeczone, że prowadził wszystkie postępowania poprawnie. Były orzeczenia sądów – cywilnych i kościelnych. To odgrzewanie starego kotleta tylko dlatego, że ktoś chce popsuć radość z jego wyboru.

Rozumiem, że w taki sposób zostało to wyjaśnione kardynałom.

Przed wyborem nikt na ten temat nic nie mówił. Dopiero po wyborach kard. Reinhard Marx o tym wspominał.

SNAP swoje uwagi ogłosił przed konklawe.

Nic na ten temat nie wiem. Natomiast znam opinię kardynałów amerykańskich, którzy mówili, że zarzuty nie są poważne. Poza tym Prevost to człowiek, którego Franciszek, znający Kościół łaciński jak mało kto, zaprosił dwa lata temu bez żadnego wahania, by poprowadził najważniejszą dykasterię w kurii rzymskiej.

Na jakie tematy rozmawiali kardynałowie na kongregacjach generalnych przed konklawe?

Prekonklawe jest po to, by najpierw przyszły papież usłyszał, jaki jest Kościół powszechny, a dopiero w dalszej kolejności, żeby się kardynałowie nawzajem poznali. Nawet tak szerokie doświadczenie, jakie ma Prevost, nie jest pełne, bo np. nie ma doświadczenia, jak wyglądają Kościoły azjatycki czy afrykański, które dzisiaj są bardzo ważne.

Tematy, o których dyskutowano, nie są żadną tajemnicą – ewangelizacja, sprawy społeczne, trzecia wojna światowa w kawałkach, jak o dzisiejszych konfliktach mówił papież Franciszek. O tym ostatnim temacie bardzo mocno mówili np. kardynałowie azjatyccy, ale jednocześnie mó-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Mocno przeżyłem moment, zaraz po wyborze, gdy **kardynał diakon przeczytał papieżowi prosto w twarz** fragment ewangelii – słowa, które Jezus powiedział do Piotra.

wili o wielkiej potrzebie dialogu, także dialogu międzyreligijnego. To jest bardzo piękne, że biskupi Kościoła mniejszościowego, który raz po raz doświadcza przesładowań, mówią o potrzebie dialogu. Superważnym tematem są także powołania do kapłaństwa i życia konsekrowanego.

Skąd u nowego papieża wrażliwość na tematykę związaną ze sztuczną inteligencją?

On patrzy na AI przez pryzmat problemów społecznych, jakie ta nowa technologia może stwarzać. Na przykład bezrobocie. Spodziewa się ich przez analogię do dramatów społecznych, jakie pod koniec XIX wieku przyniosła rewolucja przemysłowa. Papież zakłada, że sztuczna inteligencja zmieni w znaczny sposób rzeczywistość społeczną. I że najbardziej ucierpią na tym znowu najsłabsi i najubożsi.

Zresztą moralnych niebezpieczeństw, które wynikają z rozwoju AI, jest wiele: pierwsze dotyczy np. odpowiedzialności. Za chwilę nie będziemy wiedzieć, kto odpowiada za konkretne informacje czy czyny, bo przy wykorzystaniu AI odpowiedzialność staje się coraz bardziej rozmyta.

O czym rozmawialiście po publicznym wystąpieniu papieża

do kardynałów? Leon XIV ujawnił, że kardynałowie na kongregacjach przed konklawe prosili o takie spotkanie z papieżem.

Kardynałowie prosili, by tematy, o których mówili na kongregacjach, przepracować w formule doświadczenia synodalnego. Czyli żeby nie tylko był czas na wypowiedzi kardynałów, ale także na ich analizę – najpierw w cichej, własnej modlitwie, potem w małych grupach, w ramach tego, co na synodzie nazwaliśmy rozmową w Duchu Świętym.

I to pierwsze spotkanie papież zrobił właśnie w tym kluczu. Najpierw z prekonklawe wypunktował cztery kwestie, które uznał za ważne. Potem poprosił, abyśmy nad nimi pomyśleli przez 5 minut w ciszy. Potem poprosił, żeby poprowadzić rozmowę w wąskim gronie, po trzech, czterech, tak jak siedzieliśmy. A dopiero potem poprosił o wypowiedzi plenarne. Było to doświadczenie, które kard. Timothy Radcliffe pięknie nazwał postawieniem rozmowy w środku rozważania w Kościele.

Jakie to były tematy?

Współpraca papieża z kolegium kardynałów i kolegium biskupów. Jakie mogłyby mieć formy. To ważne, bo nie chodzi tylko o to, by papieża wybrać, ale by potem z nim być, iść za nim i z nim współpracować. Odpowiedzialność kardynałów nie sprowadza się tylko do wyboru papieża.

Drugim tematem były powołania do kapłaństwa i życia konsekrowanego. Trzecim – bardzo ważnym – była formacja stała biskupów. Biskup nie jest tylko tym, kto powinien innych formować, powinien także zadbać o ciągłą własną formację. Leon XIV mówił, że formacja biskupów nie powinna być organizowana odgórnie przez Rzym, tylko raczej lokalnie – na poziomie konferencji episkopatów. Papież przy tym temacie zwrócił uwagę na samotność biskupów.

A czwarty?

Sposoby nominacji biskupów. Ale myślę, że nie wolno mówić, że to będą wiodące tematy tego pontyfikatu. Po prostu papież wypunktował te kwestie z prekonklawe, które jakoś przebiły się przez inne. I chciał posłuchać opinii kardynałów na ich temat.

Czy padły konkretne propozycje co do zmiany trybu biskupich nominacji?

Nie. Natomiast padły propozycje co do współpracy z kolegium kardynalskim. Chodzi o szersze konsultacje. Postulat oczywisty, choć w praktyce trudny do realizacji, bo niektórzy kardynałowie do Rzymu jadą kilka dni. Poza tym w takim przypadku jak mój trudno jest zostawić swój Kościół na dłużej – z Rzymu nie da się kierować diecezją.

Czy utworzona przez Franciszka Rada Kardynałów zostanie?

Trzeba pytać papieża. Na pewno po stronie kolegium kardynałów jest oczekiwanie częstszego kontaktu z papieżem. Nasze spotkanie trwało zaledwie dwie godziny i to była bardzo wstępna rozmowa – w świecie to się nazywa „burza mózgów”. Więc nie należy się spodziewać od razu twardych konkretów. Nie wiadomo, co papież z tym zechce zrobić.

Co Księdzu Kardynałowi zostało po tym konklawe?

Po pierwsze głębokie przekonanie o działaniu Ducha Świętego. Fakt, że 133 ludzi, którzy się w dużej mierze nie znają, pochodzą z różnych kultur, mają bardzo różnorodne doświadczenie Kościoła i różną wrażliwość, potrafi w ciągu półtora dnia wybrać człowieka, który będzie przewodził całemu Kościołowi – to jest doświadczenie zupełnie niesłychane. Konklawe jest w istocie ciągłą liturgią.

Po drugie, mocno przeżyłem moment, gdy papież już zaakceptował wybór, przyjął imię, wrócił do Kaplicy Sykstyńskiej po zmianie stroju. Wtedy stanął przed nim najstarszy z kardynałów diakonów i powiedział: „Skoro Pan Bóg cię wybrał na Piotra, to posłuchaj słowa, które jest do ciebie skierowane”. I przeczytał tekst Ewangelii Mateusza z 16. rozdziału, jak Jezus mówi do Szymona: „Ty jesteś Piotr i na tobie zbuduję mój Kościół”. To jest niesamowite, bo kardynał diakon czytał to prosto w twarz nowemu Piotrowi. W takich chwilach człowiekowi ciarki przechodzą po ciele.

©© Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK



ABACA PRESS / FORUM

Pierwsza msza papieża Leona XIV dla kardynałów, Kaplica Sykstyńska, 9 maja 2025 r.

Bóg, chaos i pokój

PIOTR SIKORA

Wobec nowego papieża mam właściwie dwa – ściśle powiązane – oczekiwania: że pozwoli, by Kościół stawał się bardziej synodalny, i że będzie wspierał chrześcijańskie nurty kontemplacyjne.

JEŚLI ZASTANOWIĆ SIĘ, CO BYŁO NAJWAŻNIEJSZYM dziełem pontyfikatu papieża Franciszka, to odpowiedź wydaje się oczywista: rozpoczęcie procesu kształtowania Kościoła w duchu synodalnym. I nie chodzi tu tylko (ani przede wszystkim) o to, że zgodnie z zamierzeniem poprzedniego papieża proces synodalny miał trwać kilka lat i obejmować nie tylko dwa zgromadzenia plenarne w Rzymie, ale także wieloetapowe intensywne prace na każdym „poziomie” Kościoła – w lokalnych wspólnotach podstawowych, w diecezjach, krajowych konferencjach episkopatów i zgromadzeniach kontynentalnych.

Jezusowa wizja wspólnoty

Najważniejszy jest fakt, że synodalność – która ma polegać na pełnym włączeniu każdej osoby wierzącej we współodpowiedzialność za kształt Kościoła – jest próbą powrotu do ewangelicznej idei wspólnoty uczniów Chrystusa, wyrażo-

nej słowami Jezusa z Ewangelii Mateusza: „wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chcecie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus” (Mt 23, 8-10).

We wspólnocie, jakiej szkic kreśli w ewangelii Jezus, nie istnieje piramidalna struktura, w której niektórzy posiadaliby głos nauczający, inni zaś (większość) byłiby tylko odbiorcami nauczania. Co więcej – we wspólnocie takiej nie istnieje piramidalna struktura władzy. To drugie stwierdzenie może być dla nas dziś mniej oczywiste, ale było ono jasne dla pierwszych czytelników ewangelii, żyjących w społeczeństwie imperium rzymskiego. W tamtej strukturze społecznej ojciec rodziny czy też rodu (*pater familias*) posiadał niemal absolutną władzę nad wszystkimi członkami →

→ swojego „domu”. Pierwsi chrześcijanie gromadzili się właśnie w takich domach – a zatem Jezusowe słowa, by nikogo na ziemi nie nazywać ojcem, mają i takie znaczenie, że wspólnoty Kościoła nie powinny odtwarzać ówczesnej piramidalnej struktury społecznej z jakąś osobą pełniącą rolę ojca, a więc posiadającą władzę nad innymi członkami wspólnoty.

Gra wielu sił

Większość Kościołów chrześcijańskich (m.in. Kościół katolicki) przez wieki odeszło daleko od Jezusowej wizji wspólnoty równych siostr i braci, którzy wspólnie słuchają głosu jedynego nauczyciela – Chrystusa, przemawiającego wewnątrz serc i umysłów wszystkich, i którzy są wspólnie posłuszni jednemu Ojcu – w niebie. Funkcjonując w hierarchicznych strukturach społecznych i ulegając zewnętrznym wpływom kulturowym i politycznym, Kościół wykształcił piramidalną strukturę, w której niektórzy członkowie (biskupi) zgromadzili wyjątkową władzę nauczania i rządzenia – choć „od początku tak nie było”.

Rozpoczęcie przez Franciszka procesu synodalnego jest więc próbą powrotu do Jezusowej idei wspólnoty uczennic i uczniów. Nie jest to proces łatwy, nie tylko ze względów organizacyjnych – wieki funkcjonowania w piramidalnych, hierarchicznych strukturach odcisnęły piętno także na mentalności katolickich i katolików. Niesie to wiele trudności, co można zobaczyć na kilku istotnych przykładach.

Jednym z elementów synodalności, bardzo bliskim słowom Jezusa zapisanym w Ewangelii Mateusza, jest to, że każda osoba wierząca może szczerze wypowiedzieć swoje rozumienie wiary i pragnienia dotyczące funkcjonowania kościelnej wspólnoty oraz zostać wysłuchana (tj. jej głos powinien zostać usłyszany i wzięty pod uwagę). Ten element synodalności niesie ze sobą jednak wiele napięć wewnątrz wspólnoty. Jeśli sposoby myślenia różniące się od oficjalnej doktrynalnej wykładni są tłumione – a było tak przez długi czas przed pontyfikatem Franciszka – to stworzenie możliwości i swobodnego wypowiedzienia może ujawnić istniejące, choć niewidoczne różnice zdań. Tak właśnie się stało w Kościele katolickim podczas procesu synodalnego. Dawno nie żyliśmy w Kościele, w którym jedni swobodnie po-

stulują konieczność udzielania święceń kobietom i uznania wartości związków homoseksualnych, inni zaś publicznie oskarżają tych pierwszych o herezję (czasami nawet sugerując, że o herezję ocierał się papież Franciszek).

Jedność z głębi

Leon XIV rozpoczyna zatem swój pontyfikat w Kościele, w którym ujawniło się wiele napięć i różnic w rozumieniu, czym chrześcijaństwo jest i czym powinno być. Nic zatem dziwnego, że w informacyjnej przestrzeni Kościoła pojawia się nie tylko wiele pytań o zasadniczy kierunek nowego pontyfikatu, ale także wiele sprzecznych oczekiwań. Nie powinno dziwić, że są liczne środowiska katolickie, które oczekują, że nowy papież zrezygnuje z synodalnej drogi, która niesie ryzyko, napięcia i sporo chaosu, a przywróci doktrynalny i organizacyjny ład i spokój.

Miejmy jednak nadzieję, że Leon XIV będzie kontynuował proces, który Franciszek dopiero rozpoczął, pozwalając, by Kościół nabierał charakteru coraz bardziej synodalnego. Pomimo trudności, jakie niesie ten proces, przywraca on katolicyzmowi charakter bliższy wizji, jaką znajdujemy na kartach Nowego Testamentu. By jednak ten proces mógł się udać, musi być powiązany z innym – równie ważnym (a może nawet ważniejszym).

Analizując Jezusową wizję wspólnoty z Ewangelii Mateusza, nie można jednak przeoczyć, iż Mistrzowi nie chodzi tylko o to, by Jego uczniowie tworzyli wspólnotę równych siostr i braci. Przypomina On także, że jest to wspólnota posiadająca jednego Nauczyciela i jednego Ojca. Znaczący to zatem, że chrześcijanie nie tylko są równi wobec siebie, ale także (a może przede wszystkim) otwarci na brzmienie w nich boskie Słowo i trwający w jedności ze swoim boskim Źródłem – Ojcem. Innymi słowami można powiedzieć, że w Jezusowej wizji wspólnota chrześcijańska jest wspólnotą kontemplacyjną.

Warto tu zauważyć, że kontemplacyjny i synodalny charakter chrześcijaństwa ściśle się ze sobą łączą. W synodalności bowiem kluczowa jest umiejętność słuchania siebie nawzajem, uważności nie tylko na swoje własne pragnienia i potrzeby (choć ta też jest istotna), ale w równym stopniu na pragnienia i potrzeby innych. Jest to ta sama umiejęt-

ność i postawa, która stanowi rdzeń duchowości kontemplacyjnej: umiejętność i postawa wyciszenia zgiełku własnego umysłu i otwartości, słuchania Głosu, który brzmi w absolutnej ciszy.

Można też zaryzykować tezę, że jedynie takie zakorzenienie w boskiej, tajemniczej rzeczywistości może stanowić podstawę jedności wspólnoty uczniów Jezusa. Zgubienie dostępu do tego wewnętrznego Źródła skutkuje powstaniem alternatywy: rozpad wspólnoty lub próba jej utrzymania politycznymi środkami władzy i centralnej kontroli poprawności doktryny (czyli, w istocie, środkami kontroli myślenia).

Co będzie?

Którą drogą będzie chciał iść Leon XIV? Nie sposób tego precyzyjnie przewidzieć. Można jednak znaleźć sygnały wskazujące, że rozumie on potrzebę i kontemplacji, i synodalności. Sygnały można rozpoznać np. w pierwszym przemówieniu nowego papieża do kolegium kardynałów. Mówił niemal na samym jego początku o konieczności słuchania głosu Zmartwychwstałego, pamiętając, że „Bóg kocha objawiać się nie tyle w huku grzmotu i trzęsieniu ziemi, ile w »szmerze delikatnego powiewu« (1 Krl 19, 12) lub, jak tłumaczą niektórzy, w »subtelnym głosie ciszy«”. Wspomnienie o tym drugim sposobie rozumienia tekstu biblijnego wskazuje na to, że Leon XIV zna i ceni chrześcijańskie nurty kontemplacyjne, dla których jest to jeden z ważniejszych motywów Objawienia.

W tym samym przemówieniu nowy papież podkreślał, że Kościół musi iść drogą wyznaczoną przez Sobór Watykański II, interpretowany w świetle adhortacji Franciszka „Ewangelii gaudium” i – co szczególnie znamienne – wskazał kilka najważniejszych w tym kontekście idei swojego poprzednika. Znalazły się wśród nich „wzrost w koleżalności i synodalności” oraz „zwracanie uwagi na *sensus fidei*”, czyli powszechny zmysł wiary wierzących.

Niektórzy ludzie, znający Roberta Prevosta jeszcze zanim został wybrany na urząd biskupa Rzymu, mówią, że jedną z jego wybijających się cech jest umiejętność słuchania. Jeśli to prawda, jest nadzieja, że jest to papież, który będzie rozumiał i wspierał kontemplacyjny oraz synodalny charakter wspólnoty Kościoła.



© PAUSE AI

Demonstracja o bezpieczną AI. Londyn, 8 lutego 2025 r.

Leon XIV i myślące maszyny

DARIUSZ KOT

Po raz pierwszy w historii nie-ludzkie umysły stają się integralną częścią naszego życia. Czy Kościół jest przygotowany, by podjąć ze światem dialog na temat sztucznej inteligencji?

HUMANOIDALNY ROBOT, ZAWIESZONY na niewielkim dźwigu, długo się nie rusza. Technik, pracujący obok, zwraca na niego uwagę dopiero w momencie, gdy metalowe ramiona maszyny zaczynają podrygiwać. Mężczyzna w ostatniej chwili usuwa się na bok. W ciągu kilku sekund robot „dostaje szału”: usiłuje maszerować we wszystkich kierunkach, macha ciężkimi ramionami, wywraca krzesła, zrzuca na podłogę laptop.

Robot szuka równowagi

Krótkie nagranie z kamery przemysłowej chińskiego koncernu Unitree pojawiło się w mediach społecznościowych na tydzień przed wyborem papieża Leona XIV. Ktoś nazwał je pierwszym w historii buntem maszyn. Post na platformie X obejrzało kilkanaście milionów osób.

Jest więcej podobnych: podczas parady robot nagle wchodzi w tłum i niemal uderza w głowę starszą kobietę; na innym nagraniu – nieco mniejszy robot nadeptuje na stopę dziewczynki, która cofa się, gubiąc but.

Co się dzieje? Unitree wyjaśnia incydent w fabryce lakoniczną informacją o „błędzie w oprogramowaniu”. Czy tego typu wydarzenia mamy lekceważyć, pamiętając, że nowe technologie (w tym przypadku roboty czelakokształtne) na początku często zawodzą?

W XIX wieku, w czasie rewolucji lokomotyw parowych, wyjście do pracy było jak pójście na wojnę: do domu można było wrócić bez ręki, nogi albo nawet nie wrócić wcale.

Kluczowa różnica między lokomotywą parową a robotem polega na tym, że

ta pierwsza nie mogła sama nagle zdecydować, że światło jest zielone, a nie czerwone – i rozjechać remontujących tory robotników. Aby taki błąd był możliwy, musi wpieryw powstać maszyna, która obserwuje, analizuje i podejmuje działania. Inżynierowie i programiści sugerują w komentarzach do incydentu w chińskiej fabryce, że robot „nie wziął pod uwagę” zawieszenia na dźwigu i zaczął się poruszać, „zakładając”, że stoi na ziemi. Jego chaotyczne, pozornie agresywne ruchy były próbami odzyskania równowagi.

Decydujące imię

Każdy z trzech opisanych incydentów mógł zakończyć się wypadkiem, czy wręcz tragedią. Ale co ważniejsze – sztuczna inteligencja stawia dziś przed nami zupełnie inne wyzwania niż winda, tokarka czy lokomotywa. AI to przede wszystkim potężna i wszechobecna maszyna kulturowa.

W najnowszej książce „Nexus” historyk Yuval Harari przypomina, jak programiści Facebooka postawili algorytmom zadanie zwiększenia zaangażowania użytkowników. Decyzję, by promować w tym celu kłamstwa i agresję, podjęły już same algorytmy. Harari obarcza częścią odpowiedzialności maszynę. To ona „przeoczyła” polityczne zagrożenia, płynące z celowego i masowego

→ podsycania konfliktów. Tak jak robot Unitree „przeoczył” unoszący go dźwignik.

Zaczynamy dzielić naszą codzienność z nie-ludzkimi umysłami, których „punkty widzenia” i „decyzje” mogą mieć nie mniejszy wpływ na nasze życie, niż my sami. Nowo wybrany papież zdaje sobie sprawę, jak bardzo świat AI będzie inny od rzeczywistości, jaką znaliśmy wcześniej. Choć jestem ateistą, z zaskoczeniem i ogromną radością czytamy, że to właśnie gwałtowny rozwój sztucznej inteligencji był powodem, dla którego kard. Robert Prevost przybrał imię Leona XIV.

„Wybrałem imię Leon XIV z różnych powodów, ale głównie dlatego, że papież Leon XIII w swojej historycznej encyklice »Rerum Novarum« zajął się problematyką społeczną w kontekście pierwszej wielkiej rewolucji przemysłowej. W naszych czasach Kościół oferuje wszystkim bogactwo swojej nauki społecznej w odpowiedzi na kolejną rewolucję przemysłową i na postępy w dziedzinie sztucznej inteligencji, które stawiają nowe wyzwania dla obrony godności człowieka, sprawiedliwości i pracy”.

Moralnie słuszne technologie

Umieszczenie AI w centrum nowego pontyfikatu – z pozoru zaskakujące – nie mogło się wydarzyć w lepszym momencie. Dwa lata od dnia, kiedy zaczęliśmy swobodnie rozmawiać z Chatem GPT, świat wydaje się niezdolny, by stanąć oko w oko z problemami maszyn myślicy, nie mówiąc już o ich rozwiązywaniu. Codzienne debaty na temat AI zdominował kapitalizm transhumanistyczny, niezwykle wpływowy w Dolinie Krzemowej i wśród elit finansowych kontrolujących korporacje informatyczne.

„Wzrost gospodarczy nie jest lekarstwem na wszystko, ale brak wzrostu gospodarczego jest zabójczy” – napisał w swoim bardzo popularnym „Manifestie Optymizmu Technologicznego” milioner Marc Andreessen. „Wierzimy, że wszystko, co dobre, jest następstwem wzrostu. A jedynym niewyczerpanym źródłem wzrostu jest technologia”.

Dla kapitalistów transhumanistycznych każdy kolejny zaliczony test sztucznych inteligencji, każdy bardziej realistyczny czatbot, każdy dobrze sprzedający się produkt jest zwiastunem przyszłego, powszechnego bogactwa i przeja-

wem swoistej techno-etyki. „Wierzimy, że rozwijanie technologii jest jedną z najbardziej moralnie słusznych rzeczy, jakie możemy zrobić – deklaruje zupełnie na poważnie Andreessen. – Wierzimy, że postęp technologiczny prowadzi do materialnej obfitości dla wszystkich ludzi”.

Nowa zimna wojna

Czy rzeczywiście linie prowadzące od wolnych rynków i rozwoju technologii do wzrostu gospodarczego zbiegają się w końcu we „wszystkim, co dobre”? Czy mamy zapomnieć o związkach algorytmów mediów społecznościowych z kryzysem demokracji? Wąska, ekonomiczna perspektywa traci sens, gdy uwagę przeniesiemy na politykę związaną z AI.

Ruchy bezpieczeństwa
AI kwestionują wiarę
w samoregulujący się rynek,
technologię i dobrą wolę
wielkich korporacji.

**Leon XIV staje się
ich sojusznikiem.**

„Stoimy przed strategicznym wyborem dotyczącym tego, w jakim świecie będziemy żyć – pisze w „Washington Post” Sam Altman, dyrektor OpenAI. – Czy będzie to świat, w którym Stany Zjednoczone i państwa sprzymierzone będą promować globalną sztuczną inteligencję, która rozpowszechni korzyści płynące z technologii i otworzy do niej dostęp, czy też świat autorytarny, w którym państwa lub ruchy, które nie podzielają naszych wartości, wykorzystają sztuczną inteligencję do umocnienia i rozszerzenia swojej władzy”.

Wielu polityków promuje perspektywę wyścigu zbrojeń AI, nowej zimnej wojny, w której z przyszłej „materialnej obfitości” wyłączone byłyby nie tylko Chiny, ale także inne państwa coraz bardziej wpływowe w geopolitycznych rachunkach sojuszu BRICS. W czwartym miesiącu obecnej, obsesyjnie skupionej na „America first” administracji Donalda Trumpa mówienie o USA „rozpowszechniającym globalne korzyści” brzmi szczególnie naiwnie.

Ruchy bezpieczeństwa

Zanim nowy papież zapytał katolickich teologów o stan świeckiej debaty nad myślącymi maszynami, należałoby zwrócić im uwagę, że obie dominujące perspektywy – ekonomiczna i polityczna – nie tylko wchodzą ze sobą w konflikt, ale są też mocno ograniczone. Nie uwzględniają na przykład problemu bezpieczeństwa AI czy koncentracji zysków z nowych technologii w rękach finansowych i politycznych elit. Warto więc wspomnieć o ruchach społecznych, które dostrzegają te zagrożenia i przeciwko nim występują, kwestionując wiarę w samoregulujący się wolny rynek, technologię i dobrą wolę dyrektorów wielkich korporacji.

Ruchom aktywistów „AI safety”, w rodzaju międzynarodowego Pause AI czy radykalnego, blokującego wjazd do korporacji Altmana ruchu Stop AI, może daleko jest do masowości. Ale zrzeszają młodych, zdeterminowanych ludzi, którzy domagają się, by rządy wymusiły na korporacjach informatycznych wprowadzenie autentycznych testów bezpieczeństwa, zanim nowe modele sztucznych inteligencji trafią na rynek. Jak mówi Eliezer Yudkovsky, piszący na temat bezpieczeństwa AI od wielu lat, nie jest łatwo kontrolować AI w momencie, gdy staje się ona prawie tak mądra, jak my sami.

Z kolei społeczności *open source AI* są ideową przeciwwagą dla polityków, którzy promują postęp technologiczny, służący wyłącznie interesom USA i ich sojuszników. Zwolennicy *open source* oskarżają korporację Altmana o zdradę wcześniej promowanej idei budowy sztucznej inteligencji dla dobra całej ludzkości. W krajach Zachodu ośrodkiem tego ruchu stała się francusko-amerykańska strona Hugging Face, gdzie informatycy z całego świata mają nieograniczony dostęp do różnych modeli AI. Clement Delangue, jeden z założycieli HF, oświadczył w wywiadzie dla „Time”: „Tak naprawdę największym ryzykiem jest skupienie władzy i wiedzy w rękach nielicznych”.

Paradoksalnie, najlepszym dostępnym modelem *open source* jest aktualnie chiński Deepseekv3, porównywalny pod względem inteligencji z nowymi wersjami „zamkniętego”, korporacyjnego Chata GPT. OpenAI jest „otwarta” już tylko z nazwy, a model, który można so-



Watykan o sztucznej inteligencji

RZYMSKIE WEZWANIE W SPRAWIE ETYKI AI (28 LUTEGO 2020 R.)

„»Sztuczna inteligencja« przynosi duże zmiany w życiu ludzi i będą się one pogłębiały” – pisze Papieska Akademia Życia w dokumencie stworzonym przy współpracy z powołaną przez Franciszka fundacją RenAIssance, wskazując trzy obszary podlegające wpływowi AI: etykę, edukację i prawo. Manifest, pod którym podpisały się m.in. Microsoft, IBM i Cisco, wymienia najważniejsze zasady rozwoju AI: transparentność, inkluzywność, odpowiedzialność, bezstronność, niezawodność, bezpieczeństwo i prywatność.

PRZEMÓWIENIE NA SZCZYCIE PAŃSTW G7 (14 CZERWCA 2024 R.)

Zwracając się do przywódców najbardziej rozwiniętych gospodarczo państw świata, papież Franciszek przestrzegał przed pozbawianiem ludzi prawa do podejmowania autonomicznych decyzji o własnym życiu (i przekazywaniem go AI).

WYTYCZNE DOTYCZĄCE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI (16 GRUDNIA 2024 R.)

Gubernatorat Państwa Watykańskiego wydał dekret nakazujący pracownikom Watykanu, by w działaniach związanych z AI kierowali się ludzką godnością, wspólnym dobrem, zachowaniem autonomii decyzyjnej człowieka. Dokument zakazuje m.in. używania AI w sądownictwie. Powołuje też Komisję ds. AI, odpowiedzialną za mo-

nitorowanie stosowania sztucznej inteligencji w państwie watykańskim.

ANTIQUA ET NOVA

(28 STYCZNIA 2025 R.)

Wspólna nota dwóch dykasterii – Nauki Wiary oraz Kultury i Edukacji – to jak dotąd najwyższej rangi dokument watykański o sztucznej inteligencji. Mówi o różnicach między „myśleniem” maszynowym a ludzkim procesem kreatywnym, o wartościach, jakie powinien uwzględniać rozwój AI (ochrona godności człowieka, promowanie wspólnego dobra, wspieranie pracowników, a nie zastępowanie). Stanowczo sprzeciwia się autonomicznej broni AI (LAWS), która sama decyduje o odbieraniu życia ludziom np. na polu walki.

PRZESŁANIE DO UCZESTNIKÓW PARYSKIEJ

KONFERENCJI O AI (10 LUTEGO 2025 R.)

W liście do polityków i prezesów korporacji Big Tech (m.in. Google, Microsoft i OpenAI) Franciszek ponownie apeluje o kontrolę człowieka nad AI, przestrzegając przed zagubieniem wielości ludzkich perspektyw.

© © PATRYK STANIK

scy z tego korzystają – mówił niedawno Hinton w wywiadzie dla CBS Morning. – Osoby zatrudnione na dwóch etatach mogą przejść na jeden etat, za który dostają mnóstwo pieniędzy, bo przy pomocy AI będą mogli wykonać tę samą pracę o wiele szybciej. Ale niestety wiemy, że nie będzie to tak wyglądać. Bajecznie bogaci staną się jeszcze bogatsi, a biedni zaczną pracować na trzy etaty”. Gorąco polecam katolickim teologom pierwszy odcinek nowego sezonu dystopijnego serialu „Black Mirror”, zatytułowany „Zwykli ludzie”, który opowiada właśnie taką, ponurą historię.

Eksplzja inteligencji

Dla największego zagrożenia ze strony AI – zagłady ludzkości w wyniku powstania obcej inteligencji, która nas przewyższy – brakuje historycznych precedensów. Ale skoro najbardziej zaawansowane modele – jak ChatGPT, Claude czy Deepseek – już teraz doskonale radzą sobie z pisanie programów komputerowych, to nie wydaje się niemożliwe, że AI zacznie w pewnym momencie ulepszać sama siebie, doprowadzając w krótkim czasie do tzw. eksplozji inteligencji. Nie wiadomo, co mogłoby temu zapobiec. Wyścig zbrojeń AI, podsycany rywalizacją korporacji i państw, nieustannie przyspiesza. Były badacz OpenAI, Daniel Kokotajło, wykorzystuje teorię gier do symulowania możliwych scenariuszy, uwzględniając „graczy” takich jak korporacje, rządy, media, obywatele. Ostrzega, że możemy utracić kontrolę nad super zaawansowaną AI już w roku 2027.

Czy teolodzy szukający sposobu, aby Kościół stał się znów ważny dla współczesnego człowieka, pójdą za podpowiedzią nowego papieża? Czy Leon XIV stanie się „Ojcem Świętym od sztucznej inteligencji”? Czy Kościół jako globalna wspólnota podejmie wysiłek przetrwania wszystkich tych nowych, trudnych problemów? Czy podejmie współpracę z inżynierami i aktywistami? Wybór imienia papieża budzi nadzieję i wytycza zupełnie nową, wartą wsparcia drogę. © DARIUSZ KOT

bie za darmo zainstalować na domowym komputerze, pochodzi z... Hangzhou.

AI dla bogaczy

Jeden z „ojców chrzestnych” współczesnej sztucznej inteligencji, noblista Geoffrey Hinton, uzupełnia ostrzeżenie Delangue’a o dodatkową groźbę: skupienia kapitału w rękach nielicznych. Otwiera w ten sposób o wiele szerszą perspektywę społeczną, gdzie – podobnie jak w „Rerum Novarum” Leona XIII

– rynek i wzrost gospodarczy nie istnieją w próżni, a uwagę należy przenieść na wszystkich obywateli, w tym także pracowników.

– Bajecznie bogaci staną się jeszcze bogatsi, a biedni zaczną pracować na trzy etaty – mówi Geoffrey Hinton, noblista i jeden z „ojców chrzestnych” współczesnej sztucznej inteligencji, komentując wpływ AI na nierówności.

„To powinno tak wyglądać: gdy jesteś w stanie podnieść produktywność, wszy-

Autor zajmuje się badaniem współczesnych światopoglądów poreligijnych i przemian kulturowych związanych ze sztuczną inteligencją. Opisuje je na stronie worldviewresearch.org oraz na platformie X @PauseAI_Polska.

O. WACŁAW

Oszajca: Nowe niebo



NIE TYLKO W EPOCE TZW. NAUKOWEGO światopoglądu, obecnie również na pytanie o religię odpowiadano: ludziom współczesnym szkoda czasu na takie bzdury. Nie chciano też pamiętać o tych, którzy za wiarę, jak też niewiarę w Boga płacili wolnością, torturami

i życiem. Widać, w pytaniu o Boga chodzi nie tyle o teoretyczne dywagacje, ale człowieka. Pamiętam, jak w czasie dyskusji jeden z jej uczestników, mniający się ateistą, zaczął swoich adwersarzy nazywać ciemniakami rodem ze średniowiecza. Twierdził, że religie to przejaw przednaukowego podejścia do rzeczywistości, potrzebne kapłanom i politykom do uzasadnienia nierówności społecznych i wyzysku klasowego. A śmierć? Niebo? Nie ma o czym gadać – bajki. Człowiek umiera i koniec – nie ma nic. Na to jedna z kobiet: „Wybaczy pan, ale czy byłby pan w stanie powiedzieć to, patrząc w oczy matce zamordowanego dziecka?” „Ależ to jest szantaż emocjonalny, odparł zapytany, argumentum ad hominem”. „Owszem, ad hominem, o emocjach się nie dyskutuje, ale czy tylko o emocje tu chodzi?”, odparła rozmówczyni.

Po tragedii na Uniwersytecie Warszawskim, po całej serii napaści na lekarzy i pielęgniarki, zanim osądzimy sprawców, pomyślmy o sobie. To, co się wydarzyło na uniwersytecie, to „był test poziomemu empatii społeczeństwa i test umiejętności obrony drugiego człowieka – w obu społeczeństwo wypadło fatalnie. Niestety, mamy społeczeństwo internetowe, telewizyjne, które otaczający świat postrzega jako obraz medialny. Cechuje je nieumiejętność reagowania na sytuacje zagrożenia – na to, jak się okazało, jesteśmy kompletnie nieprzygotowani” – mówi biegły sądowy dr Jerzy Pobocho. Zapytajmy więc, skąd się wzięło takie społeczeństwo.

Autor Księgi Rodzaju, ponad dwa i pół tysiąca lat temu, sprawcy zbrodni stawia pytanie: „Gdzie jest twój brat?”. Zbyt szybko nie odrzucajmy tego przednaukowego pytania. Zanim uspokoiemy sumienia, akceptując sprawiedliwe wyroki na sprawców, posłuchajmy filozofa. Leszek Kołakowski, jako profesor wyrzucony z warszawskiego uniwersytetu, napisał ponad pół wieku temu: „Wyznajmy to: taka jest nasza codzienna filozofia, filozofia całkowitej niewinności jednostki, odrzucenie osobistej odpowiedzialności, zanegowanie zła i grzechu, a ostatecznie zanegowanie człowieka poprzez zapomnienie Jezusa”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Wiara w trzech słowach



CZY W JEDNYM ZDANIU MOŻNA OPISAĆ cały proces wiary? Można nawet w połówce (!) zdania: „(...) owce słuchają jego [pasterza] głosu; woła on je po imieniu i wyprowadza je” (J 10, 3b) – tak właśnie mówił do nas Jezus w minionym tygodniu. Do dziś pozostaje w szoku, ile można zawrzeć w tak krótkiej formie.

Wiara zaczyna się od słuchania. Nie jest przekonaniem, że Bóg istnieje. Wszystkie diabły są przekonane, że Bóg istnieje. I są niewierzące! Wiara jest odpowiedzią na Słowo (i Czyn) Boga. Odpowiedzią zaufania i powierzenia się Słowu w sposób praktyczny. Pierwsze przykazanie Tory brzmi: „Słuchaj, Izraelu!...”; refrenem Nowego Testamentu są słowa: „Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!”.

Pierwszym Słowem Boga do nas jest... imię każdej i każdego z nas. W Ewangelii: „Mario!”, „Szymonie, synu Jana!”, „Zacheuszu!”. U początków biblijnej historii zbawienia: „Abrahamie, Abrahamie!” (Rdz 22, 1 i 11), „Mojżeszu, Mojżeszu!” (Wj 3, 4), albo „Samuelu, Samuelu!” (1 Sm 3, 6. 8 i 10). Właśnie tak! Bóg najpierw wypowiada nasze imię. A nie jakieś polecenie, przykazanie czy zakaz. Nie wymaga najpierw dla Siebie aktów czci i kultu; nie żąda chwały, lecz woła nas po imieniu. Gdyż chce z każdą/każdym z nas wejść w osobistą relację: głęboką, intymną, czułą, przyjazną („już was nie nazywam sługami, ale przyjaciółmi”). Wiara jest najpierw wydarzeniem spotkania – osoby z Osobą. Nie jest jedynie znajomością „prawd wiary”; wiara jest znajomością Tego, który je objawił. Bez znajomości Jego nie znam też ostatecznie treści owych „prawd” (zgodnie z tym, co św. Augustyn pisał o „uczonych w Prawie”: „znali Prawo, ale nie znali Prawodawcy!”).

Każdego, kto tego doświadczył, Bóg/Pasterz „wyprowadzi” – do innych. Z misją, z Ewangelią, z atrakcyjnym świadectwem, z miłością, z miłosierdziem. Tego właśnie przez dwanaście lat uczył nas papież Franciszek. Uczył „wiary wychodzącej” na zewnątrz – ze strefy własnego komfortu do każdego, kto jej potrzebuje. Wszystko to kryje się w tej połowce zdania przytoczonego na wstępie: wpierw słuchać, usłyszeć swoje imię i odważyć się wejść w osobistą relację, aby w końcu dać się wyprowadzić ku innym. Wiara. Amen. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 21/2025

Z KRÓLEWSKIM ROZMACHEM POZNAŃ 2025



Plac Wolności, Klub Festiwalowy Malta

Poznań przyciąga

JĘDRZEJ SOLARSKI, ZASTĘPCA PREZYDENTA POZNANIA:

Spośród wszystkich dużych miast przeznaczamy najwięcej środków na oddolne inicjatywy kulturalne. Dlatego tak ważną rolę w naszym mieście odgrywają biblioteki – nie tylko jako miejsca wypożyczeń, ale przestrzenie doświadczania wielu dziedzin kultury.

KINGA DAWIDOWICZ: Dlaczego warto wybrać się latem do Poznania?

JĘDRZEJ SOLARSKI: Ze względu na unikatowy plan klinów zieleni Poznań jest jednym z najbardziej zielonych miast w Polsce. W granicach miasta znajduje się aż pięć jezior, mamy też wyjątkową zabudowę architektoniczną, dzięki której centrum wyróżnia się spójnością i pełne jest miejsc wartych odkrycia.

Z drugiej strony – wyróżnia nas klimat społeczny, trudny do uchwycenia na pierwszy rzut oka, a jednak silnie obecny. To klimat otwartości i wspierania relacji międzyludzkich. Modernizując miasto i planując kolejne inwestycje, dbamy o to, by nie zatracić tej aury. Takie działania czynią Poznań miejscem nie tylko wartym odwiedzenia, ale też zachęcającym, by zostać jego mieszkanką lub mieszkańcem.

A z jakimi wyzwaniem mierzy się dzisiaj Poznań?

Za główny cel uważamy podniesienie jakości życia mieszkanek i miesz-

kańców. Ich satysfakcja zależy od wielu czynników. Po przebudowie centrum obserwujemy na przykład wzrost aspiracji osiedli peryferyjnych – to właśnie tam zachodzą obecnie największe zmiany, zarówno w zakresie transportu, jak i usług publicznych.

W najbliższych latach musimy odpowiedzieć na te oczekiwania tak, aby wyróżniał się nie tylko śródmiejski Poznań, ale także jego poszczególne, często bardzo różnorodne części. Stąd nasze inwestycje w mobilność – ich symbolem będzie kolejowa obwodnica miasta, ułatwiająca szybkie przemieszczanie się w jego granicach, a także ciągła rozbudowa sieci dróg rowerowych. Kiedyś transport oznaczał własny samochód, dziś coraz więcej osób wybiera komunikację miejską, rower lub spacer, kierując się wygodą, oszczędnością i zdrowiem.

Nie sposób też pominąć wyzwań związanych z rosnącą grupą seniorów i seniorów. Z myślą o niej wprowadzamy nowe usługi. Wiele z nich realizowaliśmy jako

pierwsi, jak choćby pomoc w drobnych naprawach domowych, wypożyczanie książek bez wychodzenia z domu czy dbanie o groby na cmentarzach miejskich. Wszystkie te usługi są – co warto podkreślić – bezpłatne. Drobne sprawy życia codziennego dla wielu starszych osób stają się poważnymi problemami – a nasze działania są odpowiedzią na potrzeby, które poznajemy w bezpośrednich spotkaniach z tą grupą mieszkanek i mieszkańców.

Jak skutecznie promować wiedzę na temat dziedzictwa kulturowego regionu?

Edukacja związana z dziedzictwem kulturowym to wspólna odpowiedzialność wszystkich szczebli władzy. Obchody rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego mają charakter państwowy – w końcu dotyczą całego kraju, którego częścią jesteśmy.

Naszą rolą jako miasta jest pokazywanie tych wątków historii w sposób cie-

kawy i angażujący – tak, by inspirowały również przyszłe pokolenia. Tysiące lat koronacji pozwoliło wykazać się naszym instytucjom kultury, specjalizującym się w atrakcyjnym edukowaniu: Muzeum Archeologicznemu z rezerwatem archeologicznym Genius Loci, a także Poznańskiemu Centrum Dziedzictwa. Ta misja nie ogranicza się tylko do rocznic, ważne są dla nas aktualne debaty publiczne. Jeśli dyskutujemy na przykład o roli i statusie migrantów i migrantek, warto sięgnąć do lokalnej historii. Trzysta lat temu przybyli tu osadnicy i osadniczki z niemieckiego Bambergu, zasiedlili okolice i wnieśli ogromny wkład w naszą tożsamość kulturową.

Co roku w sierpniu obchodzimy też Święto Bambrów – to okazja do poznania historii rodzin, które w czasie okupacji niemieckiej jednoznacznie deklarowały się jako Polki i Polacy, mimo że oznaczało to gorszy status społeczny niż podjęcie decyzji o powrocie do niemieckich korzeni. Tak rozumiemy tę misję w Poznaniu – punktem wyjścia jest szacunek dla historii, z której płynie lekcja, że każda nowa sytuacja społeczna to nie tylko wyzwanie, ale i szansa na lepsze życie.

Czy Poznań działa również w obszarze nawiązywania partnerstw, zarówno lokalnych, jak i międzynarodowych?

Oczywiście, Poznań nie chce być samotną wyspą na mapie świata. Przyciągamy ofertą akademicką, współpracujemy z miastami partnerskimi o podobnym profilu, a dzięki wydarzeniom kongresowym i kulturalnym pokazujemy się światu – mam nadzieję, że z jak najlepszej strony. Nieprzypadkowo właśnie w Poznaniu odbywa się Impact – światowy festiwal spotkań, debat i wykładów wybitnych ekspertów ze świata polityki, gospodarki, nauki i technologii.

Warto też przyrzeć się ogłoszonemu właśnie sukcesowi młodej pianistki Tianyao Lyu. Pochodząca z Chin studentka poznańskiej Akademii Muzycznej zakwalifikowała się do Konkursu Chopinowskiego – *de facto* jako reprezentantka Poznania. W przyszłości spodziewam się więcej takich historii, o atrakcyjności miasta będą świadczyć nie tyle kampanie reklamowe, co konkretni ludzie – faktyczni ambasadorzy i ambasadorki Poznania.



MATERIAŁY PRASOWE

JĘDRZEJ SOLARSKI jest prawnikiem. W Urzędzie Miasta pracuje od października 2003 r. Od 2019 r. członek Rady Nadzorczej Międzynarodowych Targów Poznańskich oraz wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej Remondis Sanitech Poznań Sp. z o.o. Zwycięzca licznych turniejów samorządowych w tenisie ziemnym. Prywatnie mąż i ojciec dwójki dzieci.

W jakim kierunku będzie się rozwijał Poznań?

Jako urzędnik swoją wizję buduję na podstawie setek rozmów, zarówno z osobami zaangażowanymi w debatę publiczną, jak i z mieszkankami i mieszkańcami, którzy przychodzą do urzędu z konkretnymi sprawami.

Chcemy być silną metropolią o międzynarodowym znaczeniu, która przyciąga przedsiębiorców z przyszłościowych branż. Przede wszystkim jednak liczą się ludzie – to dla nich budujemy przyjazne miasto: zarówno najbliższe otoczenie, jak i przestrzeń wspólna, gdzie możemy spędzać wolny czas. Wyzwanie polega na tym, by przy zachowaniu spójności, racjonalnie odpowiadać na wszystkie te potrzeby.

Jakie działania wzmacniają społeczność kreatywną? Co sprawia, że mieszkańcy angażują się w życie kulturalne miasta?

Zanim objąłem funkcję zastępcy prezydenta, nie miałem dużego kontaktu ze środowiskiem kulturalnym. Dziś widzę, że to właśnie w tym gronie – tworzone przez artystów i artystki – rodzi się wiele innowacji i pomysłów na bardziej

otwarte, przyjazne miasto. I nie chodzi tu tylko o debatowanie, lecz o realne działania – zawsze będę wspominał wielką mobilizację instytucji kultury i organizacji pozarządowych w reakcji na inwazję Rosji na Ukrainę, czy wcześniej, w trakcie pandemii.

Procentuje fakt, iż spośród wszystkich dużych miast przeznaczamy najwięcej środków – w przeliczeniu na jedną mieszkankę lub mieszkańca – na oddolne inicjatywy kulturalne. Wspieramy zarówno organizacje pozarządowe, jak i indywidualnych twórców oraz twórczynie, nie ingerując przy tym w ich autonomię. Uważnie jednak obserwujemy pojawiające się trendy i wspólnoty – ponieważ kultura jest dla nas źródłem tego, co łączy ludzi, a nie dzieli. Fakt, że poznanianki i poznanicy tak chętnie uczestniczą w kulturze, utwierdza nas w przekonaniu, że warto ten sektor wspierać.

Poznań, szczególnie w okresie letnim, oferuje dużo atrakcji dla miłośników muzyki, teatru i filmu.

Przygotowali Państwo coś specjalnego dla grupy seniorów?

Wspierając wydarzenia kulturalne, zwracamy szczególną uwagę na ich dostępność – także dla osób ze specjalnymi potrzebami. Nie chodzi jednak o tworzenie kultury wyłącznie dla jednej grupy: dzisiejsze seniorzy i seniorzy to pokolenie wychowane na rocku i teatrze alternatywnym – nadal chcą uczestniczyć w kulturze tworzonej „tu i teraz”, są ciekawi świata i mają twórcze ambicje.

Ważną rolę odgrywają tu biblioteki – nie tylko jako miejsca wypożyczeń i spotkań autorskich, ale też przestrzeń do świadczenia innych dziedzin kultury. Dobrym przykładem są odbywające się w Bibliotece Raczyńskich koncerty muzyki klasycznej i dawnej, w których wykonawcy i wykonawczynie nie tylko grają, ale też opowiadają o kontekście i źródłach utworów.

Kultura powinna być otwarta na wszystkich i niwelować progi kompetencyjne. Jeśli pomożemy zrozumieć ten świat i wzbudzimy nim ciekawość, uczestnicy kultury będą kontynuować swoje poszukiwania, a kultura stanie się ich codzienną towarzyszką i źródłem satysfakcjonującego życia w mieście.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ

Miasto pierwszych Piastów – kulturalny jubileusz Poznania

KINGA DAWIDOWICZ

**1000-lecia rocznica naszego państwa to dobry pretekst,
by przyjrzeć się wpływowi historii na współczesność.
Poznań wychodzi temu naprzeciw poprzez różnorodne działania
wystawiennicze, teatralne, instytucjonalne i wydawnicze.**

Trykające koziołki na wieży ratuszowej, słynny rogal marciński, literackie rodzeństwo – Stanisław Barańczak i Małgorzata Musierowicz oraz renomowane Międzynarodowe Targi wystawiennicze to hasła, które prostym skojarzeniem łączą się ze stolicą Wielkopolski. Miasto położone nad Wartą w zachodniej części kraju jest dużym ośrodkiem akademickim, naukowym i kulturalnym. Tak w telegraficznym skrócie można naszkicować definicję Poznania.

Schodząc głębiej, do korzeni historycznych miasta sięgających Ostrowa Tumskiego, znajdziemy fundamenty nie tylko historii Wielkopolan, ale i źródło państwowości Polski. To tutaj mieści się wzniesiona za czasów Mieszka I i jego syna, Bolesława Chrobrego, pierwsza na ziemiach polskich katedra – bazylika archikatedralna Świętych Apostołów Piotra i Pawła. W tym miejscu znajdują się symboliczne grobowce pierwszych władców Polski, tutaj też niektórzy historycy wskazują miejsce koronacji Bolesława Chrobrego. Spory toczą się pomiędzy nimi a zwolennikami teorii uznania Gniezna jako świadka tej historycznej chwili, ale niewątpliwie należy uznać, że od X wieku, gdy gród znalazł się pod pa-

nowaniem Piastów, Poznań rozwinął się jako ośrodek stołeczny o dużym znaczeniu militarnym (jedna z największych twierdz) i pełnił funkcję siedziby władców polskich.

W roku 2025 przypada 1000-lecie koronacji Bolesława Chrobrego, który, jak stwierdza Przemysław Rotengruber, filozof kultury specjalizujący się w teorii władzy i etyce gospodarczej, „był dla swoich podwładnych trochę jak Vito Corleone. Podziwiany, szanowany, a przede wszystkim słuchany, mógł liczyć na lojalność oraz owocną współpracę z tymi, którzy byli mu potrzebni. Nie tylko umiał zdobyć władzę, lecz także utrzymać ją, a nawet dynamicznie rozwijać. W końcu Piastowie to nie tylko historia ich podbojów”.

Czasy Piastów, jak podkreśla Rotengruber, to przede wszystkim świadome i konsekwentne budowanie państwa. Można zaryzykować tezę, że to również ulubieńcy władzy niezależnie od opcji politycznej obecnej u steru. W czasach Polski Ludowej chętnie podkreślano ich pochodzenie i wskazywano na wojny z zachodnimi sąsiadami (przemilczając kłopoty, z jakimi się borykali na wschodzie). Jeszcze wcześniej, w czasach zaborów, „Rota” Marii Konopnickiej pełniła funkcję krzepiącego przypomnie-

nia o czasach świetności i królewskiej dumie.

A kim dziś są dla nas Piastowie? Jakie emocje budzi Bolesław Chrobry, pierwszy król Polski? 1000-lecia rocznica jego koronacji to dobry pretekst, by przyjrzeć się znaczeniom historycznych faktów dla współczesności. Poznań wychodzi temu naprzeciw i poprzez różnorodne działania wystawiennicze, teatralne, instytucjonalne i wydawnicze pokazuje, że postać pierwszego króla Polski to nie tylko obowiązkowy temat w programie edukacji, ale również fenomen do wciąż nowych badań i interpretacji.

Centrum Turystyki Kulturowej Trakt aktualny numer rocznika „Dziłki Bit” poświęciło odwadze. Temat przewodni pisma nawiązuje do przydomka pierwszego króla Polski, który znał tylko co odważny, dzielny. Autorzy publikacji wychodzą od refleksji nad wagą koronacji, który przyniósł długofalowe skutki dla rodzącego się państwa, wzmacniając jego pozycję na arenie międzynarodowej. W piśmie znalazły się m.in. refleksje o znaczeniu dynastii Piastów dla dziejów Poznania, teksty o współczesnych bohaterkach i bohaterach z poznańskich dzielnic, historie kobiet, które zapisały się

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 21/2025
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowitz | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
Na okładce: Pyrek i Tyrek – koziołki z wieży ratuszowej
// fot. UM Poznań

PARTNERZY DODATKU:

POZnań*

WYDAWNICTWO
MIEJSKIE
POZNANIA

kultura
poznania.pl



Poczet królów i książąt polskich, ok. 1730,
Muzeum Narodowe w Poznaniu, nr inw. MNP Mp 834

na kartach historii, współczesnych lokalnych działaczach. Chrobry, jak się okazuje, łączy pionierkę informatyki (Adę Lovelace), przybyszów z Bambergu i seniorów przełamujących schematy.

W duchu bardziej klasycznej publikacji w obchody koronacji włącza się Wydawnictwo Miejskie „Poznań”.

Instytucja, która zajmuje się upowszechnianiem wiedzy o mieście i promowaniem uczestnictwa w kulturze, najnowszy numer „Kronik Miasta Poznania” pod redakcją prof. Tomasza Jurka w całości poświęciła Chrobremu. Kronika zawiera analizę epoki Piastów, przybliża postać Bolesława, pokazuje Polskę i Poznań ówczesnych czasów, a w artykule „Gdzie dokonana się koronacja Bolesława Chrobrego w 1025 r.?” prof. Jurek pochyliła się nad sporną kwestią miejsca koronacji. Nie zabrakło również tekstów poświę-

conych pamięci o pierwszym koronowanym królu.

Za przykład takiej pamięci może posłużyć **koncert z prawykonaniem utworu „1025” Aleksandra Dębicza w katedrze poznańskiej** czy **premierowego spektaklu „Boleslavus” Interdyscyplinarnej Grupy Teatralnej ASOCJACJA 2006**. Twórcy ASOCJACJI wywodzą się z nurtu teatru plastycznego i znani są z licznych działań w przestrzeni publicznej, obchodów Święta Miasta, imienin ulicy Św. Marcin czy udziału w Malta Festival. Spektakl, na który złoży się część wędrowna i plenerowa, poświęcony będzie koronacji i początkom Polski w średniowiecznych realiach. Inspirując się przekazami historycznymi, ale też domysłami i fantazjami krążącym w internetowej rzeczywistości, jak i nostalgicznymi przeinaczeniami, artyści zapre-

zentują swoją odpowiedź na Chrobrego. Prof. Piotr Tetlak, odpowiedzialny za wizję plastyczną i scenografię, a także scenarzysta i reżyser spektaklu dr Krzysztof Cicheński chcą, by wyobraźnia, empatia i poczucie humoru przez chwilę stały się narzędziami badawczymi, o których często zapominamy interpretując historię. Oba wydarzenia odbędą się 29 czerwca.

Część domysłów historycznych ma szansę stać się pewnością. **Wystawa jubileuszowa „Bolesław Chrobry z Poznania po władzę i koronę”** przygotowana przez Muzeum Archeologiczne w Poznaniu zachęca do oglądania, dotykania czy nawet przymierzania rekonstrukcji zabytków pochodzących z czasów Chrobrego. Kuratorzy wystawy, dr Agnieszka Stempin i Mateusz Sikora, stworzyli opowieść o państwie Bolesława Chrobrego, której pierwszą część osnuto wokół wybranych zabytków związanych z religią, kulturą, obyczajowością, gospodarką, stosowaniem prawa oraz organizacją sił zbrojnych.

Obchody rocznicowe naturalnie skupiają się na postaci Chrobrego, ale **rok 2025 to również 730-lecie koronacji Przemysława II i to wokół jego postaci koncentrują się działania wystawienne w Muzeum Sztuk Użytkowych w Poznaniu**. „Znak Zwycięstwa – wizerunki orła białego ze zbiorów MNP” to opowieść o symbolu królestwa polskiego, który narodził się za czasów Przemysława II, podlegał historycznym zmianom, by ostatecznie stać się wzorem polskiego herbu. Przestrzeń wystawy może być w tej perspektywie traktowana jako ukazanie rozwinięcia dzieła, które zapoczątkowała koronacja Bolesława Chrobrego. Wystawy, publikacje i działania teatralne to tylko część wydarzeń, które czekają na nas w Poznaniu. Miasto przygotowało m.in. warsztaty tematyczne, spacer, koncerty oraz degustację potraw ze średniowiecznej kuchni. Wciąż poszerzający się program można znaleźć na stronie: poznany.pl/tysiaclecie.

Łącząc historyczne interpretacje i analizy z próbą współczesnych odniesień do postaci Chrobrego, Poznań pokazuje, że obchody rocznicowe nie muszą oznaczać jedynie czułości, ale otwierają drogę do zrozumienia genezy i znaczeń państwowości. ©



M. KACZYŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Festiwal Ethno Port



SHERVIN LAINEZ / MATERIAŁY PRASOWE

Anat Cohen Quartetinho wystąpi na Enter Enea Music Festival

LATO W POZNANIU: NAJWAŻNIEJSZE FESTIWALE SEZONU

KINGA DAWIDOWICZ

FESTIWAL ETHNO PORT 5-8 czerwca 2025

Jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem lata Poznań rozbrzmi energetycznymi rytmami muzyki z całego świata. W czasie czterodniowego wydarzenia na trzech scenach – w Sali Wielkiej CK Zamek, na dziedzińcu zamkowym i w plenerowej przestrzeni parku Adama Mickiewicza – usłyszymy dźwięki tradycyjnej muzyki, jak i nowe brzmienia.

Festiwal Ethno Port, obecny na scenie muzycznej Poznania od 18 lat, przybliżał muzykę i tradycje ponad 220 zespołów z 56 różnych krajów i regionów. W tym roku będą to m.in. zespoły z Brazylii, Francji, Ukrainy, Bułgarii, Finlandii, Japonii czy Demokratycznej Republiki Konga. Po raz pierwszy w historii festiwalu inaugurację wydarzenia uświetni podwójny koncert otwarcia – francuski muzyczny projekt „8 Pipers for Philip Glass”. Ośmiu instrumentalistów dętych zaprezentuje kompozycję inspirowaną twórczością Philipa Glassa, przedstawiciela muzycznego minimalizmu, eksplorując granice między tradycją a współczesnością. Następnie na scenie pojawi się polski zespół Wołos, łączący tradycyjne melodie góralskie z klasycznymi smyczkami.

Jak obiecuje Bożena Szota, dyrektorka festiwalu: „w tym roku doświadczymy energii Bałkanów i Europy Środkowej – żywiołowych rytmów, surowych brzmień i transowej mocy, która rozgrzewa do tańca. Usłyszymy muzykę pełną pasji, w której dawne tradycje wciąż pulsują nową energią”. Koncerty przeniosą nas do nordyckich pejzaży dźwiękowych – melancholijnych, surowych, a jednocześnie niezwykle głębokich brzmień Północy. Usłyszymy także dźwięki Bliższego Wschodu i Anatolii, rytmy miejskich scen muzycznych Afryki oraz japońską subtelność i harmonię.

CAŁY POZNAŃ UKULELE 5-8 czerwca 2025

Poznań po raz dziewiąty stanie się na chwilę stolicą ukulele. Od 5 do 8 czerwca będzie można posłuchać ponad trzydziestu koncertów, wziąć udział w warsztatach i wspólnym śpiewaniu. Przewidziano też Poradnię Ukulele i Strefę Wolnego Grania, w której każdy może spróbować swoich sił wyrażania muzycznej ekspresji. Na uczestników festiwalu czeka wspólne granie i śpiewanie z Pierwszą Poznańską Niesymfoniczną Orkiestrą Ukulele, a także koncerty m.in.: Dublin Ukulele Collective – energetycznego

trzydziestoosobowego składu grającego wielkie hity, międzypokoleniowego Uqu-squad, czy piszącej i śpiewającej wesołe piosenki Ranko Ukulele. W festiwalową sobotę nie można przegapić koncertu Taimane Gardner. To jedna z największych gwiazd ukulele. Poza tym na scenie m.in.: Marc Gallagher, Rita Braga, Prague Ukulele Band, duet Biga Heincz, Tom Kontor i Million Leaves & Susana Schnell.

ZORZA 6-7 czerwca 2025

Nowy projekt muzyczny. Pierwsza edycja Zorzy to unikalny format kulturowy, który stawia sobie ambicję wykraczania poza ramy festiwalu muzycznego. Współtwórca festiwalu i jego gospodarz, Dawid Podsiadło stwierdza, że zespół pracuje ze sztuką wizualną, literaturą i designem. Chce też tworzyć „nowe światy, nowe przestrzenie – coś, co da nam wszystkim masę energii, ale też będzie niepowtarzalne. Stąd też nazwa: ZORZA”.

Podczas dwudniowego muzycznego spotkania uczestnicy, jak zapowiadają organizatorzy, będą mogli nie tylko konsumować muzykę, ale też ją współtworzyć. Usłyszą nowe odsłony projektów dobrze znanych twórców, jak choćby: Dawida Podsiadło i Katarzynę Sochac-



Enter Enea Music Festival



Róisín Murphy wystąpi na Malta Festival

kiej, Kasperczyka i Kukona, Sokoła, Fiśza i Emade. Paulina Przybysz natomiast zagra utwory zespołu Bajm.

Nie zabraknie muzyki elektronicznej, dobrze znanej fanom festiwalu Audio-river. Na scenie Audioriver T-Mobile Electronic Beat pojawią się utwory elektro wraz z projektami prezentującymi się na scenie głównej.

Zorza to również platforma cyfrowa, na której przez cały rok pojawiać się będą premierowe single, teledyski i live sesje. Festiwalowe koncerty stanowią tu punkt wyjścia dla kolejnych działań artystycznych.

ENTER ENEA MUSIC FESTIWAL 15-18 czerwca 2025

Nad Jeziorem Strzeszyńskim, w otoczeniu zieleni i pod gołym niebem, w czasie najdłuższych dni w roku słuchacze Enter Enea Music Festiwal doświadczą jazzu w różnorodnych interpretacjach muzycznych. Dyrektor artystyczny wydarzenia, Leszek Możdżer zaprasza do świata muzycznych eksperymentów i poszukiwań, które otwierają drogę do świeżych dźwięków, dynamiki i nieoczekiwanych rozwiązań.

Na scenie gościć będą artyści debiutujący oraz tacy, z którymi jazzman spotkał się już kiedyś na światowych scenach, a których wymarzył sobie usłyszeć na żywo. Wydarzenie otworzy koncert kwintetu Blu/Bry, zamknie je zaś Leszek Możdżer wraz z orkiestrą Filharmonii Poznańskiej (George Gershwin Koncert F/Rhapsody in Blue). Pomiedzy tą klamrą w plenerowej przestrzeni wystąpią m.in. Anat Cohen Quartetinho, Kenny Garrett, Al Di Meola, Gniewomir Tomczyk „Perpetus” czy Yonglee & the DOLTANG.

POZNAŃ ROCK FESTIWAL 27-29 czerwca 2025

Obowiązkowe wydarzenie dla fanów gitarowych riffów, mocnych wokali i emocjonujących koncertów na najwyższym poziomie. Poznań Rock Festiwal to przestrzeń, w której spotykają się polskie i zagraniczne zespoły, prezentując zarówno klasyczne kawałki, jak i najnowsze brzmienia.

Czternaście zespołów w czasie trzech dni zabierze uczestników w podróż przez historię rocka. Nad Jeziorem Maltańskim w tegorocznej edycji ze sceny festiwalowej popłyną dźwięki Happysad, Kazika, Pidżamy Porno, Luxtorpedy, Farben Lehre i Wojtka Szumańskiego. Wystąpi zespół Hunter – z wyjątkowym koncertem z okazji 40-lecia istnienia zespołu, w towarzystwie chóru. Hubert „Spięty” Dobaczewski, były lider i wokalista Lao Che, dziś działający pod własnym szyldem, również zagości na scenie. Usłyszeć będzie można również zespół Dziwna Wiosna – jeden z najciekawszych alternatywnych zespołów ostatnich lat, oraz Swiernalisa – polskiego wokalistę scen niezależnych.

Organizatorzy przygotowali przestrzeń miasteczka festiwalowego tak, by można było znaleźć chwilę spokoju w strefie relaksu czy posilić się w części gastronomicznej.

DUETOMANIA 8-14 czerwca 2025

Duetomania, wydarzenie organizowane przez Atelier Muzyki Kameralnej, stawia sobie za cel szerzenie idei rozpowszechniania i przybliżania utworów instrumentalnych wykonywanych w niewielkich

muzycznych zespołach. Piąta edycja festiwalu ukazuje różnorodne brzmienia klasyki w formie interesującej zarówno dla koneserów muzyki klasycznej, jak i dla tych odbiorców, którzy w swoim codziennym repertuarze nie sięgają zbyt często do zasobów kultury wysokiej. Duety muzyków zaprezentują m.in. koncerty fortepianowe, wykonywane na skrzypce, akordeon, altówkę i wiolonczelę.

Między 9 a 11 czerwca usłyszeć będzie można utwory prezentowane w ramach IV Ogólnopolskiego Konkursu Młodych „Duetomania”. Konkurs przeznaczony jest dla twórców uczących się w szkołach muzycznych I i II stopnia oraz dla studentów i absolwentów do 30. roku życia i jest pierwszym konkursem na polskiej scenie muzycznej skierowanym do duetów o różnorodnym składzie instrumentalnym. W ramach wydarzenia przewidziano również warsztaty i wykłady dla uczestników.

MALTA 20-28 czerwca 2025

Festiwal Malta na dobre wpisał się w pejzaż Poznania. W tym roku przypada 35. jubileuszowa edycja. Malta od ponad trzech dekad gromadzi mieszkańców Wielkopolski i rzesze miłośników sztuki. Malta to jednak nie tylko teatr. Na festiwalu zagospozdą taniec, muzyka, sztuki wizualne, film oraz formy performatywne. Wydarzenie zaprojektowano z myślą o jego społecznym i inkluzywnym charakterze. Festiwal obecny jest na ulicach, placach, przestrzeniach publicznych, wychodzi do przechodniów i angażuje szeroką społeczność.



Festiwal fantastyki Pyrkon



Festiwal filmów Animator

→ Poznań w czasie tych dziewięciu dni stanie się dynamiczną artystycznie sceną, przestrzenią refleksji nad współczesnymi problemami: ekologii, polityki czy praw kobiet. Malta to również gwiazdy – w tym roku zobaczyć będzie można Tildę Swinton w spektaklu „Embodying Pasolini”. Sztuka jest hołdem dla słynnego włoskiego reżysera, Piera Paola Pasoliniego. Wystawiany raz do roku w wybranym miejscu na świecie spektakl będzie można zobaczyć wyłącznie w Poznaniu, od 20 do 23 czerwca. Agnieszka Smoczyńska i Anna Smolar przygotowują dwa premierowe spektakle we współpracy z Agnieszką Holland i nawiązujące do jej filmów – operę „Głos potwora” do obrazu „Europa, Europa”, natomiast „Kobieta samotna” pomyślana została jako reinterpretacja oryginału. Blok wydarzeń muzycznych niewątpliwie należeć będzie zaś do Róisín Murphy.

PYRKON

13-15 czerwca 2025

Pyrkon po raz trzydziesty trzeci zaprasza wszystkich wielbicieli świata fantasy do uczestnictwa w jednym z największych w Europie festiwali fantastyki. Na miłośników gier, filmów, komiksów czy literatury czekają prelekcje, konkursy, turnieje, wioski i stoiska tematyczne. Nie zabraknie koncertów i spotkań z twórcami. W czasie trzydniowego wydarzenia będzie można posłuchać m.in. Andrzeja Pilipiuka, Xawerego Żuławskiego, Olgi Niziołek, Radka Raka, a z zagranicznych gości choćby Sarę Pichelli, Dana Jonesa czy Denisa Lawsona znanego z roli pilota x-winga, Wedge'a Antillesa, w oryginalnej trylogii Star Wars.

Mnogość atrakcji, którą oferuje Pyrkon, została dla ułatwienia uporządkowana tematycznie. Uczestnicy festiwalu mogą wybierać m.in. spośród stref: literackiej, naukowej, filmowo-serialowej, gamingowej, komiksowej, mangi i anime czy cosplay. Konkurs cosplay „Maskarada” będzie jednym z ważniejszych punktów festiwalu fantastyki, a jego zwycięzcy zaprezentują Polskę na Extreme Cosplay Gathering 2026 w Paryżu.

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMÓW ANIMOWANYCH ANIMATOR

5-13 lipca 2025

Animator zajmuje najważniejsze miejsce na mapie wydarzeń poświęconych sztuce animacji. Od 2017 roku Animator jest również festiwalem kwalifikującym do nominacji Oscarowych. W czasie festiwalu pokazywane są dzieła całej plejady filmowców: Braci Quay, Billa Plymptona, Phila Tippetta, Geralda Pottertona, a z polskiego podwórka Witolda Giersza, Jerzego Kuci, Mariusza Wilczyńskiego czy Piotra Dumały.

Filmowa uczta rozłożona jest na konkursy towarzyszące festiwalowi: Międzynarodowy Konkurs Animowanych Filmów Krótkometrażowych, Międzynarodowy Konkurs Animowanych Filmów Pełnometrażowych, Międzynarodowy Konkurs Animowanych Seriali oraz Konkurs Polskich Filmów Animowanych. Dodatkowo uczestnicy mogą wybierać w programie spośród licznych warsztatów, programu dla dzieci (Animator Jutra), Animator Pro, czyli konferencji skierowanej nie tylko do ludzi z branży,

ale tych, którzy o pracy przy animacji marzą. Animator to 300 filmów z całego świata, w tym retrospektywy, przeglądy, premiery czy klasyki animacji. W programie znajdują się także sekcje związane z grami oraz wirtualną rzeczywistością.

MĘSKIE GRANIE 11-12 lipca 2025

Po ubiegłorocznej, 15. edycji i największej w historii Męskiego Grania trasie, latem 2025 r. ruszy kolejna odsłona wydawnictwa, które na stałe wpisało się w krajobraz lata. W Poznaniu, na dwóch scenach (Scena Główna i Scena Ż) usłyszeć będzie można m.in. Artura Rojka, Mrozu MTV Unplugged, Zalewski x T.Love, Miuosha, Zamiłską, Paktofonika + Live Band, Korcieza, Mystic 30. Organek oraz Marię Peszek i Natalię Przybysz.

Park Cytaśela w Poznaniu na dwa lipcowe dni stanie się centrum muzycznej przygody. Jak co roku na koniec każdej trasy Męskiego Grania wydawany jest album z wybranymi utworami prezentowanymi w czasie letnich koncertów. Wydarzeniu towarzyszy też coroczny premierowy utwór muzyczny będący hymnem aktualnej edycji festiwalu.

ENEA EDISON FESTIVAL 4-5 lipca 2025

Poza granicami Poznania, ale w jego niedalekiej odległości, nad Jeziorem Kierskim, w pierwszy lipcowy weekend rozpocznie się IV edycja festiwalu Enea Edison Festival. Ochrzczony mianem najlepszej podpoznańskiej domówki festiwal zaprosi na scenę Kasię Kowską, Pawła Domagałę, Zalię, Projekt WOW i Dominikę Płonkę.



MACIEJ CHOMIK

Enea Edison Festival



SEBASTIAN AUGUSTYN

Santander Letnie Brzmienia

Organizatorzy zadbałi również o fanów Katarzyny Nosowskiej, Grzegorza Turnausa czy Krzysztofa Zalewskiego. Usłyszeć będzie można Darię ze Śląska, laureatkę tegorocznego Fryderyka, która zaprezentuje utwory z albumu „Na Południu bez zmian”, pokazując, że lekkie brzmienia popu można łączyć z szorstkimi dźwiękami i świetnymi tekstami.

JAROCIN FESTIWAL

17-20 lipca 2025

Legendarny festiwal, będący odskocznią i powiewem wolności w czasach PRL, nadal jest obecny na mapie letnich muzycznych wydarzeń. Jarocin to cięższe brzmienia, jak punk rock czy heavy metal, ale na scenie jest miejsce również dla bluesa czy reggae. Jak informują organizatorzy: od punkowej poezji z Bradford, przez soul-rockową jazdę bez trzymanki, po undergroundową energię rodem z miejskich podziemi – to ostatnie elementy układanki Jarocin Festiwal 2025.

Na scenach wystąpi blisko 30 artystów, w tym New Model Army, kultowa brytyjska grupa, która zaprezentuje się z najnowszym albumem „Unbroken”. Będzie można usłyszeć również utwory m.in. Metro, Wirefall i Weży. Nie zabraknie dźwięków Comy, KSU, Kultu, Myslovitz, a także Kobranocki czy Dziadów Kapitana Klossa.

BITTER SWEET FESTIVAL

14-16 sierpnia 2025

Bitter Sweet Festiwal to nowość wśród letnich wydarzeń festiwalowych. Pierwsza edycja odbędzie się w Parku Cyta-
dela i, jak zapowiadają organizatorzy,

Bitter Sweet chce być czymś więcej niż festiwal. W Poznaniu ma powstać przestrzeń, w której nostalgia spotyka się z nowoczesnością, tworząc mieszaną inspiracji i wspomnień. Druga połowa sierpnia nieuchronnie przybliży nas do momentu domknięcia letniego czasu, zatem na przekór nadchodzącej melancholii, koncertowe sceny w parku Cyta-
dela rozbrzmia radosnymi nutami. Taco Hemingway, Nelly Furtado, Peggy Gou, Jan-rapowanie czy Duke Dumont to tylko kilka nazwisk z całej plejady artystów, którzy zagrają w czasie trzech sierpniowych dni.

ROCKOWIZNA

22 sierpnia 2025

The Exploited, szkocka legenda punk rocka, Clawfinger – szwedzki zespół grający rapcore, Fun Lovin' Criminals – alternatywny hip-hopowy band z nowojorskich scen, popularny rockowy Happysad, Flapjack – poznański zespół wykonujący trashmetal, kultowy punk rockowy KSU z Ustrzyk Dolnych zagrają 22 sierpnia na terenach poznańskiego lotniska Ławica.

Rockowizna zabiera uczestników wydarzenia w muzyczną podróż od klasycznych rockowych brzmień po współczesne eksperymentalne kawałki. Na scenie pojawi się również legenda polskiego heavy metalu – Acid Drinkers. Po 26 latach zespół powróci w pierwotnym składzie: Titus, Litza, Popcorn i Ślimak.

Do dyspozycji uczestników przygotowano pole namiotowe i strefy gastronomiczne, które zapewnią przestrzeń do odpoczynku i naładowania energii w czasie muzycznego wieczoru.

YELLO POZNAŃ

22-23 sierpnia 2025

Nad Jeziorem Maltańskim, w czasie dwóch wakacyjnych dni, na dobre za gości rap. Silny rytm, taneczna muzyka i energia uczestników wydarzenia to niezbędne składniki festiwalowego przeżycia. Malta rozbrzmi dźwiękami młodych głosów, wśród których pierwszego dnia znajdą się Vkie, Gedz, Young Multi, Żabson, Szpaku, Chivas. Natomiast w sobotę uczestnicy wydarzenia usłyszą ze sceny Szarana, Aleshen, Otsochodzi, Kukona, Pro8l3m i Okiego. Końcówka lata dzięki energetycznemu muzycznemu akcentowi pozwoli trochę dłużej cieszyć się beztroską.

SANTANDER LETNIE BRZMIENIA

29-30 sierpnia 2025

Na zakończenie letniej trasy, po koncertach w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie i Gdańsku, Santander Letnie Brzmienia pożegna lato w Poznaniu. Koncerty HEY, Edyty Bartosiewicz, MROZA, Katarzyny Sochackiej, Zalewskiego, COMY, Ani Dąbrowskiej, Natalii Szroeder, Meli Koteluk, Piotra Roguckiego, jucho, Wiktora Dyduły, Zalii i LOR przyniosą zarówno klasyczne brzmienia uznanych polskich gwiazd świata muzycznego, jak również nowe wizje muzyczne młodych i niezależnych twórców. Na słuchaczy festiwalu czekają również atrakcje w postaci silent disco i projektu specjalnego Santander Letnie Brzmienia BABIE LATO. W jego składzie wystąpią Margaret, Zalia i Sara James. Dobrej zabawy!

© KINGA DAWIDOWICZ

PRAWOSŁAWNA ALASKA

KACPER DZIEKAN Z ALASKI (USA)

Najbardziej trwałym dziedzictwem Rosji na amerykańskiej Alasce jest Cerkiew, która wrosła w tutejszy krajobraz. Ale dziś, w dobie wojny Putina, rosyjskie korzenie ciążą przynajmniej części jej wiernych.



TRZYSTA LAT TEMU, W 1725 R., CARSKA Rosja zaczęła wyprawy w celu eksploracji i eksploatacji swoich wschodnich granic i zbadania połączenia między Azją a Ameryką. Dalsze lata przyniosły wiele odkryć (tj. odkryć z punktu widzenia kolonizatorów), w tym cieśninę łączącą oba kontynenty. Nazwano ją na cześć Vitusa Beringa, dowódcy tych wypraw.

Już pod koniec XVIII w. carscy koloniści założyli w Ameryce szereg osad, fortów i punktów handlowych. Utrzymywali je aż do sprzedaży całej amerykańskiej kolonii w 1867 r. Stanom Zjednoczonym.

Dziś na Alasce ok. 5 proc. ludności to prawosławni; jest tu ponad 80 prawosławnych parafii. Wiele z nich założono po II wojnie światowej, część już w XXI w.

PÓŁWYSEP KENAI | Wiele cerkwi na Alasce ma dziś wartość historyczną. Do tych najstarszych należy cerkiew Zaśnięcia Matki Bożej w miasteczku Kenai, na półwyspie o tej samej nazwie. Pierwszy kościół zbudowano tu w 1849 r., a obecny ukończono w 1896 r. To jeden z najstarszych budynków na Alasce. Opiekę nad nim (i innymi cerkwiami) sprawuje organizacja Russian Orthodox Sacred Sites in Alaska.

Za sprawą braku konserwacji, przez cały wiek XX cerkiew stopniowo niszczała. Dorothy Gray, przewodnicząca zarządu organizacji, wylicza: – Zaangażowałam się w tę organizację w 2008 r., gdy prowadzono restaurację kościoła. Ustabilizowaliśmy zdegradowane ściany z bali, zabezpieczyliśmy budynek na jego fundamencie, wykonaliśmy wejście dla niepełnosprawnych.

Dziś budynek jest w dobrej formie. W czasie najważniejszych świąt, jak Wielkanoc, jest pełen. – Podczas nocnych nabożeństw świątecznych cerkiew jest oblegana! Ludzie nie mieszczą się w środku, a dzieci szukają kąta na podłodze, żeby się zdrzemnąć – dodaje Dorothy.

ŚWIĄTECZNY MIKS | Tegoroczna Wielkanoc potwierdza jej słowa. Uczestniczę w nabożeństwie, które zaczyna się w Wielką Sobotę o 23.30 i trwa niemal do wielkanocnego poranka. Kenai liczy 7 tys.

*Cerkiew Przemienienia Pańskiego
w miejscowości Ninilchik.
Alaska, 30 kwietnia 2025 r.*

mieszkańców. Dorothy wspomina, że pojemność cerkwi to 60 osób. Gdy wchodzę tuż przez rozpoczęciem mszy, trudno jest się wcisnąć. Dzieci rzeczywiście szukają sobie miejsca na podłodze, by uniknąć wielogodzinnego stania.

Na stołach pod ścianą zebrano kosze z potrawami świątecznymi. Po nabożeństwie zostaną poświęcone, a następnie wszyscy zgromadzeni przeniosą się na wspólną ucztę do budynku obok. Słyszę, że to tradycja charakterystyczna dla małych miejscowości z obszarów prawosławnych. Potrawy w koszykach to wielokulturowy miks, obok tradycyjnych wschodnioeuropejskich kulicza (tj. baby wielkanocnej) i paschy pyszną się hot-dogi. Całości dopełniają pisanek.

PARAFIA SIĘ ZMIENIA | Nabożeństwo odbywa się głównie po angielsku. Część pieśni wykonywanych jest w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, a świąteczne pozdrowienia także po grecku, rosyjsku oraz w języku Dena'ina – ludności rdzennej półwyspu Kenai.

Ci ostatni stanowili wcześniej trzon parafii, teraz są jednak mniejszością. Opowiada John Messick, który dołączył do parafii w 2015 r.: – Wychowałem się w tradycji prawosławnej w tzw. „dolnych 48 stanach” [tak mieszkańcy Alaski określają zasadniczą część USA – red.]. Zajęło mi dużo czasu, by się przyzwyczaić do nowego doświadczenia kulturowego.

– Historycznie była to cerkiew Dena'ina, wielu ludzi z tego ludu angażowało się w życie wspólnoty – mówi Messick. – W ostatnich pięciu latach dołączyły osoby bez rdzennego pochodzenia. Ponieważ parafia jest mała, regularnie na nabożeństwa uczęszcza ok. 20 osób, zmieniło to jej strukturę demograficzną. Nowo przybyli są zainteresowani prawosławiem z powodów duchowych i nie mają związku z tamtą tradycją. To zmieniło atmosferę w świątyni.

CYRYLICA I ŁACINKA | Podobne zmiany widać w innych miejscach Alaski, gdzie wcześniej życie cerkiewne było domeną ludności rdzennej.

Diakon Anthony Lekanof pochodzący z St. George, wyspy w archipelagu Pribyłowa zamieszkanego przez ludność Unangan (zwaną też Aleutami), wspomina: – Główna część nabożeństw u nas była odprawiana w staro-cerkiewno- ➔

→ słowiańskim. Parafia św. Pawła, na sąsiedniej wyspie, miała bardziej rdzenne podejście do liturgii, dlatego zaczęto wprowadzać więcej języka aleuckiego. Angielski na szerszą skalę pojawił się dopiero na początku XXI w.

Dziś Anthony mieszka na wyspie Kodiak, gdzie kończy seminarium duchowne. Lokalną parafię, przez lata zdominowaną przez ludność Alutiiq (zwaną też Sugpiaq), dziś tworzą głównie konwertyci. To duża zmiana kulturowa dla Alaski.

CIĄGŁOŚĆ CERKWI | Większość seminarzystów wywodzi się jednak nadal z rdzennej ludności Yupik. Choć ziemie ludu Yupik nie były pod rosyjskim panowaniem, rozwój prawosławia sprawił, że i tam stało się dominującym wyznaniem. Potem, dzięki izolacji ich wiosek, najsilniej zachowali swoją kulturę i prawosławne wyznanie przez dekady narzucanej mieszkańcom Alaski amerykanizacji.

Podczas obiadu z seminarzystami, w środę po Wielkanocy, przekazują oni sobie życzenia świąteczne po angielsku, rosyjsku oraz w języku Yupik. Na ścianach wiszą liturgiczne teksty w językach Alutiiq i Yupik, cyrylicą oraz łacinką.

Jak wspominał John Messick, prawosławie długo było związane z rdzennymi kulturami Alaski. Gdy kolonia została sprzedana USA, większość rosyjskich osadników ją opuściła, została za to znaczna część Kreoli, osób pochodzenia rosyjsko-rdzennego. Nosili rosyjskie imiona i nazwiska, i byli wyznania pra-



KACPER DZIEKAN

Potrawy w koszykach to wielokulturowy miks,
obok tradycyjnych pisanek,
kulicza i paschy
pysznią się hot-dogi.

wosławnego. To oni przez kolejne dekady stanowili zasadniczą część parafian i zapewnili ciągłość Cerkwi. Wielu rdzennych mieszkańców otrzymywało też na chrzcie rosyjskie imiona, które do dziś są wśród nich powszechne.

TROCHĘ HISTORII | Rosyjska kolonizacja przyniosła rdzennej ludności zniewolenie, cierpienie, wyzysk, epidemie, głód, utratę kultury, a niekiedy prowadziła niemal do zagłady. Jednak prawosławie w dużej mierze zostało zaakceptowane i uznane za część tożsamości. Nie bez znaczenia był tu fakt, że część przysłanych przez Rosję duchownych stanowili przedstawiciele etnicznych grup Syberii, niektórzy kulturowo bliscy plemionom Alaski.

Prawosławni duchowni – a przynajmniej część z nich – uczyli się lokalnych języków, tłumaczyli na nie teksty liturgiczne. Starali się też powstrzymać brutalność urzędników z Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej, która zarządzała kolonią.

Po 1867 r. sprzedaż Alaski nie zmieniła zasadniczo sytuacji prawosławnych. Petersburg nadal finansował cerkiew, przysyłał duchownych i starał się oddziaływać na edukację. Ułatwiał to fakt, że w pierwszych dekadach po zakupie władze USA w ograniczonym stopniu kontrolowały różne aspekty życia. Edukacją – zwłaszcza w tak oddalonych miejscach jak Kenai – wciąż zajmowali się prawosławni duchowni, którzy uczyli po rosyjsku.

Z czasem część zajęć zaczęła się odbywać po angielsku, rosyjski wciąż utrzymywał się jednak jako język liturgii (używano staro-cerkiewno-słowiańskiego bądź lokalnego wariantu rosyjskiego) i życia codziennego. W miejscowości Niniłchik, jednej z dawnych osad rosyjskich, jeszcze w początkach XXI w. ludność (w większości potomkowie Kreoli) posługiwała się na co dzień archaiczną wersją rosyjskiego. Prawosławnych próbowali za to zwalczać misjonarze protestanccy przysyłani na Alaskę przez Waszyngton.

EWOLUCJA | Choć więc chrześcijańskie misjonarstwo było głęboką interwencją we wspólnoty żyjące na swoich zasadach od tysięcy lat, a prawosławie przyczyniało się do zaniku lokalnych kultur, to w porównaniu do brutalnie wynaradawiających misjonarzy protestanckich ci prawo-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

„Codziennie mamy po 4-5 zwykłych operacji ludzi rannych w twarz. Ponadto raz lub dwa razy w tygodniu prowadzimy operację pełnej rekonstrukcji twarzy, ona trwa zwykle kilkanaście godzin. Moglibyśmy więcej, ale nie mamy dość sprzętu” – mówił nam Otto-Kristian Reininger, 24-letni lekarz-rezydent na Oddziale Chirurgii Szczerkowo-Twarzowej szpitala w Kijowie (jest Ukraińcem o węgierskich korzeniach).

Oddział Otta otrzymał koagulator, aparat do poważnych operacji, który zawieźliśmy na Ukrainę pod koniec kwietnia w naszym kolejnym transporcie (podał nam go czytelnik, który produkuje takie aparaty). Mieliśmy też 15 mobilnych agregatów i jeden mocniejszy agregat, który zasilą dziś szpital polowy na zachód od Pokrowska.

Łącznie od jesieni 2024 r. w naszych trzech transportach zawieźliśmy na Ukrainę 65 agregatów i stacji zasilania, 5 koagulatorów i inne materiały medyczne, razem 4,5 tony pomocy. Te dary czytelniczek i czytelników „Tygodnika” trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych i jednostek frontowych. „Dziękujemy za ten świetny aparat, będzie służyć codziennie w każdej operacji” – mówi Otto.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sądiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotówkach:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sądiedzka.

www.inicjatywasasiedzka.org

(darowiznę można odliczyć od podatku)

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sądiedzka



MARK RALSTON / AFP / EAST NEWS

Nabożeństwo wielkanocne w cerkwi Świętej Zofii w Bethel. Alaska, 17 kwietnia 2019 r.

sławni lepiej zapisali się w pamięci. Tym bardziej że z czasem coraz więcej duchownych wywodziło się z ludności rdzennej.

– W ciągu XX w. Cerkiew przeszła ewolucję: od bycia jedną z najbardziej wpływowych instytucji na Alasce do znaczącej roli już tylko w izolowanych wioskach rdzennej ludności, z którą zaczęła się kojarzyć – mówi dr Shana Loshbaugh, która bada lokalną historię.

Druga połowa XX w. przyniosła Alasce znaczące zmiany. W ramach tzw. *Homestead Act* zaczęli przybywać coraz liczniej osadnicy z USA i imigranci. Wśród tych ostatnich byli też prawosławni, jak Dorothy Gray. – Moi dziadkowie byli rusińskimi imigrantami ze Słowacji – wspomina. – Wychowałam się w kościele prawosławnym w stanie Nowy Jork, a w 1978 r. przeprowadziłam się do Kenai. Zaczęłam chodzić do tutejszej cerkwi, za interesowały mnie jej związki z rdzenną społecznością i rosyjską historią w tle.

NA ILE ROSYJSKA? | Rosyjskość Cerkwi pozostała jednak w jej nazwie, która może budzić konsternację: stosowanym powszechnie na Alasce określeniem jest

„Rosyjski Kościół Prawosławny”, choć od ponad stu lat jest ona niezależna od Patriarchatu Moskiewskiego.

Po objęciu władzy przez bolszewików w 1917 r. wszelkie związki – finansowe, personalne i organizacyjne – z Rosją zostały zerwane. Powołano Rosyjski Prawosławny Grekokatolicki Kościół w Ameryce (dziś zwany Kościołem Prawosławnym w Ameryce), który w 1924 r. oficjalnie oddzielił się od Rosji, co zostało uznane przez Związek Sowiecki w 1970 r.

Dziś rosyjskie dziedzictwo ciąży części parafian. Dorothy Gray zapewnia, że w ostatnich latach w trakcie nabożeństw modlą się za mieszkańców Ukrainy i za sprawiedliwy pokój dla niej. Wspomina, że część parafian przestaje używać określenia „rosyjska” wobec swojej Cerkwi. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę Kościół Prawosławny w Ameryce opublikował też oświadczenie potępiające tę agresję.

OBRAZ | W trakcie wielkanocnego nabożeństwa w Kenai modlitw za Ukrainę nie było, ograniczono się do błogosławieństw władz lokalnych i państwowych USA.

Za to w budynku dawnej szkoły cerkiewnej, gdzie odbywa się potem wspólnotowa wieczerza, na ścianie wisi ciekawy obraz: z 1988 r., upamiętniający 1000-lecie chrztu Rusi. Co ciekawe, na obrazie znajduje się napis: „988 – Ukraine – 1988”. Odwołuje się on zatem jednoznacznie do ukraińskiego dziedzictwa Rusi Kijowskiej, co dziś jest przedmiotem historycznego i politycznego sporu pomiędzy Ukrainą a Rosją. Co więcej, Ukraina w nazwie występuje tu bez zwyczajowego połączenia z Rosją, co w tym wypadku nie pozostawia wątpliwości interpretacyjnych: dla autora obrazu spadkobierczynią tamtej Rusi jest Ukraina.

Kościół Prawosławny w Ameryce łączy w sobie różne tradycje prawosławne, również tę ukraińską. Być może dzięki temu jego członkowie – a przynajmniej ich część – rozumieją, w przeciwieństwie do prezydenta ich kraju, kto jest ofiarą, a kto sprawcą w wojnie prowadzonej przez Putina.

© KACPER DZIEKAN

Autor pracuje na Uniwersytecie Concordia w Montrealu, zajmuje się badaniem pamięci o rosyjskiej kolonizacji Ameryki w ramach programu *Thinking Through the Museum*.

TAJEMNICA DŁUGOWIECZNOŚCI

Genetyczna loteria, nawyki i styl życia, warunki społeczne, epidemie, poziom opieki zdrowotnej – co w największym stopniu wpływa na długość naszego życia?

I co w tym zakresie zależy od nas samych?

BARTOSZ KABAŁA

LUDZKA POTRZEBA DŁUGIEGO I ZDROWEGO życia jest zrozumiała. Chcielibyśmy mieć pełną kontrolę nad swoim ciałem i zaplanować satysfakcjonujące, stuletnie życie. Trudno jednak zapanować nad czymś, czego do końca nie rozumiemy.

Choć medycyna poprawiła jakość życia, wydłużyła średni czas jego trwania, choć rozumiemy mechanizmy wielu chorób, odkryliśmy przyczyny plag i odczytaliśmy kilometry linii kodu genetycznego, to gęstość połączeń i złożoność zależności wciąż wydaje się zakrywać przed nami odpowiedź na pytanie o to, co determinuje nasze zdrowie, a przez to długość i jakość życia. Czy to my sami przedziemy nić życia, wyznaczamy jej długość, a potem własnymi decyzjami kumulowanymi przez cały ten czas ją przecinamy? A może wszystko zapisane jest w genach, a my musimy tylko wypełnić tę nukleotydową przepowiednię? Geny czy styl życia? Natura czy kultura? A może coś innego?

Determinanty zdrowia podlegają zmianom, zależne są od stanu wiedzy i możliwości technologicznych. Mają różne znaczenie w czasie pandemii, konfliktów zbrojnych czy katastrof naturalnych.

*IV Warszawska Olimpiada Seniorów.
Warszawa, 24 września 2022 r.*

JOANNA SKŁADANEK / FORUM



Zdrowie ludzi żyjących w czasach przed odkryciem chorobotwórczej roli patogenów, rozwojem higieny i erą antybiotyków zależało od innych czynników niż współcześnie. Dobrą cezurą dla „naszych” czasów będzie rok 1974 i publikacja raportu kanadyjskiego ministra zdrowia Marca Lalonde’a, który zresztą zapoczątkował debatę na ten temat.

Geny, nawyki, środowisko i medycyna

Raport powstał w czasach dynamicznego rozwoju medycyny i ochrony zdrowia. Na Zachodzie po wojnie powstają odpowiednie instytucje (m.in. National Health Service w Wielkiej Brytanii) i rosną wy-

datki na zdrowie. W latach 60. w Wielkiej Brytanii, Szwecji i Niemczech wynosiły one 2-3 proc. PKB, a już dwadzieścia lat później – dwa razy więcej. Wiele wcześniej niedostępnych metod i leków było stosowanych coraz powszechniej, przeprowadzono też przełomowe operacje, m.in. przeszczepienia narządów (nerki w 1954 r. czy serca w 1967 r.). Medycyna trafiła pod strzechy.

Lata 60. i 70. to także czas przełomowych badań, które ustaliły na lata schematy postępowania w leczeniu i prewencji wielu chorób. To wtedy pojawiają się publikacje (na podstawie wieloletnich badań populacji amerykańskiego Framingham) wskazujące na

związek chorób sercowo-naczyniowych z tłustą dietą, wysokim stężeniem cholesterolu i wysokim ciśnieniem tętniczym. Zdrowsze i dłuższe życie powiązano z unikaniem palenia tytoniu, spożywania alkoholu, regularnymi ćwiczeniami, odpowiednią ilością snu, utrzymaniem prawidłowej masy ciała (kluczowych wyników dostarczyły badania mieszkańców hrabstwa Alameda w Kalifornii). W styczniu 1964 r. naczelnny lekarz USA Luther Terry opublikował przełomowy raport, który wiązał palenie tytoniu z występowaniem raka płuc, zapaleń płuc i chorób serca. Terry rzucił palenie kilka miesięcy przed publikacją dokumentu.

→



→ W ciągu kilkudziesięciu lat zmieniły się główne przyczyny zgonów – choroby zakaźne udało się opanować odpowiednią higieną, szczepieniami i antybiotykami, ograniczono śmiertelność okołoporodową, a na pierwszy plan wysuwały się choroby serca i nowotwory, trudniejsze i droższe w leczeniu.

W tych okolicznościach powstawał raport „Nowej Perspektywy dla Zdrowia Kanadyjczyków” autorstwa Lalonde’a, w którym po raz pierwszy jednoznacznie podkreślono wagę interwencji niezwiązanych bezpośrednio z medycyną szpitalną na zdrowie społeczeństwa. We wstępie minister pisał o tym, jak zmieniły się zdrowotne potrzeby kanadyjskiego społeczeństwa. Ogromny rozwój gospodarczy, społeczny i naukowy poczyniony przez trzy dekady pokoju w świecie zachodnim przyniósł wiele negatywnych efektów ubocznych: zanieczyszczenie powietrza, nadużywanie alkoholu i narkotyków, palenie tytoniu i nieprawidłową dietę. „Wobec środowiskowych i behawioralnych zagrożeń dla zdrowia system opieki zdrowotnej jest bezradny” – zauważył Lalonde i dodał, że medycy zajmują się w głównej mierze chorobami wywołanymi przez odwracalne czynniki środowiskowe oraz niebezpieczne zachowania.

W kolejnych rozdziałach twórcy raportu przedstawili koncepcję zdrowia jednostki i społeczeństwa. Wyróżnili w niej cztery obszary („pola zdrowotne”) – biologia i genetyka, środowisko, styl życia oraz organizacja opieki zdrowotnej. Polem działania, na które mamy mieć największy wpływ, jest styl życia, a za jego zmianę odpowiada społeczeństwo, które jednak trzeba do tego zachęcić i odwieść od szkodliwych zachowań. Ta koncepcja zaowocowała wyłonieniem się z nauk medycznych ruchu promocji zdrowia.

Ile papierosów pali stulatk

Celem raportu Lalonde’a było uświadomienie społeczeństwu, że to nie kolejne miliony dolarów na ochronę zdrowia zapewnią im długie życie, ale codzienne decyzje podejmowane w sklepie, w kuchni i salonie. Z punktu widzenia państwa (zmagającej się z rekordową inflacją

i skutkami kryzysu naftowego Kanadą) przesunięcie odpowiedzialności za zdrowie na społeczeństwo było też zdecydowanie tańsze. Łatwiej (i taniej) zapobiegać niż leczyć.

Kolejni eksperci i badacze kilkakrotnie podejmowali próby procentowego oszacowania udziału poszczególnych determinantów zdrowia – np. styl życia miałby odpowiadać za 50 proc., a opieka medyczna za 10 proc. zdrowia populacji. To jednak mało konkretne informacje, a szacunki pozostawały wyłącznie orientacyjne i często odzwierciedlały poglądy autora. Zwłaszcza że niektóre z wymienionych w raporcie Lalonde’a czynników, jak czynniki genetyczne, nie były wówczas w pełni poznane.

Nasuwa się pytanie, czy współcześnie da się oszacować, w jakim procencie nasze zdrowie i długość życia zależy od genów, a w jakim od stylu życia? I czy możemy w pełni kontrolować stan naszego organizmu?

Zdarza się, że natura sama projektuje badania naukowe. Bliźnięta jednojajowe mają identyczny materiał genetyczny, ale mogą podlegać różnym czynnikom zewnętrznym. Jeśli więc geny determinują nasze predyspozycje do zapadania na choroby, to obserwując bliźnięta będziemy w stanie te wrodzone predyspozycje wychwycić.

W 1995 r. naukowcy z Uniwersytetu w Odense opublikowali jedno z pierwszych badań podejmujących to zagadnienie. Do analizy włączono ponad 2800 par bliźniąt jedno- i dwujajowych urodzonych w latach 1870-1900 i oceniano długość ich życia według dostępnych rejestrów. Okazało się, że długość życia wśród bliźniąt jednojajowych (identycznych genetycznie) była bardziej zbliżona niż u bliźniąt dwujajowych, co potwierdza udział czynników dziedzicznych w długości życia. Ich wpływ oceniono na 26 proc. u mężczyzn i 24 proc. u kobiet, a pozostałe ok. 75 proc. to czynniki środowiskowe.

Ta analiza pokazała jeszcze jedną zależność – wpływ czynników genetycznych na długość życia jest znacznie większy u osób powyżej 85.-90. roku życia. Prozdrowotne zachowania mają przeważający wpływ na długość życia do 85. roku,

później są mniej istotne. Innymi słowy: aby dożyć blisko setki i dłużej, trzeba wygrać na genetycznej loterii. To tłumaczy, dlaczego pytani przez media o receptę na zdrowe i długie życie stulatkowie tak często mówią o kieliszku wina dziennie, ulubionych papierosach i spotkaniach z przyjaciółmi, a nie o badaniach przesiewowych, warzywach i suplementach diety. To nie zdrowe nawyki wpływają na ich bardzo długie życie.

Oszukać genetyczną klątwę

Za ponadprzeciętnie długie życie odpowiadać muszą czynniki genetyczne, które na różne sposoby pozwalają unikać typowych chorób cywilizacyjnych, przypadkowych mutacji powodujących choroby nowotworowe, demencji i innych częstych przyczyn pogorszenia stanu zdrowia i śmierci. Dzięki badaniom asocjacyjnym całego genomu (określanym skrótowo z języka angielskiego GWAS), w których porównuje się materiał genetyczny osób z daną cechą (np. nadciśnieniem) do grupy kontrolnej (zdrowej), szukając genetycznych odmienności, odkryto wiele potencjalnych czynników służących długowieczności, wśród nich molekularne ścieżki odpowiadające za naprawę DNA, metabolizm cholesterolu, reakcje immunologiczne i inne.

Nie ma jednak pojedynczego genu długowieczności ani takiego, który ochroni przed większością plag znanych współczesnej medycynie. Ale predyspozycja do wystąpienia pewnych zjawisk w organizmie jest faktem, a odpowiada za nią konstelacja wielu genów uzyskanych od naszych rodziców i ich przodków. Część z nich będzie sprzyjała długowieczności i chroniła nas przed chorobami – a część wręcz przeciwnie. Nie mówimy tu oczywiście o chorobach genetycznych, w przypadku których pojedyncze mutacje mogą diametralnie wpłynąć na funkcjonowanie organizmu.

I choć podobno „genu się nie wydłubie”, to badania sugerują, że te niekorzystne efekty możemy przytłumić i oszukać genetyczną klątwę. Chińsko-brytyjski zespół badaczy opierając się na ogromnej bazie danych UKBioBank dowiódł, że nawet 60 proc. genetycznych predyspozycji do krótszego życia można ograniczyć przy pomocy odpowiedniego stylu życia. W badaniu oceniono populację ponad 350 tys. osób, którą pogrupo-

wano pod względem genetycznych czynników prognozujących długie lub krótkie życie oraz zdrowego i niezdrowego stylu życia. Grupa osób z predyspozycją do krótkiego życia mogła przy pomocy zdrowej diety, aktywności fizycznej, unikania tytoniu i odpowiedniej ilości snu zwiększyć przewidywaną długość życia o średnio 5 lat. W podobnym badaniu, na populacji amerykańskiej, posiadanie pięciu czynników ochronnych (czyli zdrowa dieta, brak otyłości, umiarkowane spożycie alkoholu, aktywność fizyczna i unikanie tytoniu) wydłużało życie o 14 lat u kobiet i 12 u mężczyzn.

Wydaje się, że wszystko (albo przynajmniej znacząca większość) jest w naszych rękach. Długie i zdrowe życie to efekt wielu decyzji, które podejmujemy każdego dnia. Człowiek może uczynić sobie czas poddanym, jeśli tylko zmieni dietę, ruszy z fotela i rzuci używki w ką. Ale czy na pewno?

Co dolega brytyjskim urzędnikom

Koncepcja Lalonde'a została powszechnie przyjęta i legła u podstaw wielu późniejszych dokumentów podnoszących problem zdrowia publicznego, ale jej wykorzystanie przez rządzących w wielu państwach było krytykowane za wybiórność. Wyraźne stawianie akcentu na styl życia jako główny czynnik determinujący zdrowie społeczeństwa przyćmiło pozostałe determinanty zdrowia.

Kanadyjski raport idealnie wpisał się w ducha swoich czasów. Za rogiem czekała neoliberalna rewolucja w polityce i ekonomii zarządzana przez prezydenta Reagana i premier Thatcher. Kapitalizm i globalizacja obejmowały coraz większe obszary planety. Państwo wycofujące się z wielu obszarów polityki społecznej, prywatyzacja, deregulacja i sprzyjanie wielkiemu biznesowi. Naturalną konsekwencją tych idei wydaje się więc również prywatyzacja opieki zdrowotnej, przekształcenie pacjenta w klienta i wreszcie przezczenie odpowiedzialności za zdrowie z państwa na jednostkę. Zdrowie (jak bogactwo) ma być postrzegane jako decyzja, wybór człowieka, a choroba (i nędza) jest jego winą i skutkiem osobistych zaniedbań – nieprawidłowej diety, braku ruchu, korzystania z używek.

Wpływ poszczególnych czynników na ludzkie zdrowie nie jest stały w czasie. Pojawiają się różnice, nad którymi nie mamy



PRESSMASTER / SHUTTERSTOCK

Warto chcieć żyć

W ANKIECIE przeprowadzonej w latach 90. w Japonii wśród mieszkańców prefektury Miyagi 55 proc. osób badanych chciałoby dożyć 80 lat – tyle wynosiła wówczas średnia długość życia w Japonii; ponad 33 proc. chciałoby żyć tak długo, jak to możliwe, a pozostali nie przeszkadzałoby życie krótsze niż średnia.

BADACZE prześledzili dalsze losy tej populacji: w grupie, która nie planowała długiego życia, śmiertelność była znacząco wyższa, częściej niż u reszty występowały nowotwory, choroby sercowo-naczyniowe i samobójstwa.

PLANOWANĄ DŁUGOŚĆ ŻYCIA w wieku średnim można więc uznać za czynnik prognostyczny chorób i zgonów. © BK

pełnej kontroli. Długość i jakość naszego życia określają czasy, w których żyjemy, przynależność pokoleniowa, a także miejsce urodzenia i warunki egzystencji. Spożycie alkoholu i liczba osób otyłych rośnie najszybciej w państwach o średnim i niskim dochodzie. W tych regionach mogą jednocześnie występować niedożywienie i otyłość związana z dostępem do taniej i wysoko przetworzonej żywności. Puste kalorie są niedrogie i łatwo dostępne, ale nie zabezpieczają w pełni potrzeb człowieka. Nierówności ekonomiczne wywołują nierówności zdrowotne.

Widąc to nie tylko wówczas, gdy porównamy tak skrajnie odmienne państwa jak Somalia i Szwajcaria. Już stosunkowo niewielkie nierówności ekonomiczne czy

położenie w hierarchii społecznej bogatych państw Zachodu różnicują ludzi pod względem zdrowia i długości życia.

W latach 60. XX w. naukowcy z University College London pod kierunkiem Goeffreya Rose'a postanowili przebadąć wszystkich pracowników londyńskiego Whitehall, czyli ulicy i kilku dochodzących do niej przecznicy, przy których zlokalizowane są siedziby najważniejszych brytyjskich ministerstw. Populacja pracowników Civil Service, podobnie jak całe brytyjskie społeczeństwo, była mocno zhierarchizowana. Wyższe szczeble zajmowały osoby lepiej wykształcone, często o „szlachetniejszym” pochodzeniu i bardziej uprzywilejowane. Jednocześnie im wyższy szczebel kariery w Whitehall, tym większy zakres obowiązków i większa odpowiedzialność. Grupa badanych obejmowała 18 tys. mężczyzn od gońców i odźwiernych po stałych sekretarzy, czyli najważniejszych po ministrze urzędników. Badano początkowo głównie czynniki zdrowotne odpowiadające za występowanie cukrzycy, chorób serca oraz ogólną liczbę zgonów.

Dopiero w późnych latach 70., gdy stery projektu przejął epidemiolog Michael Marmot, zwrócono uwagę na czynniki społeczne i psychologiczne. Robocza hipoteza była taka: osoby na wyższych stanowiskach są obciążone większą odpowiedzialnością, a więc i większym stresem, pracują dłużej i ciężiej, a to wszystko musi powodować większą liczbę chorób serca i zgonów. Wyniki były zupełnie odwrotne.

Kod pocztowy kontra kod genetyczny

Badanie Whitehall, którego druga, bardziej rozbudowana odsłona trwa do dziś, ujawniło, że jednym z głównych czynników wpływających na zdrowie jednostki jest położenie w drabinie społecznej, a co za tym idzie poziom zarobków, wykształcenie, stres, przywileje. Im niższa ranga w Whitehall, tym częściej występowały choroby serca, nadciśnienie tętnicze, choroby płuc, nowotwory itp., większa była ogólna śmiertelność oraz krótszy przewidywany czas życia. Nawet po wykluczeniu tak istotnych czynników jak niezdrowa dieta i palenie tytoniu, ryzyko zgonu pracowników Whitehall rosło odwrotnie do zajmowanych szczebli drabiny społecznej.

→ Te wszystkie czynniki – status społeczny, zatrudnienie, wykształcenie, pochodzenie, miejsce zamieszkania – określa się zbiorczo społecznymi determinantami zdrowia. Światowa Organizacja Zdrowia uznaje je obecnie za jedno z głównych źródeł nierówności w zdrowiu, zarówno w państwach globalnego Południa, jak i wysoko rozwiniętych. Różnice w przewidywanej długości życia i ogólnej śmiertelności są znaczące, gdy porównujemy populację jednego państwa pod względem dochodów, wykształcenia, formy spędzania wolnego czasu. Nawet dzielnica, w której mieszkamy, może prognozować zdrowie i długość życia. Kilka przecznic na zachód lub południe może wydłużyć życie o przeszło ćwierć wieku. Stąd powiedzenie, że kod pocztowy jest ważniejszy niż kod genetyczny.

Dobrym przykładem są amerykańskie aglomeracje. Z danych przedstawionych przez Uniwersytet Nowojorski w 2019 r. wynika, że w poszczególnych dzielnicach Chicago różnica w średniej długości życia sięga nawet 30 lat, w Nowym Jorku, Waszyngtonie czy Nowym Orleanie – powyżej 25 lat.

W mniejszych miastach te różnice są mniejsze – np. w miejscowości Meridan w Idaho różnica w przewidywanej długości życia wynosiła ok. 5 lat. To wcale nie oznacza, że nie ma w tych miejscach nierówności. Badacze dla wszystkich miast wyliczyli wskaźnik segregacji rasowej i etnicznej, który okazał się być najwyższy właśnie w miastach z największą różnicą w przewidywanej długości życia. Może to sugerować, że różnice w mniejszych miastach są ukryte przez bardziej homogenne rozłożenie poszczególnych grup, ale czynniki różnicujące zdrowie i długość życia pozostają i działają.

Za tymi liczbami oczywiście kryją się znaczne nierówności ekonomiczne i w dostępie do opieki zdrowotnej, lokalne zanieczyszczenie środowiska, zaniedbania infrastrukturalne i sanitarne, a także wykształcenie i pochodzenie. Ich rzeczywisty wpływ widoczny był w pandemii SARS-CoV2, gdy np. w Wielkiej Brytanii ryzyko zgonu osoby najbiedniejszej było nawet dwukrotnie wyższe w porównaniu z osobami najbogatszymi. Podobnie wygląda zagrożenie płynące ze zmian klimatu, które w ciągu kilku dekad mają stać się istotnym czyn-



ADOBE STOCK

Dłuższe życie, gorsze zdrowie

CHOĆ ZASADY zdrowego stylu życia są znane od ponad 50 lat, to statystyka dowodzi, że ludzkość niekoniecznie z nich korzysta.

SPOŻYWAMY o 70 proc. więcej alkoholu dziś niż w 1990 r. W tym samym okresie podwoiła się liczba osób otyłych. Systematycznie maleje procent korzystających z wyrobów tytoniowych, ale wciąż to prawie jedna czwarta populacji globu.

Z UBIEGŁOROCZNEJ ANALIZY przeprowadzonej przez badaczy z University College London i Uniwersytetu Oksfordzkiego, w której porównano długość życia oraz stan zdrowia dwóch pokoleń obywateli państw zachodnich, wynika, że żyjemy dłużej, ale w gorszym zdrowiu.

OSOBY urodzone w latach 1955-1959 (tzw. pokolenie baby boomers) w wieku 50 lat miały dłuższy przewidywany czas życia, ale częściej zapadały na choroby przewlekłe niż osoby z wcześniejszego pokolenia.

PODOBNE WYNIKI uzyskano kilka lat wcześniej, porównując baby boomers z pokoleniem X (urodzonych w latach 60. i 70.). © BK

nikiem wpływającym na nasze zdrowie i życie. Również kryzys klimatyczny i zanieczyszczenia środowiska będą bardziej wpływać na uboższe warstwy społeczeństwa i grupy osób wykluczonych niż na najlepiej sytuowanych.

Nasza wspólna odpowiedzialność

Odpowiedź na pytanie o to, co ostatecznie odpowiada za nasze zdrowie, jest więc niezwykle skomplikowana.

Kumuluje się w niej cała złożoność życia na Ziemi – nasze relacje społeczne i środowisko naturalne, genetyka i polityka, dieta i pandemia, nasze decyzje i ślepy traf.

Opublikowane w marcu tego roku w „Nature Medicine” badanie grupy naukowców z Uniwersytetu Oksfordzkiego jest jedną z najbardziej ambitnych prób oszacowania wpływu wielu różnych czynników w poszczególnych jednostkach chorobowych. Podzielono je na genom (wszystkie czynniki genetyczne) oraz ekspozom (całość czynników zewnętrznych, w tym środowiskowych, klimatycznych, dietetycznych, społecznych i ekonomicznych). Praca obejmowała dane pochodzące z UKBioBank od prawie pół miliona osób. Wśród głównych czynników zwiększających ryzyko zgonu wymieniono palenie tytoniu, niski status ekonomiczny, bezrobocie, ale też nadmierne zmęczenie i problemy finansowe w ciągu ostatnich dwóch lat. W dodatku różne choroby mają różny udział poszczególnych czynników – np. geny mają przeważający wpływ na raka prostaty i piersi, a ekspozom na przewlekłe choroby wątroby i raka płuc.

Przypomina to mozaikę, której poszczególne kawałeczki są kolejnymi mozaikami. Ale może słuszniej jest stawiać pytanie nie o to, co odpowiada za nasze zdrowie, ale „kto”. Czy rzeczywiście wystarczy wziąć sprawy swojego zdrowia we własne ręce? I czy to w ogóle możliwe, żeby w pełni kontrolować wszystkie kluczowe czynniki, jak dostęp do czystego powietrza i wody, nierówności ekonomiczne, które wpływają na dietę i dostęp do opieki zdrowotnej? W obliczu zagrożenia klimatycznego, zanieczyszczenia środowiska i braku reakcji ze strony wielkich korporacji i największych gospodarek świata nasza jednostkowa odpowiedzialność za zdrowie wydaje się motyką ostrzoną przed atakiem na słońce. Podobnie z dobrymi nawykami zdrowotnymi, jak dieta i aktywność fizyczna, na które nierzadko brakuje czasu i pieniędzy.

Nasze zdrowie jest nie tylko sumą genów i własnych wyborów, ale również skutkiem polityki, ekonomii i środowiska, jakości opieki medycznej i miejsca w społecznych hierarchiach. Chcemy czy nie, musimy się dzielić odpowiedzialnością za nie. © BARTOSZ KABAŁA



**UNIwersytet
EKONOMICZNY
W KRAKOWIE**

1925 – 2025



Rerum cognoscere causas et valorem
Poznawać przyczyny i wartości rzeczy

www.uek.krakow.pl

STANISŁAW

Mancewicz: *Sielanka polska*



CHCIELIBYŚMY POZNAĆ KOGOŚ, KOMU pod wpływem kampanii wyborczej przydarzyła się zmiana światopoglądu. Że dajmy na to, wiele miesięcy temu, ów ktoś chciał zagłosować na R. Trzaskowskiego, a dziś jest zdecydowany poprzeć K. Nawrockiego,

bądź na odwrót. Zaiste człowiek taki, jeśli istnieje, gdyby ujawniono jego dane i wizerunek, miałby się z pyszna w naszej ojczyźnie przepełnionej tzw. tradycyjną tolerancją i miłością bliźniego. Otóż mniemamy z charakterystyczną pewnością siebie, że kogoś takiego po prostu nie ma. Kampania wyborcza – w jakimś niezbadanym obszarze tematycznym – wydaje się więc kompletnie zbędna, niesłużąca zdaje się przekonaniu kogokolwiek do czegośkolwiek. Jest to narzędzie stosowane dziś z rozpędu, bardzo tradycyjne, ale raczej antyczne.

Podobnie się rzecz ma, jeśli idzie o sprawy kompromitujące. Rzeczywiście chyba nie ma dziś niczego, co mogłoby tak gruntownie skompromitować dowolnego kandydata, by jego zwolennicy się od niego odwrócili. Słowem, szukanie haków – choć się cały czas odbywa – jest stratą czasu, pieniędzy i energii, w tym energii elektrycznej. Romans, solidny wałek finansowy, kradzież z bronią w rękę, jazda na gapę tramwajem, spowodowanie po pijanemu wypadku – to pikuś wobec nieostrożnego wdania się w publiczną dyskusję na temat liczby płci, nie tylko u ludzi. Z naprawdę okropnymi konsekwencjami trzeba się liczyć, gdy przeciwnikom uda się sprowokować kandydata do wyrażenia opinii na temat mikrobiologii czy wirusologii, bądź ogólnie rzecz biorąc leczenia – dajmy na to – antybiotykami, a nie kwasem buraczanym, szpinakiem

bądź wywarem z huby. Opinia wyrażona w telewizji na temat szczepienia dzieci może zaszkodzić politykowi znacznie bardziej niż doniesienie, że ów opowiadał dowcipy na pogrzebie własnej matki, albo że sprzedał dziecko sąsiadów Niemcom. Wobec tak opisanej kondycji elektoratu widzimy, że swolista prawicowość tworzy nam obraz taki oto, że Trzaskowski w wielu sprawach mówi Nawrockim, a Nawrocki Mentzenem. Jest to – każdy przyzna – ciekawe, choćby z uwagi na to, do kogo mówi Mentzen, który, jak się zdaje, jest kołem zamachowym przyszłej polityki w Polsce.

Oto parę dni temu siedzieliśmy przed chałupą w pewnej wsi, której nazwy tu nie wymienimy. W ogóle nie zajmowaliśmy się polityką ani nawet nie rozmyślaliśmy nad jej wpływem na nastroje społeczne. Zawzięcie herboryzowaliśmy oraz oddawaliśmy się nefologii, to jest oglądaniu chmur. Kwilenie ptactwa, poświsty wichru, muczenie krów i pianie kogutów, wszystko to razem, dawno niesłyszane, wiązało nasze zmysły i skutecznie odrywało od rozmyślań nad dolą ojczyzny. Oto jednak sielankę przerywały nam piski, bynajmniej nie ptasie, i muczenie bynajmniej nie krowie. Była to energiczna banderia młodzieży miejscowej na rowerkach. Było ich mniej więcej dwudziestu, a średnia wieku na nasze oko wynosiła powiedzmy dwanaście lat. Kursowali szosą lokalną, a więc raczej pustą, co drugi machał plakatem w czarnej tonacji, a wszyscy skandowali głosami przed mutacją nazwisko swego idola: „Mentzen! Mentzen!”. I tak przez całe popołudnie. Kursowali raz w tę, raz we w tę, nad nimi zaś ćwierkał skowronek.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy dzieci z pasją tego rodzaju, a różne kampanie wyborcze mamy za sobą. Dzieci – co wiemy – zawsze ocieplają wizerunek polityka. Dobrze jest pokazać do kamery dziecko z kwiatkiem albo w krakusce. Tu jednak nie mieliśmy do czynienia z planowaną w sztabie wyborczym akcją, z cyniczną próbą wykorzystywania nieletnich. Był to w pełni spontaniczny wiec, nakręcony przez koło od hulajnogi kandydata Mentzena, na której kiedyś wjedzie on do drugiej tury. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu.
Mieszka w Krakowie.

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ! ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Odpowiedz zajmie Ci **dostawnie chwilę**, a **Twoje zdanie** jest dla nas bardzo ważne.

Żeby wziąć udział w ankiecie, **zeskanuj** zamieszczony obok kod

lub wejdź na adres **powszech.net/ankieta4**

Od czasu do czasu chcemy prosić Czytelników o opinię na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Twoje odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik” był jeszcze lepszy.

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!



Nagroda im. Adama Mickiewicza — Nagroda im. Stanisława Barańczaka

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 21/2025

Literatura przede wszystkim

MARCIN JAWORSKI

**PRZEWODNICZĄCY KAPITUŁY
POZNAŃSKIEJ NAGRODY
LITERACKIEJ**

Zapraszamy do Poznania:
Gala Poznańskiej Nagrody
Literackiej odbędzie się
23 maja o godz. 12
na Uniwersytecie im. Adama
Mickiewicza;

spotkanie z nominowanymi
do Nagrody-Stypendium
im. Stanisława Barańczaka
– **22 maja o godz. 16;**
wieczór z Michałem
Witkowskim
– **23 maja o godz. 19,**
oba wydarzenia
w Centrum Kultury ZAMEK.

Poznańska Nagroda Literacka 2025

Pryznawana w dwóch kategoriach Poznańska Nagroda Literacka jest wyjątkowa dzięki sojuszowi Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza i Miasta Poznań. Jej unikatowość potwierdza szeroki zakres wyróżnianych od jedenastu lat książek – od poezji do rozprawy naukowej, od powieści do reportażu, od dramatu do przekładu literackiego. Niecodzienny jest także dystans czasowy, jaki ma kapituła. Bierze ona bowiem pod uwagę książki, które ukazały się w ciągu ostatnich trzech lat. Pozwala to złapać czytelnicy oddech i odpocząć od pospieszonego tempa rynku książki.

W tym roku jury Nagrody im. Adama Mickiewicza wyróżniło Michała Witkowskiego. Wskazaliśmy na wydany przed dwoma laty pierwszy tom jego

„Autobiografii”, pamiętając przy tym o całej twórczości pisarza, oraz zarówno literackim, jak i społecznym jej znaczeniu. Autor „Lubiewa”, jeden z najważniejszych pisarzy polskiej literatury XXI w., jako najmłodszy dołączył do laureatek i laureatów w tej kategorii.

Do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka nominowaliśmy dwie poetki i jednego prozaika. Anna Adamowicz ma już spory dorobek i wyrazisty, kształtujący się poza aktualnymi koniunkturami, literacki styl. Poezja Antoniny Tosiek z kolei współtworzy autonomiczną część pisarstwa tej badaczki diarystyki ludowej oraz aktywistki teatralnej i literackiej. Zbiór opowiadań Patryka Zalaszewskiego to ujmujący solidnym rzemiosłem i poruszający debiut, opowiadający

o dzieciństwie w mikrośmosie nadbałtyckiej wioski.

Tegoroczny werdykt docenia znaczenie literatury. Choć nawet bardzo dobra proza i mocna poezja nie dadzą nam prostych odpowiedzi na trudne pytania, to jednak są laboratoriami języków. Pozwalają zbudować narzędzia do obsługi życia, złapać, odkryć kawałek zmieniającej się rzeczywistości, zareagować na niespodziewaną zmianę. A w niepowtarzalnej, jednostkowej opowieści zobaczyć uwikłanie w systemy, stereotypy społeczne albo część większej historii.

Lepszej broni przed – jak pisał Stanisław Barańczak – „chórem świadomych i nieświadomych agentów Nicości”, przed „utonięciem w oceanie bełkotu”, nie mamy. ©

**POZNAŃSKĄ NAGRODĘ
LITERACKĄ** ustanowili wspólnie w 2015 r., po śmierci Stanisława Barańczaka, Jacek Jaśkowiak, prezydent Miasta Poznania, oraz prof. Bronisław Marciniak, ówczesny rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Składa się ona z dwóch części. Nagroda im. Adama Mickiewicza

(120 tys. zł) przyznawana jest za całokształt twórczości, natomiast Stypendium im. Stanisława Barańczaka (60 tys. zł) trafia do twórców, którzy nie ukończyli 35. roku życia.

Więcej informacji:
poznanskanagrodaliteracka.pl

**KAPITUŁA POZNAŃSKIEJ
NAGRODY LITERACKIEJ:**

Urszula Glensk,
Inga Iwasów,
Marcin Jaworski (przewodniczący),
Maciej Jakubowiak,
Magdalena Kicińska,
Grzegorz Olszański,
Piotr Śliwiński,
Karol Francuzik (sekretarz).

ORGANIZATORZY
POZNAŃSKIEJ NAGRODY
LITERACKIEJ 2025



UNIWERSYTET
IM. ADAMA MICKIEWICZA
W POZNANIU

POZnań*

PPNT
Fundacja Uniwersytetu
im. Adama Mickiewicza

CENTRUM
KULTURY
ZAMEK

W środku, w poprzek

INGA IWASIÓW

**Kto potrafi opowiadać jak posezonowy wczasowicz w „Drwalu”,
mały Michałek w mieszkaniu krewnej, Lukrecja na pikiecie?**
Michał Witkowski wziął do prozy żywą mowę.

W iara”, pierwsza część zapowiedzianej przez Michała Witkowskiego trylogii „Autobiografia”, przypomniła mi wszystkie olśniewające cechy jego pisarstwa. Napisała (zgodnie z tytułowym sygnałem) w pierwszej osobie, sugerującej bliskość z autorem i pełnię szczerości, uwodzi błyskotliwym, a zarazem przygważdżającym uwagę opisem lat 70. i 80.

Rzecz zaczyna się, jak przystało na poważną sumę, od kosmicznego intra. Planety szaleją, przypadki zaglądają ludziom do domów, część dziś oczywistych zjawisk niekosmicznych nie istnieje, a na świat przychodzi przyszły pisarz. Wszystkie znaki na niebie i ziemi, a także codzienne okoliczności, sprzyjają temu, żeby został ważnym narratorem swej epoki.

We wczesnych opowiadaniach, zbieranych w tomy „Copyright” i „Fototapeta”, przedzielonych „Lubiewem”, potrafił ożywić materię. Każde pomieszczenie, w którym przebywają postaci, ujawnia zakamarki i warstewki – nie tyle jakieś śmiertelnie serio odzyskiwane zasoby historyczne, ile szczegóły pozostawione przez hipotetyczne zdarzenia.

Literatura jest konwencją, ale nie dajmy się zwieść, gdyż spod rozmaitych gatunków prozy, przymierzanych do krojonej pewną ręką fikcji, wyglądają obserwacje niebanalne, niebłahe i często niepowtarzalne. Bo kto potrafi opowiadać jak posezonowy wczasowicz w „Drwalu”, mały Michałek w mieszkaniu krewnej, Lukrecja na pikiecie? Witkowski wziął do prozy żywą mowę.

„Wiare” zamyka inicjacja bohatera szukającego zaspokojenia we wrocławskim lokalu odwiedzanym przez homoseksualistów. Nastolatek na wagarach spotyka w nim milicjanta – ciąg dalszy rozbraja myślenie o latach 80. jako czasie opozycji i walki z komuną. Znamy kontynuację – Michał Witkowski zacznie pisać, a ironicznie potraktowana, „brudna” transgresja stanie się jego opozycyjnym przyczółkiem.

Z perspektywy dwudziestu lat od premiery „Lubiewa” ten rodzaj przekroczenia, wystawiający literaturę polską na rozkoszną próbę, uznaję za sprawę bardzo poważną. Witkowski dał czytającym to, czego wcześniej nie mieli, przy czym większość nie zdawała sobie z tego deficytu sprawy. Prognozuje też to, czego brak nam nadal. Choć w „Wierze” pisarz nie pierwszy raz deklaruje brak zainteresowania polityką, gejojskimi strategiami, środowiskowymi powinnościami, czytam jego dorobek w bardzo literacko-politycznym trybie.

Rzucane dużymi porcjami, meandrujące, zaglądające na prowincję, pędzące TIR-em fikcje Witkowskiego rozwalają grzeczność, drwią z doniosłości i wyczarowują alternatywę. Tęczową? Owszem, choć narrator „Autobiografii” i z tego drwi. Alternatywę polegającą na niestrudzonej wydobyciu z tradycji i przetwarzaniu tego, co porywające, zwyczajne, nieokiełznane i odporowe, odwrócone od powszechnych lęków o los, pieniądze i ojczyznę.

„Lubiewo” było wydarzeniem niezwykle, włączającym tematykę homoseksualności – wcześniej przemycaną, szyfrowaną lub dostępną w „branżowych” kręgach – w główny obieg kulturalny. Stało się tak za sprawą języka, wyrafinowanie niskiego, imitującego gadaninę przy robieniu makijażu. „Wiara”, powstała po kolejnych energetyzujących wyobrażnię książkach, mówi coś o tradycjonalizmie, zasadach wychowywania dzieci w latach 70., obyczajach rodzin odpoczywających na campingach. Gorliwa religijność chłopca została w niej przedstawiona jako przejmująca, ale jednak maskarada. I wbrew tytułowi nie jest najważniejszym wątkiem książki.

Można z „Autobiografii” uczyć się rzemiosła, podpatrywać technikę opisową, działającą bez zacięć. Zyskać pamięć epoki gierkowskiej i podejść z pisarzem w nietypowe obszary następującego po niej czasu przejściowego. „Wiara” dla stałych i początkujących wielbicieli i wielbieli pisarza może być kluczem do pozostałych utworów. Nadmiarowa forma „Wiary” oddaje charakter „Autobiografii”. Gdy się ją porówna z innymi tomami nowoczesnej intymistyki, widać gry Michała Witkowskiego: wbrew, w poprzek, do celu. ©

Laureat Nagrody im. Adama Mickiewicza



Michał Witkowski,
WIARA. AUTOBIOGRAFIA,
Znak,
Kraków 2023

Blizny na języku

GRZEGORZ OLSZAŃSKI

Tom „żertwy” Antoniny Tosiek robi wrażenie obrazowaniem, formalną dyscypliną, oryginalną metaforą, zapadającymi w pamięć frazami. To niezwykle mocna książka.

W ramach ćwiczeń z imaginacji spekulatywnej można by spróbować wyobrazić sobie sytuację, w której to nie „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak, lecz „storytelling” Antoniny Tosiek sprzedają się w półmilionowym nakładzie, stając się narodowym bestsellerem. Pomysł na tego rodzaju zestawienie da się bez trudu obronić. W obu przypadkach akcent pada wszak na rozpisaną na wiele głosów opowieść („wiem / teraz jest czas opowieści” – napisała Tosiek w wierszu „pestki, pesteczki”) o indywidualnych traumach („a stary anioł to swoją żonę tak bił że jakby / się w wiśniach cała kąpała”), jak i systemowych krzywdach („tu zawsze byli panowie / a miąższ pod paznokciami mieli różowy i czysty”).

Obie książki nieomal modelowo wpisują się w tak zwany zwrot ludowy, którego istotą jest rekonstrukcja tego, co przez lata wypierane, a jednocześnie proces rewindykacji, odzyskiwania utraconej genealogii. W tym kontekście zarówno „Chłopki”, jak i „storytelling” można by potraktować jako literackie odpowiedniki głośnych książek Adama Leszczyńskiego („Ludowa historia Polski”), Kacpra Pobłockiego („Chamstwo”) czy Kamila Janickiego („Pańszczyzna”).

Jeśli ekonomiczna rzeczywistość sabotuje tego rodzaju zestawienie (bo to raczej ćwiczenie z niemożliwego), to dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, Antonina Tosiek jest poetką, a książki poetyckie – przykra niespodzianka, proszę wybaczyć konstatację na granicy banału – w kraju słynącym z poezji w najlepszym wypadku sprzedają się w 500 egzemplarzach, a nie w 500 tysiącach. Po drugie, Tosiek – jako literaturoznawczynię i badaczkę chłopskiej diarystyki – cechuje nie tylko własne biograficzne doświadczenie (ze strony matki), ale też pogłębiona wiedza na temat interesującego ją zagadnienia, która przekłada się w tym wypadku na krytyczną podejrzliwość zarówno wobec powielanych stereotypów, jak i efektownych intelektualnych konceptów („co wam po tym / fantomowe ciała po 48 zł w uniwersitasie”). W rezultacie autorka odwołuje się brawurowo do różnego typu składników ludowego imaginarium (folklor, zwyczaje, język, szczególnie stosunek do natury), które przekłada następnie na język nowoczesnej poezji (akcent na poetkę).

Jednocześnie Tosiek równie sugestywnie dekonstruuje powielane mity i obiegowe prawdy (akcent na badaczkę). Tym samym miłośnicy prostych i jednoznacznych historii niewiele tu znajdą dla siebie. Na szczęście, trzeba by od razu dodać, bo dzięki temu dostajemy coś osobnego i oryginalnego zarazem. Niezwykłość książki poetyckiej „storytelling” widziałbym właśnie w fuzji tych dwóch ról, dwóch kompetencji: badawczej i poetyckiej. A o tym, że nie jestem w swym entuzjazmie od-

osobniony, świadczy obecność tego tomu w ścisłym finale Nagrody Poetyckiej Silesius.

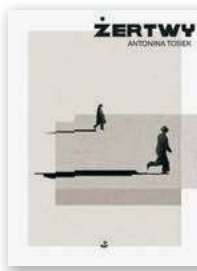
W przestrzeni sztuki od wielu dekad – a może nawet stuleci – istnieje mit genialnego debiutu. Jeśli coś mu ustępuje w krytycznoliterackich hierarchiach, to mit drugiej książki. Ważniejszej niż pierwsza, bo potwierdzającej, że błyskotliwy debiut nie był tylko fuksem, wypadkiem przy pracy.

Opublikowana w listopadzie 2024 r. w Biurze Literackim książka „żertwy” Antoniny Tosiek pokazuje, że znakomity debiut nie był przypadkowy. Wręcz odwrotnie: bardziej ściszone, mniej jednolite i zaangażowane społeczne „żertwy” robią spore wrażenie przede wszystkim obrazowaniem, formalną dyscypliną, oryginalną metaforą, zapadającymi w pamięć frazami. Widać wyraźnie, że poetka nie chce powielać dotychczasowego wzorca, lecz szuka nowych, innych form ekspresji. Rzecz nie jest tak konceptualna jak debiut, co jednak nie znaczy, że nie można tu wskazać tematycznej dominanty.

„żertwy” – zgodnie z tytułem odsyłającym do słowiańskiego zwyczaju składania ofiary – w swych najlepszych fragmentach opowiadają właśnie o ofierze, poświęceniu, trosce. Ich wyrazem nie są jednak patetyczne wyznania, lecz prozaiczne gesty, jak w znakomitym wierszu „moab”, w którym poetka pisze: „będziesz tropić znaki (...) / wypatrywać / unoszących się w górę i dół / miejsc po piersiach (...) / wkładać pokarm do bezzębnych / ust”.

W dużej mierze ten zbiór to opowieść o tym, „żeby ciało mogło / zostać ciałem; nie ciężarem, / workiem na tłuszcz i kości”. W tym ujęciu „żertwy” okazują się tomem elegijnym, pożegnalnym. Antonina Tosiek, wchodząc w obszar dyskursu maładycznego, mierzy się z tym, co najtrudniejsze życiowo i jednocześnie literacko. Napisać, że wychodzi z tych zmagających zwycięsko, byłoby nieporozumieniem. Wystarczy więc dodać, że „żertwy” są kapitalną, niezwykle mocną książką. ©

Nominacja do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka



Antonina Tosiek,
ŻERTWY,
Biuro Literackie,
Kotobrzeg 2024

Czytać, widzieć, czuć

PIOTR ŚLIWIŃSKI

Rozciągnięte, zwielokrotnione spacje pomiędzy słowami, torturowanie wersów, odzwierciedlić mają torturę chorego ciała poddanego procesowi jego chirurgicznej naprawy. W rezultacie wiersze Anny Adamowicz zyskują dodatkową fizyczną widzialność.

Anna Adamowicz weszła na scenę poetycką zamasyście, szybko skupiając na sobie uwagę, zyskując uznanie, biorąc ważne nagrody. Debiutowała w 2016 r. tomem „Wątpia”, potem wydała kolejne – „Animalia” (2019) i „Nebula” (2020). W 2021 r. ukazał się, pod pseudonimem Laura Osińska, tom „zmyśl [] zmyśl”, a w roku 2025 „Jaw”. Jej książka nominowana do Nagrody-Stypendium im. S. Barańczaka nosi intrygujący tytuł „Stłuc. Kręgosłup Tytanii skrzydło” (2024).

Co ciekawe, swą pozycję – zważywszy na wiek, znakomitą – osiągnęła bez kłaniania się modom. Adamowicz nie pisze bowiem ani wierszy „laureackich”, ujmujących odwiecznie cenioną wrażliwością czy metafizyczną wyobraźnią, ani też wierszy spod znaku nowego akademizmu, wpisujących się w tendencje, którym na imię „nowy materializm”, „tożsamościowy projekt”, „krytyka późnego kapitalizmu” itd., przekładalnych na aktualnie chodliwe teorie.

Za tradycję, do której się odwołuje, można by przyjąć awangardę, chociażby dlatego, że nieobcy jest jej eksperyment. To dzisiaj raczej rzadki gest w poezji polskiej, jednak nie zaśłania i nie unieważnia przeżycia, które autorka stara się oddać. Na odwrót, dodaje mu autentyczności, czyni bardziej przejmującym. W tomie „Stłuc” występuje pod postacią graficznych naprężeń wiersza. Rozciągnięte, zwielokrotnione spacje pomiędzy słowami, torturowanie wersów, odzwierciedlić mają torturę chorego ciała poddanego procesowi jego chirurgicznej naprawy. W rezultacie wiersz zyskuje dodatkową fizyczną widzialność, podobnie jak ciało jawi się jako emiter bólu i przedmiot operacji.

I chociaż ból jest tematem wielu współczesnych książek poetyckich, to Anna Adamowicz robi to inaczej, oryginalnie, odkrywczco. Świadoma, że porywa się na rzecz niewykonalną, stara się przełożyć bolesne naprężenia ciała na ciało wiersza. W rezultacie wiersze Adamowicz wychodzą poza schemat, traumatyczne się rozciągają, pulsują powracającą udęką.

Eksperyment i doświadczenie to w polszczyźnie odpowiedniki, podobnie operacja – dotyczyć może zabiegu na ciele, jak i wszelkiego innego działania, choćby działania na wierszu. W takiej perspektywie awangardowy ślad w poezji Anny Adamowicz zaczyna się nie w chęci osiągnięcia efektu spektakularnej oryginalności, lecz

w głęboko zakorzenionej potrzebie sprostania niemożliwemu wyzwaniu, jakim jest każda opowieść o cierpieniu. Awangardowe podglebie tych wierszy, gdyby się przy nim upierać, sięga założycielskich myśli Tadeusza Peipera na temat powiązania doświadczeń języka z doświadczeniami rzeczywistości. Spośród współczesnych nasuwa się nazwisko niedawno zmarłej Krystyny Miłobędzkiej.

Jednak ostatecznie nie ma konieczności, żeby poruszać się tym tropem. Zbiór „Stłuc” daje się czytać ze wzruszeniem, jak poezję, która potrafi otrząsać się z nalu komentarzy i sama podsuwa styl i temperaturę lektury. Najważniejsze zaś, że zachowuje ogrom wiarygodnych, do głębi ludzkich emocji:

OSTATNI RAZ SZPITAL

pożegnanie się rozwleka

w głowie wodospad

w głowie rój

w głowie popłoch

który nijak opisać

który nijak

alarm (...)

Wrażenie, że wiersz nade wszystko pragnie uczciwie oddać krytyczne przeżycie, wręcz się narzuca. Zbiegnięcia i rozbiegnięcia słów, na które co rusz trafiamy, bywają intrygujące, z reguły układają się w rytm przemysłanej całości i poszczególnych tekstów, w metrum męki piekielnej, z którego wynika – choćbyśmy nie chcieli – piękno. Doprawdy ta opowieść jest adresowana nie tylko do akademickich polonistów. ©

Nominacja do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka



Anna Adamowicz,
**STŁUC. KRĘGOSŁUP TYTANII
SKRZYDŁO,**
Warstwy,
Wrocław 2024

W morzu opowieści

MAGDALENA KICIŃSKA

**Czytając opowiadania z tomu „Luneta z rybiej głowy”,
zanurzamy się w świat na obrzeżach mitu.
Dobre rozwiązania i szczęśliwe zakończenia są tutaj wciąż możliwe.**

Dziadkowie, dzieciństwo, rodzinne sekrety i niedopowiedzenia. Wieś, opowieści zawieszone poza czasem – współczesna polska literatura eksploduje ten zestaw tematów od dawna, najmłodsza proza również po niego sięga. Nic dziwnego, prawie wszyscy wyszliśmy z ludu, wiele rodzin pokieroszowała historia, ciągniemy za sobą tobołki traum wciąż niegotowych do rozpakowania. Co więc sprawiło, że nominowaliśmy do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka książkę, która również porusza się w tych znanych rejestrach?

Patryk Zalaszewski w „Lunecie z rybiej głowy” stworzył świat, który tylko pozornie przypomina to, co znane. Mamy Bałtyk, rybacką wioskę (w żadnym wypadku nadmorski kurtort), rodzinę, sąsiadów, postronnych i milczenie z rzadka przerywane rozmową, scenografię i bohaterów, którzy są zwykli, powszedni jak dzień pracy rybaków, nieromantyczni jak smród patroszonych dorszy. Ale to właśnie w tej codzienności autor odnajduje przestrzeń dla nadziei. Każdemu z opisywanych bohaterów chcemy, czytając, kibicować. Ufamy, że uda mu się wyrwać z nadmorskiego uwikłania, od przemocy, która jak fale morskie powraca, powraca, powraca i upomina się o kolejny los.

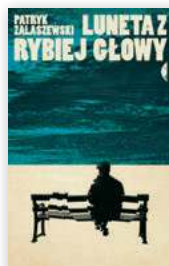
Czytając opowiadania, które składają się na ten tom, zanurzamy się w świat na obrzeżach mitu, przypowieści, chcąc, żeby zło przegrało. Jesteśmy małym chłopcem-narratorem, przewodnikiem w świecie naznaczonym stratą, frustracją, niespełnieniem i porażkami. Bez naiwności, za to z czystą ufnością zbieramy historie, zadajemy pytania, słuchamy. I chyba jeszcze wierzymy, że fatum można przechytrzyć. Choć jesteśmy przecież dorośli i dużo częściej przed rozczarowaniem chronimy się, wybierając cynizm i inne środki ochronne, które pomagają mierzyć się z niedoskonałościami odpowiedzialnego życia.

Wie o tym dobrze autor, pisząc, że „obietnica spokoju jest ważniejsza niż sam spokój. Przecież to nadzieja jest prze-

ciwieniem beznadziei, a nie prawda”. I dlatego stworzył w „Lunecie” świat, w którym dobre rozwiązania są wciąż możliwe, a szczęśliwe zakończenia mogą się bohaterom i bohaterkom przydarzyć (nawet jeśli tylko w teorii). Dzieje się tak w dużej mierze dzięki językowi tej książki. Rzadko debiutanci mogą się pochwalić taką dyscypliną, która pozwala utrzymać w ryzach i nie przesadzić: nie przeciągnąć języka zbyt daleko w stronę onirycznej opowieści, realizmu magicznego, o który wśród tych poplątanych sieci i pulsujących fal nietrudno. Zamiast tego mamy subtelność fraz i wyważoną metaforę, rozsądnie dawkowaną tak, by historie nie traciły mocy swojej wiarygodności.

Zalaszewski objawił się poprzez tę książkę polskiej literaturze jako prozaik ze skłonnościami poetyckimi (albo jako poeta, który pisze prozą). Jego kolejna książka przyniesie odpowiedź, w którym kierunku jako autor zechce nas dalej poprzez swoją wyobraźnię poprowadzić. A może wcale nie musi jednoznacznie opowiadać się tylko po jednej ze stron i to będzie znak rozpoznawczy jego pisarstwa? Tym debiutem pokazuje, że niezależnie od następnych decyzji literackich warto będzie czekać na ich rezultaty, a na Patryka Zalaszewskiego uważać: dopiero zaczyna. ©

Nominacja do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka



Patryk Zalaszewski,
LUNETA Z RYBIEJ GŁOWY,
Czarne,
Wrocław 2024

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 21/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska

PROJ. GRAF.: Marek Zalejski

SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

PARTNER

JIM I JAMES

Historie Percivala Everetta niezmiennie łączą humor z ostrą krytyką amerykańskiej historii i kultury.

Tym razem pisarz zdecydował się na kreatywną rewizję „Przygód Hucka Finna” Marka Twaina.

MICHAŁ CHOIŃSKI

TE MAŁE GNOJKI CHOWAŁY SIĘ W WYSOKIEJ trawie” – zdanie otwierające powieść „James” Percivala Everetta (2024, wyd. polskie 2025) odsyła do dwóch słynnych ancymonów literatury: Huckleberry’ego Finna i Tomka Sawyera. Oto jesteśmy w świecie Marka Twaina: na amerykańskim Południu, jeszcze przed wybuchem Wojny Secesyjnej, czyli w czasach systemowego niewolnictwa i białej supremacji rasowej. Tymczasem głos w opowieści Everetta należy do postaci, która nie miała wówczas nie tylko możliwości wygłaszania podobnych sądów względem białych, ale w ogóle szafowania własnymi opiniami. Osobą mówiącą jest tu bowiem czarny niewolnik.

Ten śmiały eksperyment literacki doceniły już kapituły prestiżowych nagród. W zeszłym roku Everett otrzymał za „Jamesa” National Book Award, a na początku maja tego roku został laureatem Nagrody Pulitzera.

Kłopotliwy klasyk

Zacznijmy od pierwowzoru. „Przygody Hucka Finna” Twaina są jednym z najbardziej uznanych klasyków literatury amerykańskiej. To opublikowana pod koniec XIX w. historia chłopca, który ucieka od przemocy domowej razem z napotkanym przypadkiem zbiegłym niewolnikiem Jimem. Ich wspólnym celem stają się stany, w których niewolnictwo zostało zniesione. Tam Jim może być

wolny, a Huck odciąć się od opresyjnych krewnych. Gdy w trakcie podróży napotyka szemrane postaci zamieszkujące nadbrzeża Missisipi i pokonują przeciwności losu, między czarnym mężczyzną i białym chłopcem zawiązuje się nietypową więź. „Przygody Hucka Finna” to wypełniona barwnymi przygodami powieść drogi, której ostatecznym celem jest wolność.

Trudno przecenić znaczenie tego tytułu w historii amerykańskiej literatury. Ernest Hemingway twierdził, że całe piśarstwo Stanów wywodzi się od tej jednej powieści, William Faulkner nazywał Twaina „ojcem literatury amerykańskiej”. Krytycy przez dekady dowodzili, że swoim drobiazgowym i barwnym opisem mentalności mieszkańców Południa Twain dał początek ważnemu w kulturze Stanów realizmowi regionalnemu. Szczególnie efektownie oddał bowiem dialekt używany przez osoby zamieszkujące okolice Missisipi. Ten lokalny kolor był zresztą Twainowi bliski. Sam przez kilka lat był pilotem pływających po rzece parostatków. Stąd wziął się jego pseudonim literacki: „Mark Twain” to zawołanie używane dla oznaczenia miejsca, gdzie głębokość wody liczy dwa sążnie.

Jednocześnie powieść Twaina przez ostatnie lata była jedną z bardzo często kontestowanych lektur szkolnych. Po pierwsze, ze względu na niezwykle obraźliwe słowo „nigger”, którego użyto w maszynopisie dwieście dziewiętnaście razy.

Słowo to przywołuje brutalny kontekst rasistowski, przez co dla wielu uczniów i uczennic – podobnie zresztą jak dla samych nauczycieli – jest wysoce niekomfortowe. W 2010 r. w Alabamie wydana została nawet wersja „Przygód Hucka Finna”, w której obelżywe przezwisko rasowe zastąpiono słowem „slave” (niewolnik). Ta odmieniona wersja klasyka wywołała gorącą dyskusję na temat narracji historycznych w USA i trudności, z jakimi mierzy się amerykański system edukacji w konfrontowaniu się z przeszłością kraju. Nazwisko Marka Twaina

DAVID LEVENSON / GETTY IMAGES





Percival Everett, autor „Jamesa”, przed wręczeniem Nagrody Bookera 2024. Londyn, 11 listopada 2024 r.

pojawiało się wtedy w nagłówkach prasowych w całym kraju.

Ale zastrzeżenia wobec powieści nie dotyczą tylko użycia obraźliwego słowa. Sama fabuła mocno naznaczona jest epoką, w której książka została napisana. Twain wychowywał się w domu, w którym obecni byli niewolnicy. Widział porażającą brutalność i wszechobecną przemoc na tle rasowym. Wspominał, jak za przypadkowe rozlanie wiadra wody czarny chłopiec został w jego rodzinnym domu ukarany chłostą. W późniejszym życiu pisarz był gorącym orędownikiem

abolicji i zdecydowanie sprzeciwiał się niewolnictwu.

Mimo to wykreowany przez niego powieściowy Jim jest uosobieniem wielu stereotypów rasowych – choć ma poczciwy charakter, jest przesądny, nieogarnięty i infantylny. Polega na decyzyjności swojego młodego białego kompana, a wręcz jest od niego uzależniony. Przy całej kreatywności i talencie pisarskim Twainowi trudno było wyobrazić sobie czarną postać w jakiegokolwiek inny sposób. Jim jako bohater literacki ograniczony jest gorsetem utajnionych stereoty-

pów rasowych swojego twórcy, a te z kolei wynikają po prostu z brutalnego rasizmu epoki.

Niemożliwa historia

Decyzja, by przepisać „Przygody Hucka Finna” z perspektywy czarnego niewolnika, pozwala spojrzeć inaczej nie tylko na fabułę powieści, ale też na samą narrację historyczną Stanów Zjednoczonych. To próba stworzenia głosu, który przez prawie dwa stulecia był poddawany ostracyzmowi, pozbawiony podmiotowości i odczłowieczany. Głosu, któremu →

→ brakuje też historycznej reprezentacji. Zachowały się liczne zapiski białych właścicieli niewolników, natomiast świadectwa ofiar potwornego systemu pozostają wybrakowane i nieliczne. Rekonstruując amerykańskiego klasyka, Everett rzucił więc wyzwanie ograniczeniom historycznych źródeł, kulturze regionu, ale też odczuwalnym nadal w Stanach Zjednoczonych echem systemowego rasizmu. Stała się opowiedzieć historię „niemożliwą”.

Nie uczynił tego zresztą po raz pierwszy. Everett to pochodzący z Południa pisarz posiadający w swoim dorobku przeszło dwa tuziny powieści – w dużej części z nich wykorzystuje sytuacyjną ironię i przewrotny dystans po to, by ukazywać paradoksy rasowe kultury amerykańskiej. W książce „I Am Not Sidney Poitier” (2009) przedstawia rozbudowaną historię czarnego bohatera, który usiłuje pogodzić swoją tożsamość rasową ze statusem społecznym. Z kolei w wydanej niedawno „The Trees” (2021) stosuje konwencję kryminału z elementami ostrej satyry, by opowiadać o traumatycznych echach linczów i przemocy na tle rasowym w Missisipi. Historie Everetta niezmiennie łączą humor z krytyką kultury amerykańskiego społeczeństwa.

Do napisania „Jamesa” Everett zabierał się od lat. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „New Yorker” podkreślał, że zanim zasiadł do maszynopisu, musiał całkowicie zanurzyć się w świecie bohaterów Twaina. Aby to zrobić, czytał „Przygody Hucka Finna” raz za razem, aż tekst w jego głowie stał się swego rodzaju chaotyczną mieszaniną zwrotów, nazw i motywów. Po przeczytaniu książki kilkanaście razy nie postrzegał jej już jako spójnej fabularnie opowieści, ale jak plastyczną masę, którą można na nowo formować, reorganizując zawartą w niej perspektywę.

Everett zaczął od imienia bohatera. Użyte przez Twaina zdrobnione imię „Jim” – pospolite i generyczne, kojarzone

z protekcjonalizmem – zastępuje bardziej finezyjnym „James”. Za tą symboliczną zmianą idzie też zmiana głosu narratora. Już samo zdanie otwierające powieść staje w ostrej kontrze do sposobu komunikacji czarnego niewolnika u Twaina – tam jest on przygłuszony, a jego język pozbawiony głębi i pełen błędów.

Z kolei u Everetta czarny bohater nie ma oporów przed użyciem wobec białych chłopców słowa „gnójki”. Ma podmiotowość i zdecydowane poglądy. Oraz, co najważniejsze, zasoby intelektualne i językowe, które pozwalają mu tworzyć świat wyobraźni i oporu, o którego istnieniu biali oprawcy nie mają pojęcia.

Siła języka

W książce czarni niewolnicy komunikują się na dwa sposoby. Gdy są w towarzystwie białych, pozostają pasywni i celowo sprawiają wrażenie infantylnych oraz nieporadnych, unikając zagrożenia. We własnym gronie używają natomiast języka elokwentnego i rozbudowanego. O znaczeniu tego teatru językowego James opowiada swoim dzieciom, upewniając się, że wiedzą, jak mają się zachowywać: „Biali się spodziewają, że będziemy mówić w określony sposób, i lepiej ich pod tym względem nie rozczarować (...) Jeśli poczuja się gorsi, tylko my na tym ucierpimy.” Autorką polskiego przekładu powieści Everetta jest Kaja Guccio, której wybory leksykalne doskonale oddają pantomimę językową oryginału. W jej tłumaczeniu czarny bohater przepłata język pełen gwary z językiem konstatacji i refleksji.

W jednej ze scen James i jego kumpel zaśmiewając się zauważają, że patrzy na nich biały. „Nic nie irytowało białych bardziej – podkreśla narrator – od dwóch śmiejących się niewolników. Jak przypuszczałem, obawiali się, że śmiejemy się z nich, albo po prostu nie znosili myśli, że dobrze się bawimy.” Obydwaj czarni mężczyźni natychmiast przybierają infantylną maskę i na zaczepne pytanie jeden z nich odpowiada, że rozmawiali po prostu o tym, „czy w Nowym Orleanie ulice naprawdę som zrobione ze złota, jak to mówiom”. Odpowiedź wypełniona błędami gramatycznymi uspokaja białego, potwierdza bowiem jego stereotypową opinię na temat intelektu czarnych. Gdy mężczyzna odchodzi, James komentuje: „Więc kiedy później zobaczymy, jak się

zatacza i robi z siebie durnia, będzie to przykład ironii proleptycznej czy dramatycznej?”.

Tajną bronią Jamesa jest umiejętność czytania i pisania. W jednym z wywiadów Everett podkreślał, że „czytanie jest najbardziej buntowniczym aktem”, zwracając uwagę, że wszystkie systemy polityczne, które dążą do ograniczenia wolności, zaczynają właśnie od walki z czytelnictwem. Historycznie na niemal całym terytorium amerykańskiego Południa obowiązywało prawo zakazujące nauki czytania i pisanie czarnych osób. Za jego złamanie groziły wysokie kary finansowe. Przepisy zostały zastrzeżone po stłumionej krwawo rebelii niewolników przewodzonej przez Natę Turnera w 1831 r., po której powszechnie zaczęto uważać, że brak umiejętności pisanie i czytanie odbierze społeczności czarnych niewolników zasoby intelektualne konieczne do tego, by stawiać opór i kontestować system polityczny regionu. W konsekwencji przed wybuchem Wojny Secesyjnej jedynie co dziesiąta czarna osoba była piśmienna.

Podczas gdy Jim w powieści Twaina nie przejawia potrzeby, by się rozwijać, wykreowany przez Everetta James zakrada się do biblioteki i po kryjomu czyta zakazane książki. Ta umiejętność pozwala mu określić siebie i swoją podmiotowość. W jednej ze scen James pisze pierwszy w życiu list, świadectwo swojego istnienia: „Interesuje mnie jednak to, w jaki sposób znaki, które skrobię na tej karcie, mogą w ogóle cokolwiek znaczyć. Skoro mogą mieć znaczenie, to życie może mieć znaczenie, to ja mogę mieć znaczenie”. To afirmacja głosu czarnego niewolnika walczącego z politycznym systemem dążącym do sprowadzenia go do rasistowskiego stereotypu.

Świadoma decyzja

Lektura „Przygód Hucka Finna” była dla wielu pokoleń Amerykanów niepokojącym doświadczeniem. Po pierwsze, ze względu na ukazaną przez Twaina brutalność amerykańskiego Południa i jego nieustępliwość, ale też przez wzgląd na dynamikę relacji między dwójką bohaterów. Podczas wspólnej podróży biały chłopiec buduje z Jimem więź, która sprawia, że czuje on wewnętrzny konflikt. Raz za razem powtarza sobie nawet, że „pójdzie do piekła” za to, że jego towarzyszem jest



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

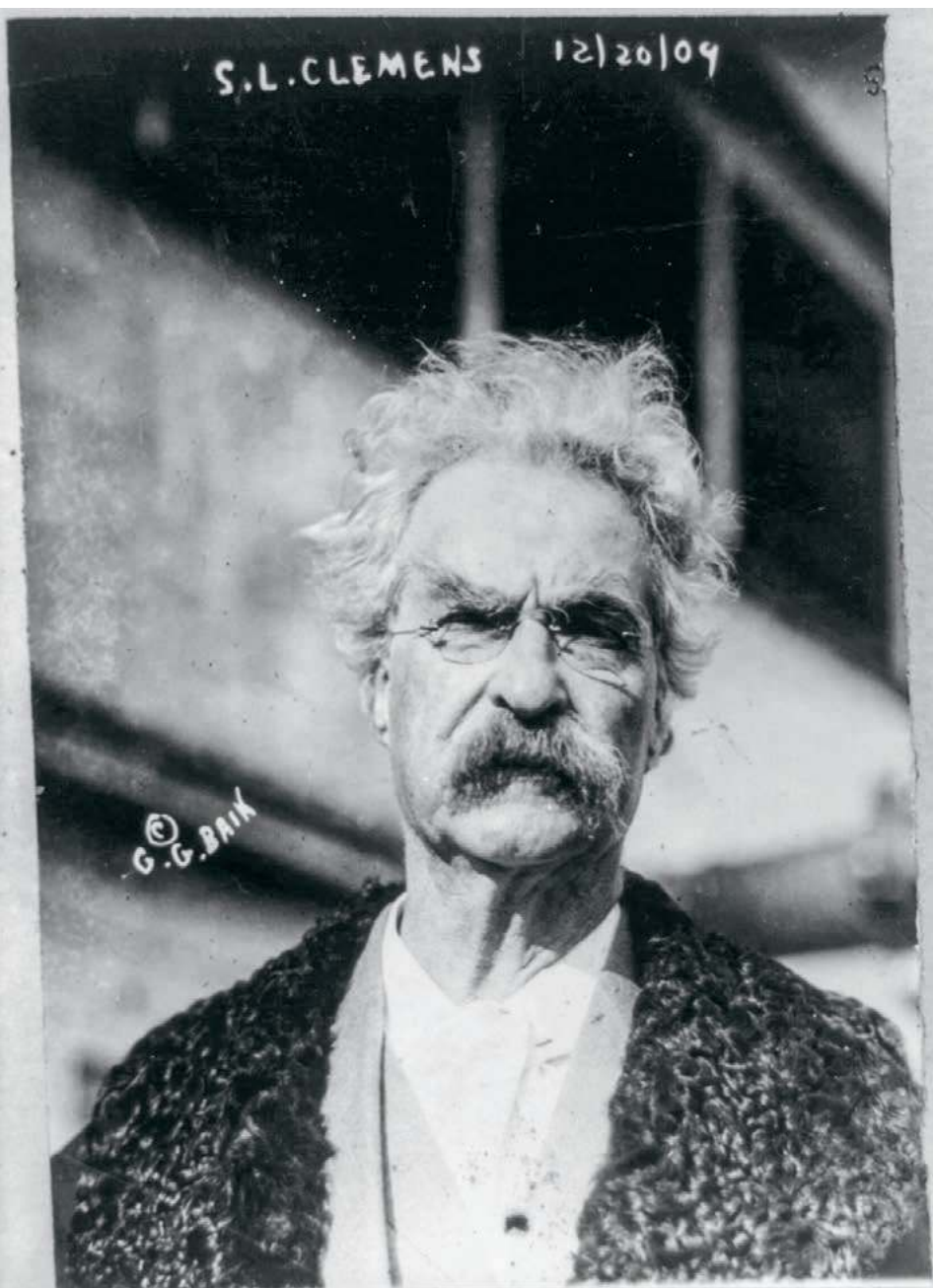
Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM

Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



GEORGE G. BAIN / LIBRARY OF CONGRESS

Mark Twain, ok. 1910 r.

zbiegły czarny niewolnik. Pomagając mu, Huck staje przeciwko swojej rasie i kulturze regionu. Ta myśl chłopca według krytyków literackich staje się symbolicznym obrazem wewnętrznego konfliktu nie tylko samego bohatera, ale też całego Południa, w którym ścierają się dwie moralności – z jednej strony mamy bezwzględne prawo, które traktuje Jima jako czyjaś własność, a z drugiej namiastkę podmiotowości, którą Huck dostrzega w swoim kompanie.

Jednocześnie wykreowany przez Twainą Jim jest w pewnym sensie elementem regionalnego tła Missisipi. Nie ma

potrzeby, by kontestować system. Chce tylko przeżyć. A w przedwojennej rzeczywistości Południa jest to bardzo trudne. Jako zbiegły niewolnik pozostaje w stanie ciągłego zagrożenia – każda napotkana osoba może go pozbawić życia. W spotkaniach z mieszkańcami nadbrzeżnych obszarów Missisipi status Hucka jako członka białej społeczności pozwala im przeżyć. Jim Twaina jest uzależniony od swojego młodego kompana, a ikoniczny status literackiej więzi dwóch bohaterów wynika z faktu, że w oczach kultury Południa Jim nie różni się wiele od dziecka. Twain nie był w stanie wyobrazić sobie

czarnego głosu, który byłby jednocześnie samoświadomy i dojrzały.

W „Jamesie” relacja dwójki bohaterów ma inny charakter. Czarny niewolnik pała sympatią do białego chłopca, ale ma też świadomość, że mógłby go w każdej chwili porzucić. Ich pogłębiająca się komitywa wynika ze świadomej decyzji, którą James podejmuje nie dlatego, że Huck jest biały, ale pomimo faktu, że Huck jest biały. Niemal cały czas gra w grę pozorów językowych ze swoim towarzyszem i w jego obecności stosuje uproszczony język czarnych niewolników. Gdy przez przypadek chłopiec słyszy, że James potrafi mówić poprawnie, jest zszokowany i prosi, go, aby przestał. Mury oddzielające rzeczywistość czarnych i białych mieszkańców Południa w książce Everetta są dużo bardziej wyraźne i trudne do pokonania.

Pod koniec książki ostatecznie opadają zasłony stereotypowej pantomimy. Po tym, jak Huck stwierdza, że chce zaciągnąć się do armii Unii i walczyć z niewolnictwem, James wkrada się z powrotem do domu swojego właściciela i w zakazanej bibliotece, uzbrojony w pistolet, konfrontuje się z postacią, która uosabia cały brutalny system niewolnictwa. Chce się dowiedzieć, co się stało z jego rodziną, ale jego rozmówca nie może pozbierać się z szoku, gdy słyszy głos Jamesa, o istnieniu którego nie zdawał sobie sprawy: to głos mówiący poprawnie, emanujący siłą i kontestujący politykę rasową regionu.

Konfrontacji dwóch głosów towarzyszy też zmiana relacji władzy. To James nagle narzuca swoją agendę osobie, która przez lata była właścicielem jego rodziny. Wprowadzając do fabuły znanego klasyka literatury amerykańskiej Everett zachęca, abyśmy przemyśleli ograniczenia historycznych narracji literackich i zrewidowali zastane w nich stereotypy. W szczególności refleksja nad głosami, które były uciszane i umniejszane, może poszerzyć współczesną debatę na temat pamięci historycznej.

© MICHAŁ CHOIŃSKI



Percival Everett, **JAMES**
Przełożyła Kaja Gucio,
Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025.

Moc władzy

JAKUB MAJMUREK

Zło nie ma dziś twarzy Vadera. Jest imperialnym biurokratą zainteresowanym przyspieszonym awansem, dostępem do ucha przełożonych i walką o zasoby.

DOSTĘPNY W STREAMINGU „ANDOR” to „Gwiezdne wojny” dla dorosłych: bardziej mroczne, wolne od komunałów i łatwych pocieszeń, pełne złożonych postaci o skomplikowanych motywacjach, wymykających się jednoznacznym moralnym ocenom. Nowy, drugi sezon serialu idealnie trafia przy tym w swój czas: w pełen chaosu początek drugiej kadencji Donalda Trumpa, testującej – jeszcze bardziej niż pierwsza – odporność demokratycznych instytucji na autorytarne zapędy władzy.

Rebelia

Za „Andorem” stoi scenarzysta i reżyser Tony Gilroy, znany głównie z pracy nad serią filmów o Jasonie Bourne. Gilroy napisał wspólnie z Chrisem Weitzem osadzony w świecie gwiazdnej sagi film „Łotr 1” (2016) – historię stracającej misji grupy partyzantów Rebelii, rozgrywającą się tuż przed wydarzeniami z „Nowej nadziei” (1977).

Nowy serial jest prequelem „Łotra”, historią oficera wywiadu Cassiana Andora. W „Łotrze” ginie on bohaterską śmiercią podczas misji, dzięki której Rebelia pozyskuje plany Gwiazdy Śmierci, co umożliwia zniszczenie tej śmiertelnej broni przez Luke’a Skywalkera w filmie z 1977 r.

Jak pamiętacie, jednym z kluczowych pojęć w świecie gwiazdnych wojen jest Moc, rozumiana jako tajemnicza, mistyczna wręcz siła, przenikająca, łącząca i utrzymująca w równowadze cały wszechświat. Już w „Łotrze 1” widać było jednak, że Gilroya od Mocy bardziej interesuje władza w jej twardym, politycznym wymiarze. W „Andorze” odniesienia do Mocy znikają już niemal zupełnie.

Serial używa fantastycznego kostiumu, by pokazać przede wszystkim konflikt polityczny: starcie coraz bardziej zaciskającej pętlę na szyi swoich poddanych autory-

tarnej technokracji i zradykalizowanych przez jej działanie, także gotowych sięgać po bardzo brutalne metody, rebeliantów.

Władza

W efekcie otrzymujemy wyjątkowo materialistyczne i odczarowane „Gwiezdne wojny” bez całego przenikającego sągę kosmicznego new age’u. Tylko w jednej scenie drugiego sezonu Andor natrafia na posługującą się Mocą uzdrowicielkę, która przeczuwa jego przeznaczenie i rolę, jaką mężczyzna pośrednio odegra w upadku Imperium. Bohater serialu – podobnie jak jego twórcy – nie ma jednak cierpliwości, by słuchać wywodów kobiety, i nie potrafi potraktować ich do końca poważnie.

W ciągu dwóch sezonów widzimy, co władza Imperium oznacza dla jej zwykłych poddanych. Od ogłupiającej propagandy, codziennej korupcji, przemocy policji i wojska (w tym seksualnej), po brutalny wyzysk, rabunkową eksploatację zasobów i masowe masakry. Główny wątek drugiego sezonu pokazuje, jak Imperium prowokuje bunt przeciw swojej władzy na planecie Ghorman, by stworzyć warunki do zbrojnej interwencji, pozwalającej pozyskać kryjący się pod jej powierzchnią bezcenny minerał – zdając sobie sprawę, że jego masowe wydobycie doprowadzi do katastrofy ekologicznej, czyniącej planetę niezdatną do życia.

Zło w „Andorze” nie ma twarzy Imperatora, Vadera, czy innego mistrza ciemnej strony mocy. Kryje się pod maską imperialnego biurokraty zainteresowanego przyspieszonym awansem, dostępem do ucha przełożonych, walką o urzędnicze zasoby z konkurentem z sąsiedniego biura. W obu sezonach ciągle zaglądamy w bebecchy imperialnej biurokracji, obserwujemy jej wewnętrzne konflikty, biurową politykę, małostkowe intrigi i zmieniające się sojusze.



Tym, co najbardziej zwraca uwagę w antagonistach z „Andora” – od kierującego budową Gwiazdy Śmierci oficera naukowego Krennica przez pnącą się po szczeblach kariery funkcjonariuszkę imperialnej policji politycznej, Debrę Merero, po jej partnera z Imperialnego Biura Standardów Kyle Sollera – jest to, jak są zwyczajni w swoich motywacjach i ambicjach, jak banalni w złu, którego się dopuszczają. Bez problemu jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jak robią karierę we współczesnych państwach, korporacjach czy w partiach politycznych.

Ludzie

Także postaci Rebeliantów przedstawiane są w „Andorze” w bardzo złożony sposób, one też niosą ze sobą swój własny mrok. Andor – złodziej kradnący sprzęt Imperium – zostaje zrekrutowany do sprawy Rebelii przez Luthene Raela, właściciela obsługującego elitę sklepu z antykami w stolicy Imperium, prowadzącego jednocześnie kampanię terroru wobec imperialnej władzy.

Luthen potrafi być równie bezwzględny, co Imperium, z którym walczy. Nie ma oporów, by wydać wyrok likwidacji kogoś, kto za dużo wie, nie daje gwarancji absolutnej lojalności albo stwarza ryzyko dla Sprawy – nawet jeśli przez lata z wielkim poświęceniem z nim współpracował.

Luthen instrumentalnie traktuje nie tylko towarzyszy walki, ale też całe światy, świadomie inspirowa je do buntu



MATERIAŁY PRASOWE DISNEY+

„Gwiezdne wojny: Andor”, 2025 r.
Serial dostępny na platformie Disney+
Na zdjęciu: Denise Gough jako Dedra Meero

przeciw Imperium, by sprowokować jak najbardziej brutalną reakcję władzy, licząc, że to radykalizuje kolejne systemy planetarne i pozyska nowe siły dla Rebelii. Gdy obserwujemy to, jak prowadzi swoją grę wokół planety Ghorman – nieświadomy, że radykalizując miejscową populację wpisuje się w imperialny scenariusz – zastanawiamy się, czy jego stosunek do tego świata nie jest tak samo instrumentalny jak Imperium.

Nie tylko Luthen, ale też inni Rebelianci mają w sobie coś z rosyjskich rewolucjonistów z przełomu XIX i XX w., postaci z „Andora” odnalazłyby się w „Gorące” Agnieszki Holland czy „Płomień” Stanisława Brzozowskiego. Mają to samo oddanie sprawie, zdolność do najwyższych poświęceń, ale też do stosowania morderczej przemocy. Charakteryzuje ich ten sam fanatyczny nihilizm. Gilroy konstruuje postać Andora inspirował się zresztą „Młodym Stalinem” Simona Sebaga Montefiore, książką przedstawiającą barwną, często po prostu bandycką młodość przyszłego radzieckiego dyktatora.

Jeden z wątków w pierwszym sezonie „Andora” przedstawia organizowany przez tytułowego bohatera napad na transport pieniędzy z wypłatami dla pracowników Imperium na odległej planecie Aldhani – łup ma posłużyć finansowaniu Rebelii. Gilroy inspirował się tu historią kierowanego przez młodego Stalina napadu na bank w Tbilisi w 1907 r. – bolszewicy, podobnie jak PPS pod Bez-

danami, posługiwali się zbrojnymi „ekspropriacjami” dla finansowania swojej partyjnej działalności.

Jeśli Andor miałby być Stalinem, Luthen byłby odpowiednikiem Lenina. Patrząc na jego działalność w serialu trudno oprzeć się wrażeniu, że nie chcielibyśmy żyć w rzeczywistości, gdzie ktoś taki zyskałby istotną władzę. Gilroy pokazuje, że nie można zbyt długo bezkarnie żyć w podziemiu, bo potrafi ono korumpować tak samo jak absolutna władza, przeciw której toczy ono walkę. Nihilistyczna strategia Luthena jest niezbędna dla pokonania Imperium, ale nie nadaje się dla budowania nowego porządku na jego gruzach.

Czas

Jednocześnie „Andor” działa tak dobrze jako serial, bo wywołuje skojarzenia nie tylko z historią sprzed ponad stu lat, ale także ze współczesnymi napięciami politycznymi i społecznymi. W pierwszym sezonie tytułowy bohater trafia do więzienia-obozu pracy, gdzie buduje się komponenty Gwiazdy Śmierci. Wyrafinowany system nadzoru, zachęt i kar ma wycisnąć z osadzonych maksimum produktywności – trudno oprzeć się skojarzeniom z najbardziej eksploatacyjnymi praktykami współczesnych korporacji.

W drugim sezonie te skojarzenia wprost odsyłają do wydarzeń z pierw-

szych stron gazet. Bliscy Andora ukrywają się na rolniczej planecie, gdzie siły imperialne prowadzą cenzus poszukując nielegalnych migrantów. Imperator – nigdy bezpośrednio niepokazywany na ekranie – jeszcze bardziej umacnia swoją władzę przy zupełnej obojętności Senatu, dającego się zredukować do roli nieistotnej politycznej dekoracji. Wszystko to łatwo można odnieść do wyjątkowo brutalnej działalności ICE – agencji zajmującej się walką z nielegalną migracją – oraz autorytarnych zapędów Trumpa i zupełnej bezradności Demokratów wobec tego wszystkiego.

Serial wpadł też w maszyny politycznej dzielącej współczesne Stany. Liberalowie są zachwyceni, zwolennicy Trumpa narzekają na „niepotrzebne upolitycznienie” sagi i wzywają, by „uczynić ją znów wielką”, jak w czasach, gdy była wolną od polityki rozrywką. Co oczywiście nie jest prawdą. „Nowa nadzieja” wyraża przecież obawy dekady naznaczonej przez Watergate i wojnę w Wietnamie, a Imperium jest ostrzeżeniem przed tym, w co może zmienić się – jeśli już się nie zmieniła – Ameryka.

Drugi sezon kończy się sceną, w której Andor wyrusza na misję przedstawioną w „Łotrze 1”. Jak wiemy, padają tam słowa, że zdobycie planów śmiercionośnej broni „da nadzieję Rebelii”. W „Andorze” zostaje tylko powidok tamtej nadziei. Ale nawet takie odległe echo jest dziś bardzo potrzebne widzom obawiającym się o kierunek, w jakim zmierza świat. ©

Miasto jak świat

PIOTR KOSIEWSKI

Była mitem, legendą, fantazmatem, ale też miejscem ostatecznego zbawiania. I jednocześnie – realnym bytem, przedmiotem sporów, konfliktów i wojen brzemiennych w następstwa.

JEROZOLIMA JEST CZYMŚ WIĘCEJ NIŻ MIASTEM. Dla wielu była miejscem początku świata. Benjamin Disraeli, legendarny premier Wielkiej Brytanii i jeden z najwybitniejszych europejskich polityków 2. poł. XX w. pisał prosto z mostu: „Widok Jerozolimy to historia świata i więcej; to jest historia nieba i ziemi”. To jej przedstawienie otwiera „Liber chronicarum”, czyli kronikę świata Hartmana Schedla, najwspanialej ilustrowany druk XV stulecia. Uznawana była za pierwsze ważne miasto w dziejach. Jednak nie zawsze tak było. Wszystkie wymiany jej istnienia opowiada wystawa „Drogi do Jerozolimy” w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Na obrzeżach

„Wejdźmy do miasta; nic tu nie przyrywa pośpiechu i nie pociesza: błądzimy po niebrukowanych uliczkach, pnących się w górę lub zstępujących w dół, pośród tumanów kurzu albo wśród kamieni usuwających się spod nóg” – pisał François-René Chateaubriand w „Opisie podróży z Paryża do Jerozolimy”. I dodawał: „Płótna zawieszone między domami jeszcze powiększają ciemność tego labiryntu; sklepienia smrodliwych bazarów odbierają resztę światła temu nieszczęsnemu miastu”.

Francuski pisarz i polityk, którego twórczość znacząco wpłynęła na kulturę 1. poł. XIX w., wyruszył na Wschód w 1806 r. W tym czasie – to dziś nie do pojęcia – Jerozolima była w Europie niemalże zapomniana: „Wiek niedowiarstwa zatracił wspomnienie o kolebce naszej religii, a że nie było chrześcijańskich rycerzy, zdawało się więc, że już nie ma Palestyny”. Można nawet było sądzić, że oświecenie, rewolucja francuska i wojny napoleońskie dokonały zmian nieodwracalnych. I to jego książka, wydana

w 1811 r., a potem kilkakrotnie wznowiana, przywróciła w Europie zainteresowanie Jerozolimą jako miastem ważnym dla religijnego doświadczenia, ale też dla kultury i historii.

Sama Jerozolima przez całe stulecia była niewielkim, prowincjonalnym miastem. Jak podkreśla Antoni Ziemiała w katalogu towarzyszącym wystawie, leżała wtedy na obrzeżach imperiów i państw, „zawsze »pod« i »obok«, zagubione »pomiędzy« siedzibami prawdziwej władzy: Antiochią i Aleksandrią, Rzymem i Konstantynopolem, Bagdadem i Kairem, a w końcu Stambułem”.

Za czasów wyprawy Chateaubrianda liczyła sobie zaledwie 8 tys. mieszkańców. W 1870 r. zamieszkiwało ją 20 tys. osób, a pod koniec tamtego stulecia 45 tys. Tymczasem Tacyt szacował, że podczas pierwszej wojny żydowsko-rzymskiej populacja Jerozolimy wynosiła 600 tys. osób. Radykalną zmianę przyniosła do-

piero wojna sześciodniowa w 1967 r. i zajęcie miasta przez Izrael. Od tego czasu zaczął się gwałtowny rozwój Jerozolimy. W 2020 r. zamieszkiwało ją ponad 950 tys. osób.

Realny byt Świętego Miasta

Była mitem, legendą, fantazmatem, ale też miejscem ostatecznego zbawiania. Nowym Jeruzalem z wizji Ezechiela czy Miastem Świętym z Apokalipsy św. Jana. Zstępującym z nieba od Boga. „Źródło jego światła podobne do kamienia drogocennego, jakby do jaspisu o przejrzystości kryształu” – opisywał miasto ze swej wizji ewangelista. „Miało ono mur wielki a wysoki, miało dwanaście bram, a na bramach – dwunastu aniołów i wypisane imiona, które są imionami dwunastu pokoleń synów Izraela”.

Jako realny byt, z mieszkańcami, zabudowaniami i topografią, była przedmiotem sporów, konfliktów i wojen o brzemienne następstwa. Zniszczenie Jerozolimy przez Rzymian w 70 r. n.e. skazało Żydów na życie przez stulecia w diasporze. Wojny krzyżowe, których celem było uwolnienie Świętego Miasta z rąk niewiernych, pozostają nie tylko ważnym punktem w historii relacji między chrześcijaństwem a islamem, ale do dziś są przywoływane w aktualnych sporach politycznych, oraz wykorzystywane przez fanatyków z obu stron. Wreszcie status Jerozolimy po wojnie sześciodniowej ma fundamentalne znaczenie w konflikcie palestyńsko-izraelskim, o którym także opowiadają twórcy „Drogi do Jerozolimy”.

Wystawa w Muzeum Narodowym jest próbą opowiedzenia o tym nieustannym zderzaniu się miasta realnego i wyobrażonego, miasta

symbolu i przestrzeni zamieszkałej przez konkretnych ludzi. Jerozolimy znanej z przekazów historycznych, opowiedanej w legendach i mitach oraz rzeczywistości tego miasta, która niekoniecznie była zbieżna z ich wyobrażeniami.

Twórcy „Drogi do Jerozolimy” zgromadzili na wystawie imponującą liczbę ponad 200 obiektów: od obrazów, grafik, rysunków, po fotografie, rękopisy, starodruki, pocztówki, relikwie i pamiątki

Tygielek do kawy, Palestyna, pocz. XX w.

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE





PHOTOCROM ZÜRICH / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Jerozolima. Bazar przy Cytadeli, 1894–1895 r.

przywożone z Jerozolimy. Nie ma na niej wielu spektakularnych dzieł. Są natomiast obiekty bardzo rzadko pokazywane, często niepozorne, nawet na ogół lekceważone, ale to one pozwalają lepiej zrozumieć fenomen Jerozolimy, a może lepiej powiedzieć „Jerozolim”, używając nazwy miasta w liczbie mnogiej.

Wystawa dobrze pokazuje przede wszystkim znaczenie Jerozolimy dla trzech wielkich religii monoteistycznych: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Jest ono obecne w najważniejszych świętych księgach: Torze, Biblii chrześcijańskiej i w Koranie. To w Jerozolimie wzniesiono też budowle kluczowe dla wszystkich tych trzech religii. Świątynię zbudowaną przez króla Salomona (a potem odbudowaną), po której do dziś pozostał Mur Zachodni. Bazylikę Grobu Świętego ulokowaną w miejscu grobu i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Wreszcie wzniesioną przez muzułmanów w VII w. na Wzgórzu Świętym Kopułę na Skale, która upamiętnia wstąpienie Mahometa do Nieba. To do tych miejsc przez wieki

wiodły drogi pielgrzymów, podróżników i artystów. Wśród tych wędrowców znalazł się Mikołaj Krzysztof Radziwiłł „Sierotka”, który swoją podróż pokutną odbył od września 1582 do lipca 1584 r., a potem ją opisał. Jego „Jerosolymitana peregrinatio...” stała się najpoczytniejszym utworem polskiego autora w nowożytnej Europie.

Syndrom jerozolimski

Przedstawiana w niezliczonych obrazach, rysunkach i grafikach, bardzo szybko została też dostrzeżona przez fotografów. Pierwsze zdjęcia Jerozolimy powstały w grudniu 1839 r., zaledwie kilka miesięcy po zaprezentowaniu w Paryżu nowego wynalazku, jakim była dagerotypia. Od tego czasu na niespotykaną dotąd skalę zaczęto utrzymywać wizerunki miasta i jego mieszkańców – o tym fenomenie opowiada szerzej druga, mniejsza ekspozycja „Palestyna. Ziemia Święta w fotografii XIX i początku XX wieku”, także prezentowana w warszawskim Muzeum Narodowym.

Zdjęcia oraz powstające na ich podstawie pocztówki i inne wydawnictwa wykreowały do dziś obowiązujące wyobrażenia o Jerozolimie i jej mieszkańcach. Rozwój technik fotograficznych zbiegł się zresztą z powstaniem nowoczesnej turystyki pielgrzymkowej. Jerozolima jest dziś przede wszystkim miejscem kultu religijnego, Świętym Miastem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jedną z nich jest tzw. syndrom jerozolimski, czyli urojenie religijne pojawiające się u niektórych osób podróżujących do tego miasta: pielgrzymów, ale także turystów. Zaczynają identyfikować się z postaciami ze Starego lub Nowego Testamentu, działać w „imieniu Boga”.

Syndrom – opisany na początku lat 80. ubiegłego stulecia – dotyczy chrześcijan i żydów, ale także wyznawców islamu. Jednak już wcześniej opisywano stany silnego przeżycia religijnego pod wpływem tego miasta. I to temu syndromowi jerozolimskiemu spróbowała przyjrzeć się przed kilku laty Katarzyna Kozyra. W Muzeum Narodowym przypomniano jej film →



*Mendel
John Diness,
Jerozolima.
Wzgórze
Świątynne,
1855–1857 r.*

→ „Szukając Jezusa” (2012), w którym artystka stawia pytania o wiarę i sposób jej wyrażania, nie poprzez zatwierdzone instytucjonalnie rytuały, lecz poprzez indywidualne doświadczenie, czasami skrajne, budzące zdziwienie, a nawet sprzeciw.

Inne wcielenia

Jest wreszcie Jerozolima w rozmaity sposób w innych miejscach uobecniana. Przypomina o niej architektura synagog z *aron ha-kodesz*, z szafą ołtarzową przeznaczoną do przechowywania zwójów Tory, zawsze znajdującą się na ścianie skierowanej w stronę Jerozolimy. Osłoniętą ozdobnym parochetem, którego zawieszanie nawiązuje do tradycji kotary, która w Świątyni Jerozolimskiej zasłaniała Arkę Przymierza. Przypominają o niej też chrześcijańskie świątynie nawiązujące do centralnego kształtu bazyliki Grobu Świętego, budowane przez stulecia w całej Europie: od Konstantynopola, poprzez Rzym i Akwizgran po Kijów i Nowogród Wielki.

Jerozolima jest symbolicznie odtwarzana w miejscach związanych z męką Chrystusa, jak ufundowana w 1600 r. przez Mikołaja Zebrzydowskiego Kalwaria Zebrzydowska. Pierwsza i najsłynniejsza z polskich kalwarii, w której

stworzono symboliczną Gólgotę czy Górę Oliwną, a odległości między poszczególnymi kaplicami odtwarzają rzeczywistą topografię miasta. Wreszcie w każdej łoży wolnomularskiej znajdowały się kolumny Jakin i Boaz, których pierwowzory były ustawione przed Świątynią Jerozolimską.

Na wystawie przypominano o jeszcze jednym związku z Jerozolimą – samego Muzeum Narodowego. Jego gmach wzniesiono przecież przy alejach Jerozolimskich, których nazwa nawiązuje do założonej w 1775 r. osady handlowej Nowa Jerozolima, ważnego skupiska żydowskiego. Bardzo szybko została ona zlikwidowana, jednak pozostał po niej ślad w nazwie jednej z najważniejszych arterii stolicy. Z kolei nieopodal muzeum, na dzisiejszym placu Trzech Krzyży, w XVIII w. miała swój początek droga pątnicza Kalwarii Ujazdowskiej. Wreszcie w bliskim sąsiedztwie muzeum w 2002 r. stanęły „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich” Joanny Rajkowskiej. Sztuczna palma zainstalowana w samym centrum zaskakiwała. Budziła zdumienie, niedowierzanie.

„Pozdrowienia” miały, jak podkreślała artystka, przypominać o XVIII-wiecznej żydowskiej osadzie w Warszawie. Jednak szybko inni zaczęli przypisywać jej dzieła

własne znaczenia. Robili to Zieloni, feministki, geje i lesbijki. Aktywiści, upominający się o pamięć o konflikcie palestyńsko-izraelskim i pielęgniarce walczące o swoje prawa pracownicze. Pod palmą protestowali też przeciwnicy łamania konstytucji za rządów Zjednoczonej Prawicy.

Palma Joanny Rajkowskiej wrosła w pejzaż stolicy. Stała się jednym z jej najbardziej rozpoznawalnych znaków. I za pewne nie raz jeszcze będzie wykorzystywana do mówienia o bieżących sprawach. Wystawa przypomina bowiem – i to jest jej największą wartością – że symboliczne miejsca, nawet tak uświęcone, jak Jerozolima, pozostają dla nas ważne tylko wtedy, gdy kolejne pokolenia interpretują je na swój sposób i nadają im nowe znaczenia. © PIOTR KOSIEWSKI

DROGI DO JEROZOLIMY,

Muzeum Narodowe w Warszawie,
wystawa czynna do 20 lipca br.
Kuratorzy: Marcin Romeyko-Hurko,
Aleksandra Sulikowska-Betkowska

PALESTYNA. ZIEMIA ŚWIĘTA

W FOTOGRAFII XIX I POCZĄTKU XX WIEKU.

Muzeum Narodowe w Warszawie,
wystawa czynna do 3 sierpnia br.
Kuratorka: Anna Maśłowska

■ **THE WALL** według scenariusza Joanny Bednarek, reż. Paweł Miśkiewicz, Teatr Dramatyczny w Warszawie



TO NIE JEST ŁATWY I PRZYJEMNY spektakl. Nie jest też doskonały i nie sędzę, by cieszył się popularnością i był długo grany. Tym bardziej powinni go zobaczyć wszyscy, którzy nie podążają za ponadpartyjną zgodą na wykorzystywanie strachu przed obcymi jako narzędzia polityki i zgadzają się, że człowieczeństwo jest ważniejsze od bezpieczeństwa. Wzięte z kilku powieści i reportaży historie pojedynczych ludzi, których życie przerwała wojna i nienawiść, rozbijają i kompromitują ten łatwo rozgrzeszający z przemocy dyskurs, a choć nie zrównoważą jego przewagi, to sam fakt, że premiera tego przedstawienia

miała miejsce w tym samym dniu, gdy przez stolicę Polski przeszedł „patriotyczny” marsz antyimigrancki, pozwala mieć nadzieję, że Polska jest nie tylko tam, gdzie Robert Bąkiewicz. A jeśli polityka was mierzi i uznacie, że to, co napisałem,

brzmi jak emocjonalny szantaż, idźcie na to przedstawienie, by zobaczyć znakomitą, współcześnie polifoniczną sztukę aktorską. Kilka osób na zmianę opowiada, wciela się, przeżywa i instrumentalizuje głosami oraz ciałami kilkanaście różnych postaci, dając prawdziwy popis tego, czym jest aktorstwo teatralne dziś i jakie wyzwanie rzuca naszym wyobrażeniom. Wielkie brawa dla całego zespołu i szacunek dla Teatru Dramatycznego za tę premierę.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

■ **Dawid Oleszko, ROŚLINNE HISTORIE, Znak**



JĘŚLI KIEDYKOLWIEK ZABIŁEŚ kaktusa, „Roślinne historie” nie tylko wyleczy cię z wyrzutów sumienia, ale i pomogą ustrzec przed pozbawioną zieleni przyszłością. Ta książka to coś pomiędzy poradnikiem młodego ogrodnika, dziennikiem roślinoholika a rozmową z kumplem, który wie, dlaczego twoja ukochana monstera nagle się obraziła. Oleszko nie jest typowym botanikiem, który z precyzją naukowca szczerpi, opisuje i rozsadza. Jego podejście do pielęgnacji roślin to raczej stand-up z łopatą przeplatany perwersyjnym ocieraniem się o doniczkę. Jego książka to lektura lekka i przyjemna, która ani przez chwilę nie gubi jednak zielonego kon-

kretu. Znajdziemy tu informacje o kapryśkach około setki popularnych roślin doniczkowych: kiedy i czym podlewać, jak przesadzać, z czym rozmnażać i dlaczego czasem coś się nie uda.

Nie każdy przecież wie, że pachira wodna (*pachira aquatica*), wbrew swojej nazwie, za nadmiarem wody nie przepada. Atutem książki są fotografie Karoliny Apanasewicz-Toczko i Marcina Waleszczyka, nawiązujące stylem do internetowej aktywności autora, znanego jako Plant Daddy. Niezależnie od tego, czy masz dopiero jednego fikusa i wielkie ambicje, czy mieszkanie już przerobione na tropikalną dżunglę – „Roślinne historie” powinny sprawić ci frajdę.

© JACEK TARAN



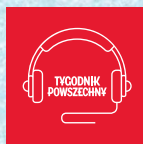
■ **CULT OF THE LAMB**, producent: Massive Monster, wydawca: Devolver Digital

CO ŁĄCZY GRY CYFROWE Z TEGOROCZNYM konklawe? Zdawałoby się, że niewiele, jednak wydawca „Cult of the Lamb” ujawnił, że dzień przed pogrzebem papieża Franciszka kopia gry została po raz pierwszy zakupiona przez mieszkańca Watykanu. Na oficjalnym profilu gry na platformie X pojawił się wpis: „Już wiemy, co robią podczas konklawe”. W przypadku innych gier wiadomość przeszłaby pewnie bez echa, jednak tym razem mamy do czynienia z tytułem szczególnym.

„Cult of the Lamb” to dynamiczna gra roguelike, w której wcielamy się w uroczą owieczkę. Jej celem jest rzucenie wyzwania pradawnym bóstwom i założenie nowego kultu. Brzmi znajomo? Być może, jednak na tym nie kończą się rewelacje. Zgodnie z regułami gatunku zwierzak raz za razem przebija się przez lokalizacje pełne wrogów z nadzieją, że zbliży się chociaż trochę do upragnionego zwycięstwa (pokonania bożków). Nie jest to proste, ponieważ każda śmierć oznacza powrót owieczki do punktu wyjścia. Kara za niepowodzenie nie jest jednak aż tak przytłaczająca: lokalizacje każdorazowo zmieniają się i pozwalają przetestować nowe bronie. Śmierć umożliwia też powrót owcy do wioski kultystów, w której odbywa się mniej dynamiczna część rozgrywki, oparta na zarządzaniu zasobami i monitorowaniu dobrostanu jej mieszkańców. Można w niej wznieść świątynię umacniającą wiarę i rozwijającą umiejętności. A kiedy wydaje się już, że odblokowaliśmy wszystkie możliwe ulepszenia, pojawia się nowa doktryna urozmaicająca zabawę. © MAGDALENA KOZYRA

Nasze podcasty się rozwijają!

Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podcastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:



PODKAST TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



TYGODNIK POWSZECHNY
KULTURA



TYGODNIK POWSZECHNY
NAUKA



STRONA ŚWIATA
JAGIELSKI I STORY



SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podcast



Weź, słuchaj!



Kraina oświecenia

ANITA PIOTROWSKA

W szalonym kołowrotku zdarzeń, emocji i newsów warto zatrzymać się na chwilę i zanurzyć w świecie, w którym czas płynie inaczej. Gdzie słowa próbują na powrót wypełnić się sensem, a obrazy nie są jedynie rolką z turystycznymi widokami.

NA EKRANY KIN WCHODZĄ ZA CHWILĘ dwa filmy związane z buddyzmem tybetańskim: dokument „Dalajlama. Przez mądrość do szczęścia” (kadr z filmu na zdj. 2) i fabularna „Shambhala” (zdj. 1).

Pierwszy z nich to właściwie bogato ilustrowany wykład czy warsztat przeprowadzony przez duchowego przywódcę Tybetańczyków. I zarazem przez najśłynniejszego dziś na świecie uchodzącego, od 1959 r., w następstwie chińskiej okupacji, przebywającego na wygnaniu w indyjskiej Dharamsali. Tenzin Gjaco, czyli XIV wcielenie dalajlamy, w tym roku skończy dziewięćdziesiąt lat i wydaje się w dobrej formie.

Kamera go lubi i chyba z wzajemnością, chociaż mistrz brzmi chwilami niczym coach czy specjalista od *mindfulness*. Kiedy mówi o spokoju umysłu,

o przyglądaniu się swoim emocjom czy ukochaniu siebie, uświadamiamy sobie, jak wiele współczesna pop-psychologia zaczerpnęła z buddyjskich nauk – i jak bardzo je strywalizowała. Dlatego potrzeba wyjątkowej charyzmy, żeby bez uciekania się do uwodzących socjotechnik przez półtorej godziny skupić uwagę widza mówieniem rzeczy najprostszych. Oczywiście, dokument Barbary Miller i Philipa Delaquis, współprodukowany przez znanego aktora Richarda Gere’a (prywatnie buddystę i aktywistę na rzecz suwerennego Tybetu), nie ucieka od filmowych atrakcji. Opowieść jest w znacznym stopniu biograficzna, stąd nie mogło zabraknąć archiwaliów z długiego życia Dalajlamy (swoją drogą, postaci wyjątkowo dobrze udokumentowanej) czy dronowych rajdów nad Himalajami.

Z filmowego punktu widzenia to robota bardzo konwencjonalna, ale twórcy i samemu bohaterowi chodzi o dotarcie do szerokiego grona ze swym przekazem. Chwilami zbyt generycznie wyrażonym i nazbyt wyważonym jak na nasze gorące, rozpolitykowane czasy. Ilekroć można odmieniać przez wszystkie przypadki słowa „pokój”, „współczucie” czy „ludzka wspólnota”, które w różnych kontekstach i miejscach mogą przecież znaczyć zupełnie coś innego?

Cisną się tutaj pytania o Ukrainę, Gazę czy o Rohingów prześladowanych przez birmańskich buddystów. Niemal z każdym wypowiedzianym przez Dalajlamę zdaniem dałoby się polemizować. Płynie jednak z tego wykładu oczyszczająca siła, w dodatku z elementami praktyki oddechowej. Mając świadomość, w jak wielu sprawach niewiele dziś od nas zależy, jedni zobaczą tu jedynie piękną utopię, inni – mimo wszystko – nadzieję na zmianę.

W którymś momencie mistrz odwołuje się do pierwiastka kobiecego w buddyjskiej tradycji. Ktoś powie, że Dalajlama chce być dzisiaj modny, podobnie jak w przypadku ekologii, lecz idzie za tym także wątek osobisty – serdeczna pamięć o własnej matce. I chociaż obce mu jest zapewne pojęcie *gender*, potrafi dostrzec, iż wiele destrukcyjnych emocji wypływa z „męskiego” urzędnika tego świata.

W ten sposób przechodzimy do drugiej sali kinowej, gdzie odbywa się seans na pozór całkiem innego filmu. Nosi tytuł „Shambhala” i wiele z usłysanych wcześniej nauk przekłada się na opowieść o kobiecie osadzonej we współczesnym Nepalu. Bardzo przy tym archaicznym i „analogowym”, bo to raczej rozgrywająca się poza czasem przypowieść, kontemplacyjnie spowolniona i pozwalająca się rozgościć w surowym pięknie himalajskiej wioski.

Twórcą filmu, Min Bahadur Bham, zrazu intryguje obyczajową egzotyką. Oto Pema wychodzi za Tashiego, poślubiając tak naprawdę, w zgodzie z tamtejszym obyczajem, trzech braci naraz. Tyle że jeden z nich jest jeszcze dzieckiem, a drugi buddyjskim mnichem wiernym swojemu Rinpocze. Dziewczynie i „właściwemu” mężowi udaje się stworzyć szczęśliwy związek, który wkrótce zostaje wystawiony na ciężką próbę. Kiedy Tashi musi odbyć daleką podróż do tybetańskiej Lhasy, rozchodzą się plotki, że Pema jest w ciąży z innym mężczyzną, a konkretnie z miejscowym nauczycielem.

Bohaterka wyrusza więc w drogę, by odnaleźć ukochanego i przekonać go o swojej wierności. Jednakże coś, co w innych warunkach wydawać by się mogło kobiecą martyrologią, w „Shambhali” staje się innego rodzaju drogą, zmierzającą



MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

2

SHAMBHALA

– reż. Min Bahadur Bham. Prod. Nepal/Francja/Norwegia/Hongkong/Turcja/Tajwan/USA/Katar 2024.
Dystryb. Awareness Distribution.
W kinach od 30 maja.

DALAJLAMA. PRZEZ MĄDROŚĆ DO SZCZĘŚCIA

(Wisdom of Happiness)
– reż. Barbara Miller, Philip Delaquis.
Prod. Szwajcaria/USA 2024.
Dystryb. Aurora Films.
W kinach od 23 maja.

Barbara Miller i Philip Delaquis, twórcy „Dalajlamy”, to szwajcarscy dokumentaliści. Ona wyreżyserowała „Zakazane głosy” (2012) i „Kobięcą (nie)przyjemność” (2018), które on wyprodukował. Min Bahadur Bham, reżyser m.in. „Czarnej kury” (2015), pochodzi z Nepalu. Jego „Shambhala” była kandydatem tego kraju do Oscara i znalazła się w konkursie głównym ubiegłorocznego Berlinale.

jącą do wewnętrznego przebudzenia czy, mówiąc pop-psychologicznym językiem, do odnalezienia samej siebie. Tytuł filmu w buddyzmie tybetańskim oznacza bowiem wyobrażoną krainę duchowego oświecenia.

Przez dwie i pół godziny wędrujemy przez miejsca, które nie wymagają specjalnych filmowych uszlachetnień, bo i tak powalają swoim majestatem. Przypominają się w tym momencie słowa Dalajlamy o naszym organicznym związku z naturą, lecz film Bhamy może sobie pozwolić na oszczędność w języku. Ze spokojem przygląda się Himalajom i codzienności nepalskiej wioski, a w swoich etnograficznych rekonstrukcjach nie ucieka się do nadmiernej folkloryzacji. Mimo to filmowany świat zdaje się pokryty jakąś szlachetną patyną, a każda drobna czynność, jak przyrządzanie posiłku przez Pemę czy farbowanie wełny na męzowski sweter, ma w sobie coś z rytuału.

Wiele też w „Shambhali” ciszy i czystych dźwięków: gry na instrumencie zwanym tungną, drżących na wietrze dzwonek, łopoczących flag modlitewnych czy szemrzących górskich strumieni. Albo miarowych uderzeń młotka, gdy Tashi, zanim ruszy w podróż, wykuwa w kamieniach imiona swoich bliskich. Doprawdy, trudno uniknąć rozpoetyzowanego języka pisząc o tym filmie, choć najwyraźniej i w tym celu został nakręcony – na przykład naszym cynicznie-ironicznym grymasom.

Z „zachodniej” perspektywy to po prostu film o wyzwalającej przemianie. Podróż Pemy przez Himalaje, ryzykowna i w dużej mierze samotna, jest wyjściem ze świata rządzonego przez toksycznie pojmovany honor i hańbę ku światu opartemu na zaufaniu i trosce. Ale do pewnego momentu, jako że finał opromieniony (dosłownie) buddyjskimi naukami zabiera nas znacznie dalej. Tak jak ten film przenosi nas do miejsc, być może już tylko wyobrażonych, gdzie „szambala” ciągle znaczy więcej aniżeli wczasy z detoksem. ©

Lektor: Filozof wśród ludzi



■ Zbigniew Mentzel
PODRĘCZNY SŁOWNIK PRZYJACIÓŁ I NIEPRZYJACIÓŁ LESZKA KOŁAKOWSKIEGO
Wydawnictwo Znak,
Kraków 2025, ss. 286.

WYDAWCA PISM ROZPROSZONYCH KOŁAKOWSKIEGO, autor dwutomowej rozmowy z filozofem i jego biografii, Zbigniew Mentzel wrócił do jego postaci od jeszcze innej strony. Umieszcza ją teraz w sieci międzyludzkich kontaktów o różnym charakterze i różnej intensywności.

Podział na „przyjaciół” i „nieprzyjaciół” jest oczywiście sporym uproszczeniem. Merytoryczne spory i polemiki nie muszą oznaczać aż „nieprzyjaźni”, z kolei podziw dla czyjegoś umysłu i uleganie jego wpływowi nie musi przekształcić się w przyjaźń, do której potrzebne są dwie strony. Jednak przyjaźń była dla Kołakowskiego pojęciem bardzo ważnym, wierzył w jej istnienie jako etycznej postaci miłości, więzi szczególnego zaufania.

Wśród ponad setki bohaterów tej książki znajdziemy takich, z którymi autora „Głównych nurtów marksizmu” łączyła przyjaźń wieloletnia, dożgonna i obejmująca często wspólnie przeżywane zawirowania i zakręty życiowe. Są więc Wiktor Woroszyński, Bronisław Baczko, Krzysztof Pomian, Ryszard Herczyński, Jacek Bocheński, Jan Strzelecki... Są też starsi o pokolenie, albo i dwa, jak Czesław Miłosz i Józef Czapski. Jest Barbara Skarga, która mówiła, że Kołakowski jest dla niej jak brat, choć wtedy, gdy on angażował się w zaprowadzanie w kraju nowych porządków, ona była w łagrze i na zesłaniu.

Mamy tłąć się przez lata spór ze Stanisławem Lemem, którego dotknęła recenzja Kołakowskiego z „Summy technologicznej” (w sumie pozytywna). Mamy też ostrą polemikę z lat 80. z zaprzyjaźnionym Andrzejem Walickim oraz konflikty z bliskimi Kołakowskiemu umysłami, nieakceptującymi jednak jego wycieczek w stronę metafizyki i religii (Alfred Tarski, Helena Eilstein).

No i jest wątek „Tygodnika”. Gdy w 1988 r. Kołakowski po raz pierwszy po wieloletniej przerwie przyjechał do kraju, pierwszego obszernego, niemal spowiedniczego wywiadu udzielił Jerzemu Turowiczowi. Ale już od początku lat 70. „Tygodnik” współtworzyli młodzi ludzie z kręgu uczniów filozofa: Marcin Król i Wojciech Karpiński.

Symboliczne zaś hasło poświęcono anonimowym TW. „Kiedy zapytałem Leszka Kołakowskiego – pisze Mentzel – czy chciałby wiedzieć, którzy z jego kolegów w Instytucie byli donosicielami, obruszył się (...). Na pytanie, dlaczego, choć miał takie prawo, nie zajrzał do swojej teczek w IPN i nie poznał jej zawartości, odpowiedział krótko: »Bo tam są materiały diabelskie«. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Hipoteza małpy

PAN TROGLODYTA – CZYŻ NIE TAK SARKALIŚMY W ZESZŁY PONIEDZIAŁEK rano na sąsiada spotkanego w drzwiach Żabki, o którym przypuszczamy z dużą dozą pewności, iż zagłósował źle, paskudnie, w sposób niepojęty dla normalnego człowieka? Gdzie tkwi w nim ten zepsuty gen prowadzący do ślepoty na rzeczy przecież oczywiste – z takim pytaniem niejedna i niejedyn z nas łapał się tamtego dnia za głowę. Bo w apogeum rozedrgania leczymy frustrację, tłumacząc różnice w przygodnych poglądach na zarządzanie niektórymi funkcjami państwa – słowo „polityka” wydaje się zbyt eleganckie – wręcz jako przepaść organiczną, międzygatunkową.

Wszyscy macie po dziurki w nosie procentów, ale jedną liczbę muszę teraz przypomnieć: jeden i dwie dziesiąte procenta to różnica, jaka dzieli genom człowieka od genomu szympansa. I to on, skatalogowany w systematyce jako *Pan troglodytes*, będzie przedmiotem naszych rozważań, a nie wyborca Brauna czy Stanowskiego. Jakies dwadzieścia lat temu ta informacja szybko wydostała się z wąskiego obiegu solidnych programów popularyzacji nauki, bo nawet najdalszy od wiedzy naukowej portal widział potencjał zaszokowania odbiorców wybiciem tej „małej różnicy”. Popatrz, to prawie twój wujek. Także w sferze jedzenia i wszystkich kłopotów, jakie na nas ona dziś sprowadza, zaczęły się pojawiać skutki tego zbliżenia gatunków. I nie mówię tu o diecie paleolitycznej – której balon (czy raczej nadmuchany zwierzęcy pęcherz?) próbowaliśmy przekłuć tydzień temu – bo ta odwołuje się do metabolizmu osobników jednak już zupełnie ludzkich.

Dowiedzieliśmy się m.in., że pośród wspólnego zasobu instrukcji życiowych współdzielimy z szympanсами gen pozwalający metabolizować etanol. Ale jedna rzecz to umieć coś strawić, inna zaś pragnąć tego aktywnie. Jakies dziesięć lat temu dopiero udało się zarejestrować w lasach równikowych Gwinei „inteligentne” czynności szympanсів, żeby alkohol zdobyć, i to drogą zuchwałej kradzieży z użyciem narzędzi. Ludzcy mieszkańcy tamtych okolic pozyskują sok z rafii, umieszczając przy pniach tej palmy specjalnie zbudowane naczynia. Szympansy



ADOBE STOCK

nauczyły się je opróżniać, mocząc w fermentującym szybko soku (osiąga 6 proc. zawartości alkoholu) liście, którymi ludzie przykrywają te naczynia dla ochrony przed owadami. Najczęściej ta skłonność do alkoholu jest wyjaśniana tym, że jego zapach – wyczuwalny dzięki lotności nawet w znacznym oddaleniu – sygnalizuje obecność psujących się owoców, a więc pożądanego źródła energii. O czym wie każdy, kto przechodził choćby raz mimo drzewa mirabelkowego rosnącego dziko za blokiem i poczuł tę kłującą, słodko-ostrą woń dywanu z niekochanych żółtych śliwek.

W literaturze naukowej takie wyjaśnienie zwie się „hipotezą pijanej małpy”. W liczbie pojedynczej, bo to jest pierwszy, domyślny sposób potraktowania maszynierii dowolnego zwierzęcia przez tradycyjnie rozumianą biologię: co i jak da się zrozumieć w perspektywie osobnika, jakby był jedną osobną pestką mirabelki wyrzuconą w ciemną otchłań. Zbiorowość – stadna czy społeczna – jest dopiero wtórną formą bytu, oddaną w pacht drugorzędny rodzajom namysłu, jakimś mało poważnym etnologom czy socjologom.

Ostatnie dni przyniosły ważną wiadomość dla badania nad człowiekiem jako zwierzęciem społecznym: otóż z teje Gwinei znów donoszą o małpich libacjach. Tym razem to nie kradzież, bo sfermentowane owoce chlebowca leżą po prostu na ziemi, a wokół nich gromadzą się szympansy. Na nagraniach widać, jak poszczególne osobniki dzielą się i przekazują je sobie, podja-



GRAZYNA MAKARA



Tagliatelle Andrea, czyli makaron z botwinką

Biało-czerwona symbolika naszej polskości może niekiedy uwierać binarnością niczym kartka wyborcza w drugiej turze, z dwoma rodzajami mniejszego zła. Albo-albo. Szukajmy wtedy syntezy w zbawiennie łagodnym różu. Takim jak ten makaron z pocziwą botwinką, którą niesłusznie topimy tylko w zupie. Ten przepis zasugerował mi Andrzej, czytelnik i druh w służbie dobremu jedzeniu, ja tylko nieco go rozwinąłem.

Na zdjęciu: samica szympansa z dzieckiem. Kongo, rezerwat Conkouati-Douli.



PAWEŁ BRAVO

dają trochę i podają dalej. Jeśli zawsze ostrożni i rzetelni badacze pozwolą mi na kuchenne uproszczenie ich wniosków, mielibyśmy oto przykład na rolę alkoholu (ale uwaga: jest go tam ledwo co, niecały procent) jako społecznego „kleju”, środka wiążącego grupy, wzmacniającego więzi, łagodzącego relacje. Jak zwykle w rodzinie czy stadzie podszyte agresją, trudno przecież tak po prostu zignorować napięcia, jakie powstają, kiedy się co i rusz spotyka bliźniego-troglodytę.

W tę samą niedzielę, kiedy jako elektorat znów zawiedliśmy czyjeś nadzieje, świętowałem inną biało-czerwoną okazję, bo to przecież nie tylko barwy mojej flagi, ale i kolory wina, które zastępuje jeden procent mojej krwi. W trakcie festiwalu o takież nazwie świętowaliśmy właśnie 25-lecie istnienia winiarstwa nad Wisłą, za symboliczny początek tego zjawiska uznając tekst współpisany przez dobrze wam znanego Marka Bieńczyka. Ojciec założyciel polskiego winopisania opowiadał o tym, jak niedawno, spacerując wśród mniemych, obojętnych na jego troski i miłość krzewów, myślał o poświęconych im dekadach twórczości. Z bliżej nieokreślonej sfermentowanej cieczy jego pióro tworzyło przez lata wino w jego ludzkim wymiarze. Bo przecież dopiero nazwa, tekst, słowo dają ludzkim sprawom pełnię istnienia. I to jest chyba najbardziej na razie przekonujący dla mnie przykład na ten jeden-przecinek-dwa procent genów, który nas różni od szympansa zaokrąglającego kanty swej egzystencji w cieniu chlebowca.



Zapisz się na newsletter
– co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

SKŁADNIKI: pęczek botwinki
1 ząbek czosnku **2** fileciki anchois
100 ml śmietanki lub koziego twarożku
▪ koperek lub tymianek ▪ oliwa

Oddzielamy buraczki, kroimy na drobną kostkę, dajemy je na dużą patelnię, na której podgrzaliśmy rozgnieciony czosnek na paru łyżkach oliwy. Dusimy delikatnie kilka minut, dodajemy drobno pokrojone łodyżki oraz anchois (są niekonieczne, ale to bardzo ładne połączenie), dalej dusimy parę minut, na koniec dajemy z grubsza poszarpane liście, a kiedy przywiedną – zakwaszamy wszystko łyżką soku z cytryny (albo więcej, do smaku). Jeśli wyszłoby za suche, możemy podlać skąpo wodą. Mój druh sobie nie wyobraża innego dodatku niż dużo koperku – ja spróbowałem z tymiankiem. Dodajemy nieco śmietanki – ja poeksperymentowałem z lekkim kozim twarożkiem. Przerzucamy na patelnię odcedzony makaron (najlepiej tagliatelle, na zdjęciu są spaghetti, bo innych mi zabrakło), łączymy na ciepło. Jeśli użyliśmy śmietanki, a nie twarożku, posypujemy wiórami parmezanu. ©P



Chuck Berry, ok. 1958 r.



ZMYŚŁY

PRODUCENT MÓWI, ŻE TWOJA FAJNA PIOSENKA SIĘ NIE NADAJE, ALE za to w tej gorszej wystarczy zmienić słowa i będzie dobrze. A ty masz prawie trzydzieści lat, jesteś pierwszy raz w studiu nagraniowym, mówią ci, że masz zatytułować swój kawałek nazwą szminki. Machasz na to ręką i nie wiesz jeszcze, że właśnie rodzi się nowy świat.

W północy brzdąkasz coś na gitarze, nagrywasz, zasypiasz nieświadom, co się stało. Rano budzisz się i słyszysz, że zanim zacząłeś chrapać, wyklulo się coś ciekawego. Kumpel dopisuje na kolanie słowa zwrotek, nagrywacie roboczą wersję w studiu, jedziecie w trasę – a wasz manager wypuszcza ten nieobrobiony kawałek na singlu. Reszta jest historią.

Masz już dosyć śpiewania i grania, rzygasz własnym znudzeniem, więc siadasz do maszyny i wypełniasz dwadzieścia stron wplutymi z duszy potokami wściekłości, żalu i rozczarowania. I nawet nie planujesz, że dołożysz do tego muzykę. Ale zmuszasz się, przycinasz do czterech zwrotek i refrenu, nagrywasz. Monotonne nagranie trwa ponad sześć minut, ale wydajesz je na singlu. A ten zmienia zupełnie reguły gry rynku muzyki popularnej.

Siedemdziesiąt lat temu Chuck Berry zarejestrował „Maybelene”, sześćdziesiąt lat temu zaś Rolling Stones nagrali „(I Can't Get No) Satisfaction”, a Bob Dylan „Like a Rolling Stone”.

ALCHEMIA SYMBOLU

Gdyby istniała recepta na stworzenie muzycznego archetypu, byłaby jednym z najpilniej strzeżonych sekretów. Pożądanym niczym kamień filozoficzny. Najczęściej jednak symbole rodzą się przypadkiem, wręcz niechcący.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



GEORGE WILKES ARCHIVE / GETTY IMAGES

The Rolling Stones w programie telewizyjnym „Ready Steady Go!”. Od lewej: Brian Jones, Mick Jagger, Charlie Watts i Keith Richards. Londyn, 26 lutego 1965 r.

Szminka w cadillacu

To był maj, pachniał blues w Chicago. Chuck Berry, były skazany za kradzieże, początkujący pięściarz, adept fryzjerstwa, amatorsko grający i śpiewający muzyk, ruszył z rodzinnego St. Louis do Chicago posłuchać na żywo wielkiego Muddy'ego Watersa. Po koncercie podszedł do swojego idola, przyznał się, że też grywa na gitarze, i spytał, jak Waters wkręcił się do studia nagraniowego. W odpowiedzi usłyszał: „Tu niedaleko jest wytwórnia Chess, idź do jej szefa”. Był piątek 13 maja 1955 r.

W poniedziałek wcześnie rano Berry pod biurem wytwórni zaskoczył Leonarda Chessa (urodzonego w poleskim Motolu jako Lejzor Czyż) i pochwalił się, że sam pisze bluesy i grywa je ze swoim triem. Chess, któremu zaimponowała pewność siebie czarnoskórego dryblasa, wyraził zainteresowanie. W sobotę 21 maja rano Berry pojawił się w studiu ze swoimi muzykami, pianistą Johnniem Johnsonem i perkusistą Ebbym Hardym, oraz z taśmą, na której wcześniej nagrali bluesowe „Wee Wee Hours”. Berry wiedział, co robi – przecież Chess Records było wytwórnią wyspecjalizowaną w bluesie.

Nos podpowiadał jednak Leonardowi Chessowi, że potencjał tkwi w zupełnie innej piśnence. Była to dokonana przez Berry'ego przeróbka starego, bardzo żwawego countrowego kawałka Boba

Willsa „Ida Red”, zatytułowana „Ida Mae”. Szef miał jednak uwagi – skoro czarny wokalista śpiewa po swojemu starą wiejską piosenkę, trzeba uwspółcześnić kontekst. Dlatego słowa muszą dotyczyć tego, co interesuje dzisiejszą młodzież – szalonych romansów i szybkich samochodów. Wojna zakończyła się dziesięć lat wcześniej. Kraj przeżywał boom gospodarczy, młodzież także z mniej uprzywilejowanych warstw społecznych miała już inne aspiracje, bardziej konsumpcyjne i hedonistyczne.

Chess w trakcie dyskusji spojrzał na opakowanie szminki Maybelline i rzucił: „A może to dajcie na tytuł?”. Berry zmienił tylko jedną literę, by uniknąć prawnych komplikacji, i napisał szybko opowiastkę o wyścigu samochodowym między narratorem a jego niewierną dziewczyną: „Motoprułem fordem kilka ładnych mil / patrzę, a tu Maybellene w coupé de ville / cadillac jedzie za mną, niech to jasny gwint / moim ośmiu garom nie podskoczy nikt / cadillac zasuwa dziewięćdziesiąt pięć / na zderzaku siada mi, nie poddam się (...) cadillac jak pocisk dalej sobie mknie / stodziesiątką, na pół mili aż odsadził mnie / tak daleko jest, że jakby w miejscu stał / Maybellene jechała nim, widziałem sam”.

Trzydzieści sześć podejść kosztowało debiutanta, by nagranie nabrało odpowiedniego kształtu. Dwa miesiące później znalazło się na singlu i niebawem szturmem zdobyło listy przebojów rhythm'n'bluesowych (nr 1) i popowych (nr 5), a pod koniec roku osiągnęło milion sprzedanych egzemplarzy. Przecierający sobie na Południu szlaki kariery, mało znany Elvis Presley włączył „Maybellene” do swojego repertuaru.

Na dnie chrapania soczysty riff

Nocą 8 maja 1965 roku Keith Richards w sennej malignie usłyszał w głowie motyw gitarowy, który wydał mu się mieć potencjał. Zaczął brzdąkać na gitarze akustycznej przy włączonym nowiutkim magnetofonie, po czym zasnął na powrót.

Gdy po przebudzeniu zobaczył trzepoczącą się na szpuli taśmę, zrozumiał, że coś się działo, przewinął ją i wyłowił z własnego chrapania słynne dziś trzy nuty powtarzane w górę i w dół. Parę godzin później zaprezentował ten zaczyn Mickowi Jaggerowi, dodając, że słowa mogą brzmieć na przykład: „Nie mam żadnej satysfakcji”. Po latach wspominał, że to była „rybka”, która równie dobrze mogłaby brzmieć „Ciotce Milie lewy cycek wpadł do wyżymaczki”. Niewykluczone, że pomysł tekstowy Richards zaczerpnął podświadomie z dziesięć lat

→ wcześniejszej piosenki „Thirty Days (To Come Back Home)” nie kogo innego, jak Chucka Berry’ego, gdzie padają słowa: „Sędzia też mi nie dał żadnej satysfakcji”...

Wieczorem Rolling Stones z Jaggerem i Richardsem ruszyli do Stanów na koncerty i zaplanowane w przerwach sesje studyjne. Nazajutrz rano na Florydzie Jagger do refrenu Richardsa dopisał słowa zwrotek, wyrażające rosnącą frustrację z powodu komercyjnej fasadowości otaczającego go amerykańskiego świata: „Jadę autem jak co dnia / a przez radio gada jakiś gość / i ciągle wciska mi do łba / jakieś zbędne informacje / chce mnie przekonać, że ma rację (...) Telewizor włączam, gdzie / znów inny gość mnie bardzo kusi / że kołnierzyk biały muszę mieć / ale ja palę papierosy inne niż on / więc dla mnie on nie liczy się”... Przez dziesięć lat od „Maybellene” wiele zdążyło się zmienić.

10 maja zespół zameldował się... w studiu Chess w Chicago, gdzie nagrał pierwszą, akustyczną wersję piosenki, z dominującą partią harmonijki ustnej Briana Jonesa, a dwa dni później w RCA w Hollywood drugą, z brudno brzmiącą gitarą Richardsa – muzyk wykorzystał dość świeży wówczas na rynku efekt Maestro Fuzz Tone firmy Gibson. Zespół nadal traktował utwór jako zapchajdziurę, w dodatku Richardsowi marzyło się, by ostatecznie jego wysniony riff zagrała sekcja dęta – co dwa miesiące później urzeczywistnił Otis Redding, nagrywając własną „Satisfaction”.

„Początkowo byłem przerażony, bo dla mnie była to tylko wersja robocza” – pisał po latach Richards w autobiografii (przełożyła Magdalena Bugajskiej) o swojej reakcji, gdy Rolling Stones usłyszeli piosenkę w amerykańskim radiu. W Stanach singiel ukazał się 4 czerwca, gdy zespół nadal koncertował, a manager za ich plecami robił swoje.

W 2004 r. dziennikarze magazynu „Rolling Stone”, uzasadniając drugie miejsce „Satisfaction” w ich rankingu pięciuset najlepszych piosenek wszech czasów, napisali: „Ten riff przekształcił skoczną, szczenięcą miłość wczesnego rock’n’rolla w rock”. I zwrócili uwagę, że pisząc antyburżuazyjne, gorzkie słowa Mick Jagger zaświadczył, że świat rodzącego się rocka znalazł się pod ogromnym wpływem Boba Dylana.

Singlowa niepiosenka

„Byłem wycieńczony duchowo, przez wiele miesięcy śpiewałem rzeczy, których nie chciałem śpiewać. To męczące, kiedy ludzie mówią ci, że cię kochają, a ty sam siebie wcale nie kochasz” – opowiadał Dylan w 1966 r. o swoim stanie ducha podczas dwumiesięcznej trasy brytyjskiej. Na początku czerwca 1965 r. wrócił do Stanów i zaczął kompulsywnie przelewać cały zgromadzony w sobie jad i gorycz na papier. Maszyna wyrzucała kolejne kartki zaczernione strumieniem słów z ledwie zaznaczonym rytmem. „To nawet nie miało tytułu, nie miało być piosenką” – wyznawał Dylan.

Kilka dni później siadł do pianina, zaczął uderzać różne akordy i nagle jego wzrok padł na trzecią czy czwartą stronę tego, jak mówił, „wymiotu”, na której pierwszy raz w całym tekście pojawiają się słowa „How does it feel?” (No, jak to jest?). I nagle coś ruszyło. Po dwóch dniach z dwudziestu stron zrobiły się dwie, upstrzone co prawda wariantami na marginesach, ale stanowiące szkielet piosenki. I do tego bujająca muzyka w tempie walca.

15 czerwca Dylan z muzykami wszedł do nowojorskiego studia wytwórni Columbia i usiłował nagrać z nimi nowy utwór. Przy kolejnym podejściu gardło w końcu odmówiło posłuszeństwa, a „Like a Rolling Stone” nadal nie brzmiało przekonująco. Wszyscy umówili się nazajutrz.

W fabularnym filmie Jamesa Mangolda „Kompletnie nieznan” epizod ten pokazano bardzo wiarygodnie. Producent Tom Wilson zaprosił dodatkowo na sesję młodego, obiecującego gitarzystę Ala Koopera. Ten jednak, widząc w ekipie mistrza bluesowej gitary Mike’a Bloomfielda, zrozumiał, że jeśli chce w ogóle zaistnieć, to nie w tej roli. Wśliznął się po kryjomu do studia i siadł za organami, na których nigdy przedtem profesjonalnie nie grał. Taśmy ruszyły, perkusista Bobby Gregg uderzył w werbel i stopę, nadając kanoniczne tempo i metrum.

Podczas odsłuchu nagrania producent zorientował się ku własnej zgrozie, że słychać też organy, i zapowiedział, że wyciszy ich partię, na co Dylan odparł: „Nie, zrób je głośniej”. Zapewne ta różnica zdań była ostatecznym powodem rozbratu między Wilsonem a Dylanem. A organy Koopera do dziś stanowią jeden ze znaków rozpoznawczych piosenki.

Piosenka, która swoją długością i zjadliwą, szekspirowską treścią rozsadziła normy przyjęte dla singli i która na wspomnianej liście magazynu „Rolling Stone” zajęła w 2004 r. pierwsze miejsce.

Sarkazm na proscie

Singiel Dylana, wydany w lipcu 1965 r., pozostaje jednym z największych dzieł muzyki rockowej, a przez niektórych uważany jest za arcydzieło kultury w ogóle. Zarówno potężny tekst ze słynnymi frazami pod adresem bezimiennej bohaterki: „dziś masz mniej zadarty nos / skoro nagle trzeba zebrać o kolejny każdy kęs (...) nie uczono cię, jak przetrwać na ulicy / a teraz pytasz: Jak ja tu niby / sobie radę dam? (...) skoro nic już nie masz, nic nie stracisz też / jesteś niewidzialna, więc to i twych tajemnic kres / i jak to jest / tak, jak to jest / gdy wokół pusto tak / gdy dom daleko masz / i przezroczystą twarz?”, jak i potęgę wokalu i instrumentalistów czynią z sześciominutowej piosenki istną epopeję pogardy, szyderstwa i współczucia, zaprawioną czystą radością grania.

Utwór odrzucał konwencje przyjęte dla przeboju, ale także konwencje społecznego dopasowania i aspiracyjności, odrzucał wreszcie oczekiwania publiczności wobec samego artysty, który wołał drażnić swoich fanów, stawiać im wymagania, zamiast dbać o ich dobre samopoczucie. W rezultacie „Like a Rolling Stone” stało się hymnem wyobcowanych, niezadowolonych, skrzepowanych rytuałami i standardami.

Po „Like a Rolling Stone” ani świat, ani sam Dylan nie byli już tacy sami. Piosenka swoją sarkastyczną energią eksplodowała i wyważyła wrota do zupełnie innego wymiaru, w którym możliwe stały się takie kamienie milowe, jak „Respect” Arethy Franklin, „Purple Haze” Jimiego Hendrixa, „What’s Goin’ On” Marvinie Gaye’a, „Anarchy in the U.K.” Sex Pistols, „Billie Jean” Michaela Jacksona czy „Fight the Power” Public Enemy. Tak archetypowym symbolem została piosenka powstała z rozgoryczenia pisanem piosenek w ogóle.

Emblemat

Swoją symboliczny status „(I Can’t Get No) Satisfaction” także zawdzięcza niezwyklej jedności muzyki, słów i energii. W porów-

Bob Dylan, zdjęcie z trasy koncertowej po Europie w 1966 roku

naniu z narratorem Dylana wyśpiewujący swoje zblazowane żale bohater Jaggera brzmi oczywiście bardziej szczeniacko i egocentrycznie, próżno szukać tam homeryckiego rozmachu i szekspirowskiej wielowymiarowości. Ale w publicystycznych zapędach Stonesi i tak wyprzedzili o rok swoich głównych rywali, czyli Beatlesów – ci w tę nutę udeńczyli dopiero piosenką „Taxman”.

W historii rock’n’rolla i kultury popularnej singiel Brytyjczyków zapisał się jednak przede wszystkim nieśmiertelnym riffem i siłą wykonawczą. Moto-ryczny rytm gitar, perkusji i tamburynu, zawadiacko-nonszalancki wokal i zniekształcone brzmienie gitary Richardsa, nagranej jako symulacja docelowej sekcji dętej, tworzą do dziś emblemat, torujący drogę takim monstroom, jak „Substitute”, „Whole Lotta Love”, „Paranoid”, „Speed King”, „Walk This Way”, „Ace of Spades”, „Back in Black” czy „Sweet Child o’ Mine”. Richards nie wynalazł gitarowego riffu jako takiego, ale to piosenka Stonesów za sprawą globalnej popularności wskoczyła na sztandar.

Galeria dla nastolatków

Archetyp „Maybellene” ma inny aspekt, co dowodzi, że symboliczność to zjawisko wielowymiarowe.

Chuck Berry często określany jest nie tylko jako człowiek, który uosabia rock’n’roll, ale także jako pierwszy poeta rocka. Nie spierając się tu o to, czy przed Dylanem w ogóle można mówić o poezji w piosence popularnej, trzeba przyznać, że ani Little Richard, ani Buddy Holly, ani nawet tacy zawodowi autorzy jak Doc Pomus czy Jerry Leiber i Mike Stoller, nie stworzyli galerii tematów i postaci, które do dziś zaludniają krajobraz zbiorowej świadomości i podświadomości w świecie anglosaskim.

Wchodzący w trzydziesty rok życia Chuck Berry doskonale zrozumiał dwie rzeczy: że adresatami jego piosenek jest wychodząca z cienia dorosłych młodzież, mająca pierwszy raz w dziejach świata zupełnie inne priorytety niż ich rodzice, oraz że umiejętne łączenie gatunków muzycznych – rhythm’n’bluesa, country i rockabilly – pozwoli mu dotrzeć poza granice rasowego getta. Muzyką więc skolonizował białe radio i białe radiodiodniki, a powołanymi do życia postaciami obsadził tę nową kolonię.

Johnny B. Goode, Little Queenie, Carol, Sweet Little Sixteen do dziś nie tylko przyćmiewają innych bohaterów pio-



BETTSMANN / GETTY IMAGES

nek tamtych lat, jak Peggy Sue czy Miss Molly, ale skutecznie konkurują z tymi późniejszymi – panem Jonesem, Eddiem the Head czy Billie Jean. Ale pierwszą z nich była właśnie promiskuityczna i lubiąca szybką jazdę Maybellene.

Nie przerzeźbicie

Trudno zawczasu jednoznacznie orzec, co sprawi, że jakaś piosenka urośnie do rangi symbolicznej. Zapewne legion twórczyni i twórców marzy o tym, by móc się czymś takim pochwalić. Jak dowodzą jednak zarówno powyższe trzy przykłady, jak i całe mnóstwo innych (wspomnijmy choćby takie potęgi, jak „Help!”, „All Along the Watchtower”, „London Calling”, „Małgośkę” czy „Białą flagę”), archetypy powstają często niejako mimochodem, w ramach zwykłej pracy, jako jedne z wielu kolejnych kompozycji. Nawet niekoniecznie muszą być wielkimi przebojami, by stać się symbolami.

To czas i nakładanie się kolejnych warstw odbioru nadaje im ten status. Z pewnością nie warto stworzenia symbolu planować. Jak trafnie radził gazda Strączek, cytowany przez Piotra Wojciechowskiego w felietonie z tomu „Prawo tyraliiery”: „Ino, panie, nie przerzeźbicie”. Skarb można znaleźć przypadkiem, czasem nawet we śnie.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński:

Polityczne uwodzenie



PO NIESZCZĘSNEJ AWANTURZE W GABINETE Owalmym media społecznościowe (i nie tylko) załapała fala spekulacji. Jedni komentujący – Ukrainie otwarcie nieprzychylni – cieszyli się, że Trump z Vance’em, wytrawni, bezwzględni negocjatorzy, pokazali wreszcie Żelen-

skiemu, kto jakimi „dysponuje kartami”. Polityka to twarda gra – wywodzili z nieskrywaną *Schadenfreude* – w której zwyciężają najsilniejsi, pogódź się z tym, *case closed*. Inni znowu – Ukrainie otwarcie przychylni – twierdzili z równie silnym przekonaniem, jakoby przebieg tego spotkania jasno dowodził, że wszystko zostało już dawno rozstrzygnięte. Trump dogadał się z Putinem, to oczywiste, widzieliśmy nieledwie spektakl dla naiwnych. Ta ostatnia reakcja dominowała zwłaszcza w polskiej debacie, a nieliczne głosy tych proukraińskich analityków, np. Witolda Sokały czy Łukasza Przybyło, którzy sugerowali, że nic jeszcze nie jest przesądzone i dlatego wciąż należy ostrożnie stąpać po kruchym lodzie dyplomacji, niknęły w zgłętku oburzeń.

Minęły dwa miesiące z okładem. Widać już wyraźnie, że nie tylko w sprawie Rosji i Ukrainy, ale i w wielu innych sprawach Trump oraz jego administracja nie posiadali i nadal nie posiadają bodaj żadnego planu. Poza ogólnym a intensywnym poczuciem własnej bezwzględnej słuszności oraz wyobrażeniem, że dzięki niemu wszelkie problemy się rozwijają. Słowem – narcystyczne fantazmaty, a nie żadne tam rozstrzygnięcia i makia-wielizmy.

Dało się to zresztą słyszeć już w tych wypowiedziach Trumpa, w których kreował się na dobrodusznego, ale stanowczego wujka, co wzywa na rozmowę dwóch przyłapanych na bójce rozwydrzonych chłopców. Ktokolwiek dysponuje elementarną wiedzą na temat Rosji – o zwykłej psychologii nawet nie wspominając – ten od początku rozumiał, że Putin z pewnością nie pozwoli obsadzić się w takiej roli. Ba, zrobi wiele – w swoim kłamliwym i zbrodniczym stylu – żeby pokazać, że to on definiuje warunki. Trump od samego początku tego nie widział – choć niedawno przyznał wreszcie, że rosyjski prezydent go zwodzi i „być może nie chce zakończenia wojny” – Putin natomiast konsekwentnie, od lat, zachowuje się dokładnie tak samo. W efekcie Trump coraz bardziej się miota, raz łąja Zełenskigo, raz zatroskany zasiada naprzeciw niego w watykańskiej bazylice, a w tym czasie Putin spokojnie zleca kolejne bombardowania i morduje ludzi. W którą stronę w końcu przechylili się szala? Gdzie jest, kiedy czytacie Państwo ten felieton, bo całkiem prawdopodobne, że już w zupełnie innym miejscu niż

wtedy, kiedy go piszę? Trudno powiedzieć, globalna polityka rządzi się dzisiaj w znacznej mierze nie strategiami i racjonalną oceną sytuacji, lecz nastrojami jednego człowieka.

To wszystko jest wszakże bardzo symptomatyczne. Podobnie jak gwałtowny spadek sympatii do Trumpa w amerykańskim społeczeństwie. Na wejściu cieszył się poparciem rekordowym, po stu dniach znalazł się na najniższej pozycji spośród wszystkich prezydentów z ostatnich 80 lat. Dlaczego? Dlatego właśnie, że z buńczucznych zapowiedzi i efekciarskich gestów, przechwałek i opowieści o własnej doskonałości, nic zgłę, poza pogłębiającym się chaosem i dezorientacją, na razie nie wyniknęło. W tym sensie Trump jest idealnym produktem współczesnej epoki, w której triumfalnie królują zewnętrzny powab, przemożna emocja, poryw i performans. Produktem mediów społecznościowych, gdzie najskuteczniejszą metodą na zdobycie popularności jest wyśmiewanie i deprecjonowanie, organizowanie nagonek, posługiwanie się szantażem moralnym, przemocą symboliczną, manipulacjami. Produktem zideologizowanej sfery informacyjnej i publicznej, w której do woli kłamie się na temat przeciwników politycznych czy światopoglądowych, bez żadnych oporów propaguje oczywiste nieprawdy – byleby zdobyć doraźną przewagę. Wiadomo, nikt przecież nie będzie niczego sprawdzał, nad niczym się zastanawiał, niczego poddawał krytycznej refleksji, takie bowiem wstydlive relikty dawnych czasów uchodzą za grubą nietakt.

Widać więc gołym okiem, że główną techniką zdobywania politycznego poparcia czy w ogóle istnienia w sferze publicznej stało się dzisiaj uwodzenie. Wytwarzanie chwilowej aury, rozpylanie uroków, prowokowanie wirów emocjonalnych, czarowanie, błyskanie powierzchnią. Trzeba przyznać: w czasach kryzysu racjonalności i zaniku umiejętności krytycznego myślenia są to niewątpliwie działania wysoce skuteczne. Jednak każdy uwodziciel, a zatem każdy manipulator i kłamca (niekiedy oczywiście sam głęboko w swoje kłamstwa wierzący) prędzej czy później musi przejść weryfikację. Dopóki jest na etapie uwodzenia, dopóty może do woli fantazjować i bałamuścić. Zwłaszcza jeśli ma naprzeciwko ludzi na uroki szczególnie podatnych – zdeorientowanych, spolaryzowanych, rozwybrowionych emocjonalnie. Ale kiedy uwodzicielowi uda się już zrealizować swoje cele – w tym przypadku: zdobyć władzę – sposoby wcześniej bezawaryjne konfrontują się z twardą materią rzeczywistości, na którą nie działają najbardziej nawet eksponowane powaby.

Trump właśnie się o tym przekonuje, my – po raz kolejny – również. Szkoda tylko, że kosztem udręczonej Ukrainy. Obyśmy chociaż w końcu wyciągnęli z tego jakąś lekcję. Także w kontekście polskich wyborów politycznych (i nie tylko politycznych). ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



DOSTARCZAMY SENS ZAMIAST SENSACJI

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień
przez InPost Paczkomat® – płacisz tylko za tygodnik,
przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**

To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź
na znikające punkty sprzedaży.

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat® otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego
„Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – oszczędzasz 357 zł
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć”
z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji
chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów
od autorów i autorek Tygodnika

NOWA OFERTA!

Kup „Tygodnik” do końca maja, a dostaniesz
naszą **TORBĘ GRATIS**. Idealnie na wakacje!

Cena pakietu na **3 miesiące**:

189 zł zamiast ~~195 zł~~ (z **blik** rabat **3%**)

Cena pakietu na **6 miesięcy**:

366 zł zamiast ~~390 zł~~ (z **blik** rabat **6%**)

Cena pakietu na **12 miesięcy**:

686 zł zamiast ~~780 zł~~ (z **blik** rabat **12%**)

dowiedz się więcej!

www.TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost



PONTYFIKAT NADZIEI I WYZWAŃ

WYDANIE SPECJALNE TP HISTORIA O FRANCISZKU

- Jakim Franciszek był człowiekiem, nauczycielem i papieżem?
- Co zostawił Kościołowi – i światu – po przeszło dekadzie pontyfikatu?
- Czy był rewolucjonistą, który zmienił oblicze papiestwa, a może jedynie zmienił ton, którym przemawiał Kościół?
- Czy jego wizja chrześcijaństwa była nowym, świeżym spojrzeniem na Ewangelię – czy raczej źródłem podziałów i kontrowersji?



Kup w naszym
sklepie internetowym:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Weź, czytaj!